

Andre Norton

Zwierciadło Merlina

Tytuł oryginału Merlin's Minor

Tłumaczyła Dorota Dziewońska

I

Z czeluści jaskini wciąż wydobywał się sygnał. Był jednak coraz słabszy. Z każdym planetarnym rokiem słabła jego siła, choć twórcom mechanizmu udało się uczynić sygnał wiecznym. Wierzyli oni, że przewidzieli każdą ewentualność. I faktycznie przewidzieli wszystko, z wyjątkiem słabości własnego systemu oraz natury świata, z którego sygnał dobiegał. Czas upływał, a nadajnik wciąż wykonywał swoje zadanie. Poza jaskinią zmieniały się pokolenia, ginęły narody i powstawały nowe. Cała wiedza twórców sygnalizatora z upływem wieków odeszła w zapomnienie, a działanie samej natury dokładnie zatarło ślady jej istnienia. Morza zalały lądy, potem cofnęły się,

unosząc wraz z siłą fal całe państwa i miasta. Góry wyrosły tak, że nędzne resztki, niegdyś wspaniałych, portów zniknęły na wielkich wysokościach. Zielone pola obróciły się w pustynie. Księżyc spadł z nieba, ustępując miejsca innemu.

A sygnalizator wciąż działał i przyzywał tych, którzy dawno odeszli, pozostawiając po sobie tylko legendy - tajemnicze, zniekształcone upływem czasu opowieści. Teraz nastał kolejny okres chaotycznego błądzenia ludzi w ciemnościach. Imperium rozpadło się pod ciężarem własnych wad i starości. Barbarzyńcy rzucili się na ten łup jak sępy. Ogień i miecz, śmierć i śmierć za życia w kajdanach niewolnictwa - oto co pustoszyło ziemię. A nadajnik wciąż wzywał...

Jego dźwięk był coraz mniej słyszalny. Od czasu do czasu sygnał słabł, zupełnie jak wzywający pomocy człowiek w śmiertelnym niebezpieczeństwie, który chwilami musi zaczerpnąć tchu.

Wreszcie ten wąły sygnał został odebrany daleko w przestrzeni. Dziwna metalowa strzała zareagowała na impuls i nagle uaktywniły się mechanizmy, które milczały przez wieki. Strzała zmieniła kurs, używając wiązki sygnałów jako drogowskazu. Na pokładzie statku nie było żywej duszy. Został on zbudowany w desperackim geście nadziei istot bliskich zagłady, które pragnęły zachować wszystko, co uważały za cenne, ważniejsze od własnego życia. Wysłały one w przestrzeń sześć takich strzał życia. Jedynym ich pragnieniem było, by co najmniej jedna z nich odnalazła cel, o którym wiedzieli, że gdzieś istnieje. Zaraz potem zginęli napadnięci podstępnie przez wrogów. Kolejne wiązki sygnałów bezbłędnie naprowadzały strzałę na właściwy kurs, gdy pędziła w kierunku Ziemi. Ów przedziwny pojazd był owocem tysięcy lat eksperymentów, najwyższym osiągnięciem rasy, która niegdyś pokonywała gwiazdne szlaki ze swobodą człowieka

spacerującego znajomymi ścieżkami po ziemi. Powołana tylko do jednego celu, teraz miała wkroczyć do akcji, do której została zaprogramowana.

Strzała łagodnie wpłynęła na orbitę wokół planety i rozpoczęła przygotowania do lądowania, odpowiadając na sygnał nadajnika. Gdy błyszcząca smuga przesywała niebo, ludzie śledzili jej drogę w prymitywnym osłupieniu. Wiedza, którą niegdyś posiadali, dawno temu została pogrzebana w mitach. Niektórzy kryli się w namiotach ze skóry, gdy ich szamani przy wtórze bębnów wydawali z siebie gardłowe dźwięki rytualnych pieśni. Inni gapili się szeroko otwartymi oczyma, rozprawiając o spadających gwiazdach, które miały być znakami złych lub dobrych mocy. Strzała zbliżyła się do góry, w której ukryta była jaskinia z nadajnikiem, i rozpadła się na części.

Łupina, która przeniosła cenny ładunek przez przestrzeń, rozwarła się i wydostały się z niej drobne cząstki. Nie zanurzyły się w

morzu, które szybko przesuwało się w dół, lecz samoistnie wystrzeliły ogniem, kierując się w stronę góry.

Zawisły na chwilę w powietrzu, po czym delikatnie osunęły się na ziemię. Jeśli nawet ktoś na tej wysokości obserwował lądowanie, nigdy o tym nie wspomniał. Ochronę owych dziwnych cząstek stanowiło bowiem pole zniekształcające obraz. Konstruktorzy podjęli środki ostrożności przed wszystkim, co tylko mogli przewidzieć.

Będąc już na ziemi, te dziwaczne obiekty wytworzyły własne odnóża i zaczęły pełzać, instynktownie dążąc do połączenia się z gasnącą siłą nadajnika. Kierowały się ku jaskini. W kilku miejscach trzeba było powiększyć przejście, ale i to zostało również przewidziane. Po dłuższej chwili wszystkie elementy były już ukryte w głębinach jaskini i przystąpiły do pracy. Kilka z nich wydrażyło sobie miejsca w skale i zapuściło tam bardzo mocne korzenie z kabli. Inne wrosły w powierzchnię groty i

poczęły kiwać się w przód i w tył jak wielkie bezmyślne insekty, przeciągając przy tym zwoje kabla telekomunikacyjnego pomiędzy instalacjami.

Po jakimś czasie, którego nie było powodu mierzyć, sieć była gotowa - wszystkie jej elementy mogły rozpocząć pracę, do której zostały zaprogramowane. Gdyby ten świat nie był żadny wiedzy, nie byłoby tu nadajnika. Przeto w bankach pamięci największych stacjonarnych komputerów czekały informacje, których wydobyć umożliwiała metoda systematycznych prób.

Jeden ze zwisających obiektów zbliżył się do wejścia jaskini i wyleciał na zewnątrz. Tej nocy nie świecił księżyc, a niebo spowite było ciężkimi chmurami. Latający obiekt był niewiele większy od orła, a gdy zanurzył się w otwartej przestrzeni, zaczął działać system ochronny zniekształcający obraz. Obiekt zataczał coraz szersze kręgi, a wmontowana weń fotokomórka przesyłała raporty z powrotem do jaskini. Szczyty gór pokrywała

cienka warstwa śniegu, wiał ostry i zimny wiatr, lecz dla latającego obiektu warunki atmosferyczne były jedynie kolejną informacją do odnotowania i przesłania.

Pośrodku siedziby klanu płonął wysoki słup ognia. Z balkonu okalającego sypialnie, z pogrążonymi we śnie członkami rodziny, Brigitta spoglądała w dół na mężczyzn zgrupowanych na ławkach. W powietrzu unosił się zapach stajni, chlewu, ogniska, jadła i napojów, tworząc woń tak samo przytłaczającą, jak sam dym. Mimo to dom, odcięty od panujących na zewnątrz ciemności, dawał poczucie pewności i bezpieczeństwa. Z górnego piętra dobiegał szmer głosów przepływających między komnatami. Brigitta wzdrygnęła się i naciągnęła pelerynę na ramiona. Był Samain, czyli okres między starym a nowym rokiem. W tym czasie brama pomiędzy tym światem a Ciemnością może zostać otwarta a wtedy wtargną przez nią demony gotowe do ataku na ludzi. Tutaj,

przy ogniu, czuła się bezpieczna. Wśród dobiegających do jej uszu odgłosów usłyszała rzenie jednego z koni, trzymanego w zewnętrznym kręgu boksów w stajni poniżej. Podniosła kufel z ławki i poczęła saczyć jęczmienne piwo. Wykrzywiła się wyczuwając gorzkawy smak, lecz po przełknięciu poczuła ogarniające ją przyjemne ciepło. Na balkonie siedziały też inne kobiety, lecz żadna nie dzieliła z nią ławki - jako córka wodza Brigitta traktowana była wyjątkowo. Migoczące płomienie podkreślały blask złotej bransolety na jej ręce oraz połysk szerokiego naszyjnika z bursztynu i brązu spoczywającego na piersiach. Gdy siedziała, rudawe, niczym nie skrepowane włosy niemal dosięgały podłogi, a ich kolor przyjemnie kontrastował z lśniącym błękitem peleryny i szafranową barwą haftowanej tuniki. Brigitta ubrała się tak na ucztę, ale uczta została przerwana. Dziewczyna była zła na wieści, które ściągnęły mężczyzn na naradę. Pozostawione same sobie

znudzone kobiety ziewały i plotkowały. Nie można tego było nawet nazwać plotkowaniem, bo wszyscy żyli już tak długo we wspólnocie, że nic nowego nie mogli o sobie opowiedzieć. Poruszyła się niespokojnie. Wojna - wojna ze Skrzydlatymi Hełmami - tylko o tym mogli myśleć mężczyźni. Niewiele jest obecnie zaręczyn czy ślubów, a ona z każdym księżycem staje się starsza. Ojciec jeszcze nie wybrał dla niej mężczyzny. Dobrze wiedziała, że już się o tym plotkuje. Gdyby nie strzępili sobie języków teraz, za jakiś czas przypisałiby jej taką ułomność umysłu czy mowy, że zawróciłoby to od drzwi każdego zalotnika. Wojna. Brigitta zacisnęła zęby, a spojrzenia, jakim obrzuciła towarzystwo na dole, nie można było nazwać życzliwym. Mężczyźni zawsze na pierwszym miejscu stawiają walkę. Jakie to ma znaczenie, że najeźdźcy atakują doliny daleko stąd. Co to ma wspólnego z ludźmi Nyrena, bezpiecznymi w swojej górskiej

fortecy? Teraz jeszcze ta paplanina o złych mocach ściągniętych przez Wielkiego Króla. Pociągnęła jeszcze jeden łyk piwa.

Król oddalił swą żonę, by poślubić córkę saskiego możnowładcy.

Brigitta zastanawiała się, jak wygląda nowa królowa. Vortigen był stary. Wychował już synów gotowych do podniesienia mieczy w obronie pohańbionej matki. Posłaniec, który właśnie przybył, przyniósł wiadomość, że synowie króla zbierają dalszych i bliższych krewnych, gotując się do walki.

Sasi jednak chcą wystąpić zbrojnie w obronie nowej królowej. To oznacza wojnę! Brigitta nie pamięta już czasów, gdy wokół domu nie było słychać szczęku oręża.

Wystarczy tylko trochę podnieść głowę, by ujrzeć zwisający pod dachem rząd nagich czaszek - trofea wojen i dawnych wypraw.

Nie sądziła, by poddani Nyrena darzyli sympatią Wielkiego Króla.

Dziesięć dni temu przybył inny posłaniec, który został przyjęty dużo cieplej - szczupły,

ciemnowłosy, z ogoloną twarzą, odziany w napierśnik i hełm jak ludzie cesarza. Cesarz już dawno odszedł, lecz mówi się, że za morzem wciąż panują inni cesarze. Orły Cesarskie odfrunęły z tego kraju, gdy jej ojciec był jeszcze młody.

Wygląda na to, że co najmniej jeden przywódca ciągle wierzy w cesarza. Ciemnowłosy mężczyzna przybył od niego w poselstwie, by prosić ludzi Nyrena o pomoc w wojnie, podobnie jak ten posłaniec, który zepsuł dzisiejszą ucztę. Tamten miał dziwne imię rzymskiego pochodzenia, na którym można połamać język. "Ambrosius Aurelianus". Brigitta wypowiedziała je na głos, dumna, że zna na tyle ten stary język, by móc prawidłowo to wymówić.

Dodała jeszcze tytuł "Dux Britanniae", brzmiący równie dziwnie, zwłaszcza o kimś, kto nie posiada żadnego królestwa. Lugaid mówił, że w obcym języku znaczy to "książę Brytanii". Hm, dość ambitne to roszczenia w sytuacji, gdy połowę kraju zajmują

nowi sprzymierzeńcy Vortigena -
Skrzydlate Hełmy zza morza.
Ojciec Brigitty kształcił się w
Acquae Sulis w czasach, gdy cesarz
Maksimus rządził nie tylko
Brytanią, lecz również połową
krajów za morzem. Pamiętał czasy
pokoju, kiedy jedynym powodem do
obaw były najazdy Szkotów i
przygraniczne utarczki. Darzył
więc Rzymian sympatią i był jednym
z tych, których Vortigen wygnał z
miast w obawie przed ich wpływami.
Nyren powrócił do klanu swoich
ojców i skupił wokół siebie
wszystkich krewnych. Może on tylko
czeka... Brigitta znów pociągnęła
łyk piwa. Ojciec zawsze był bardzo
tajemniczy, nawet pośród swoich.
Przyglądała mu się, jak teraz
siedział na honorowym miejscu na
dziedzińcu. Choć miał na sobie
strój ludzi gór, jego barwy były
ciemniejsze niż barwy szat
otaczających go mężczyzn. Tunika z
pięknego lnu wyszła spod jej rąk,
a zdobił ją wzór skopiowany ze
starej wazy - laurowy wieniec
haftowany złotymi i zielonymi
nićmi. Spodnie były

ciemnoczerwone, peleryna tej samej barwy. Tylko szeroki złoty naszyjnik, dwie bransolety na nadgarstkach i pierścień z herbem na wskazującym palcu dorównywały bogactwem ozdobom jego towarzyszy. Jednak to on jest ich przywódcą i każdy, kto wchodzi do tego domu, nie musi pytać o wodza, gdy tylko ujrzy Nyrena. Brigitta poczuła przypływ dumy, gdy na niego patrzyła i widziała, jak z kamienną twarzą słuchał słów posłańca Wielkiego Króla, który pochylony w jego stronę, wyraźnie był zakłopotany własnymi próbami wywarcia wrażenia na tym małym wodzu. Tak pewnie określał Nyrena Wielki Król.

Wpływy wodza tego klanu sięgają daleko poza ściany domostwa. Wielu mieszkańców gór uważnie słucha każdego jego słowa. Mądrość wodza jest bowiem wielka, a zdolności przywódcze pozwalają mu odnosić sukcesy w wojnach. Mógłby nazwać się królem, jak inni w okolicy, lecz nie chce tego.

Brigitta znów niecierpliwie się poruszyła. Chciałaby, aby ojciec

szybko odesłał człowieka Wielkiego Króla, by mogli swobodnie świętować, nie myśląc tej nocy o problemach odległego świata. Słyszała ryk wiatru tłumiącego głosy z dziedzińca poniżej. To burza, a tej nocy burza nie wróży nic dobrego. Mogą z nią przybyć Nieprzyjaciele - Słudzy Ciemności. Odszukała wzrokiem Lugaida siedzącego obok jej ojca. Posiadał on dawną wiedzę i ustanowił zasady duchowej ochrony na tę noc. Oprócz siwej brody nic nie wskazywało na jego sędziwy wiek - szczupła sylwetka nie była nawet przygarbiona. Jego biała koszula była wyraźnie widoczna w blasku ogniska, a drobna dłoń odruchowo gładziła brodę, gdy słuchał człowieka Vortigena. Rzymianie starali się wykorzenić dawną wiedzę. Za ich panowania tacy ludzie, jak Lugaid, zmuszeni byli zachowywać posiadane tajemnice dla siebie. Teraz znów byli szanowani przez pobratymców, którzy z uwagą słuchali ich słów. Brigitta wątpiła, by Lugaid szczerze służył Wielkiemu Królowi.

On i jemu podobni przechowują stare tajemnice tej ziemi i sprzyjają Skrzydlatym Hełmom nie bardziej niż wcześniej Rzymianom. Piwo było mocne i trochę ją odurzyło. Odstawiła kufel na bok. Sennie wpatrywała się w grę płomieni w wielkim palenisku na dole. Wyginały się to w jedną stronę, to w drugą, z większą gracją, lekkością i dzikością, niż mogłaby to czynić jakakolwiek dziewczyna na łące w wigilię Beltaine. To w jedną stronę, to w drugą... Wiatr wył teraz tak głośno, że ledwie dało się słyszeć echo głosów z dołu.

Co za nuda. Tak obiecująca uczta została zepsuta przez głupie wojenne sprawy. Brigitta ziewnęła szeroko. Była znudzona i zawiedziona. Wczoraj przybyło odległe plemię i miała cichą nadzieję, że wśród jego członków ojciec znajdzie dla niej narzeczonego.

Próbowała odszukać wzrokiem tych przybyszów, przyjrzeć im się i znaleźć choć jedną twarz, która by jej odpowiadała. Lecz widziała

tylko zaczerwienione blaskiem płomieni plamy. Jaskrawe barwy ich kraciastych strojów drażniły ją. Znajdowali się wśród nich zarówno młodzi chłopcy, jak i doświadczeni wojownicy, lecz żaden nie przykuł jej uwagi. Oczywiście, posłusznie poszłaby za tym, którego wskazałby ojciec.

To, że jeszcze nikogo nie wybrał, było obecnie jej głównym zmartwieniem. Wszyscy możliwi zalotnicy mogą pójść na wojnę, wielu z nich polegnie, i nie bardzo będzie w czym wybierać. Nie brzmiało to obiecująco.

Potrząsnęła głową, lekko odurzona wypitym piwem i hipnotyzującym tańcem płomieni. Nie, dłużej tego nie wytrzyma!

Podniosła się z ławki i weszła z powrotem do swojej komnaty. Drzwi jej pokoju wychodziły na werandę ciągnącą się wzdłuż zewnętrznych murów obronnych. Drzwi były szczelnie zamknięte, a mimo to gwizd wiatru wydawał się coraz bliższy. Lampa w odległym kącie migotała słabiutkim płomykiem. Brigitta zdjęła tunikę i w samej

bieliźnie, wciąż z peleryną na ramionach, zanurzyła się w ciepłe łóżko przysuniętego do ściany. Cała drżała. Nie tyle z powodu chłodu wionącego od kamieni, do których przylegało łóżko, ile z powodu wiatru i złowieszczych opowieści o tym, co mogą przynieść jego podmuchy tej szczególnej nocy. Była już jednak bardzo śpiąca. Wkrótce oczy same jej się zamknęły, a lampa zgasła. Na dole, w ciepłe płynącym od ogniska, dłoń Lugaida nagle zamarła. Lugaid odwrócił głowę w taki sposób, że nie patrzył już ani na Nyrena, ani na człowieka zabiegającego o pomoc wodza gór i jego ludzi. Tak jakby kapłan Dawnych słuchał czegoś innego. Jego oczy były szeroko rozwarte i przerażone, a przecież nie słyhać było żadnego alarmu. W każdym razie nikt inny go nie słyszał. Jego dłoń przesunęła się z brody na wyhaftowany na koszuli herb przedstawiający złotą spiralę. Starzec uczynił to nieświadomie, jakby nie wiedział, co robi, ani dlaczego jego palce przesuwają się

po spirali od zewnętrznej krawędzi do wewnątrz. Może podświadomie szukał jakiejś ważnej odpowiedzi. Uniósł wzrok ku balkonowi, na którym siedziały kobiety. Z uwagą przyglądał się po kolei ich twarzom, aż doszedł do pustego miejsca. Patrząc tam, westchnął. Potem rozejrzał się niespokojnie na boki, jakby obawiał się, że to mimowolne westchnienie w jakiś sposób go zdradziło. Jednak reszta towarzystwa zajęta była Nyrenem i nieproszonym gościem. Lugaid trochę się cofnął. Jego brodata twarz z przymkniętymi oczami wyrażała głęboką koncentrację.

Czas planetarny był niczym dla tych instalacji. Latające obiekty na swoich miejscach, informacje w bankach pamięci uporządkowane, poklasyfikowane, tak by mogły dotrzeć do bardziej skomplikowanego mózgu całego przedsięwzięcia. Decyzja została podjęta i dwukrotnie sprawdzona. Potem przygotowano najdelikatniejszą i najbardziej skomplikowaną część sprzętu

krażącego w przestrzeni.
Wystartował kolejny obiekt.
Wykonał gwałtowny zwrot przy
włączonym na maksimum
zniekształceniu obrazu i pomknął w
kierunku nieba. Sygnał, który
przyzywał to urządzenie poprzez
przestrzeń i czas, wreszcie
zamilkł. Teraz odezwał się inny
nadajnik, zaszyty pośród innych
skał. Nie wykryty przez obiekt
latający, zaczął pulsować,
zwiększając wraz z mocą swój
zasięg.

Nowa wiązka sygnałów wydostała się
na zewnątrz, ku niebu, w stronę
gwiazd. Trzeba wiele czasu, może
kilku tysięcy lat, by ten alarm
został odebrany przez tutejsze
patrole. Nie można go jednak
wyłączyć. Odwieczne zmagania mogą
się rozpocząć, lecz z mniejszą niż
dawniej siłą, gdyż potęga obu
przeciwników została uszczuplona
do jednej tysięcznej, czy nawet
milionowej, ich dawnych
możliwości. Czas i wyczerpanie nie
pozbawiły ich jednak stanowczości.
Są nieprzejednani, jak zawsze. Z
pewnością dojdzie do kolejnego

pojedyнку.

Latający obiekt krążył, targany jak liść silnym wiatrem. Nie krążył jednak bezmyślnie - miał do wykonania zadanie i nic, człowiek ani przyroda, nie mogło mu w tym przeszkodzić.

Brigitta spała mocno, choć wydawało jej się, że się obudziła. Wokół niej nie było już drewnianych ścian domu. Stała na dobrze znanej ścieżce, prowadzącej do źródła przepowiedni, gdzie bogini zsyłała wieczne szczęście na tych, którzy odpowiednio ją obdarowali. Nie była to też ta ponura noc Samain z ciemnymi i zamaskowanymi myśliwymi czyhającymi na ludzkość. Wokół niej rozkwitała zielona świeżość pierwszej wiosny Beltaine, kiedy to ogniska płoną wysokim płomieniem, a kobiety i mężczyźni pochylają się ponad płomieniami, zespoleni w czci tych sił, które raczej powiększają niż zmniejszają liczebność plemion. Widziała złotawe światło nie pochodzące od słońca. Błysk w

kszałcie grotu dosięgnął jej odzianych w sandały stóp, lecz źródło światła pozostało zakryte krzakami porośniętymi wiosennymi liśćmi. Z tego świetlnego trójkąta jasność wzniosła się ku jej sercu, aż Brigitta roześmiała się radośnie i zaczęła biec poprzez wspaniałość, czując wypełniające ją podniecenie. Nigdy przedtem nie czuła się tak wolna, tak pełna życia i tak całkowicie szczęśliwa. Wtedy ujrzała jego. Wszedł z zieloności i zatrzymał się w oczekiwaniu. Jej serce wiedziało natychmiast, że to jest twarz, której tak długo szukała wśród przybyszów i podczas wypraw za granicę. To był ten, o którym Wielka Matka mówiła, że da jej pełnię szczęścia.

Cały był jasnością, odziany ciepło i promieniście. Gdy zbliżyła się do niego, oboje ich ogarnęło światło w miejscu, które należało tylko do nich. Nikt inny na świecie nie mógł tu dotrzeć. Była jego częścią, a on był częścią jej, i stali się jednością w sposób, którego Brigitta nie

potrafiłaby opisać słowami. Świat wokół nich był złoty i śpiewał, jakby wszystkie ptaki leśne równocześnie rozpoczęły swe najpiękniejsze trele. Zanurzyła się w ciepłe, śpiewie i w nim, aż nic nie pozostało z dawnej Brigitty. Było już tylko spełnienie, tak jak spełnionym można nazwać zapłodnione ziarnem pole gotowe do przyniesienia obfitych plonów.

Lugaid odsunął się w cień siedziby klanu. Jego ciało kiwało się lekko w prawo i w lewo, twarz była jak maska, bez wyrazu. Może skupiał się całą swoją istotą na czymś, co słyszał, czuł lub sobie wyobrażał. Temu skupieniu towarzyszyło wzrastające zakłopotanie. Tak jakby człowiek, który codziennie przechodził obok zniszczonej świątyni nieznanego, dawno zapomnianego boga, nagle usłyszał dobiegający z głębi owego sanktuarium głos wzywający go do złożenia hołdu.

Po chwili zakłopotanie ustąpiło miejsca poczuciu triumfu. Maskę na twarzy Lugaida pękła. Czuł się jak

ktoś, kto po wielu latach służenia przegranej sprawie nagle przekonał się o jej słuszności. Jego palce zacisnęły się wokół spirali na piersi. Wszeptał jakieś słowa w języku, który był dużo starszy od używanego przez mieszkańców fortecy, a nawet od języka czasów rzymskich. Wypowiadane słowa były niezrozumiałe nawet dla tych nielicznych, którzy wciąż uczyli się tego języka jako elementu wyśmiewanych starych wierzeń. Na górze Brigitta, cicho pojękując, uśmiechała się. Rozłożyła ramiona, by objąć tego, który zjawił się we śnie. Ponad posiadłością wodza powoli zaczął kołować latający obiekt. Wleciał przez otwór w dachu i bezbłędnie odnalazł drzwi do komnaty, w której spała dziewczyna.

Warkot urządzeń w jaskini osiągnął najwyższe rejestry, a potem dźwięk zaczął odpływać, prawie zamierać, jak gdyby jakaś istota wykorzystwała całą moc i teraz mechanizm potrzebował odpoczynku. Nie nastąpiła jednak przerwa w

nadawaniu. Sygnał wzmocnił się i zaczął penetrować coraz bardziej odległe obszary w poszukiwaniu pomocy do prowadzenia odwiecznej wojny.

Oczy Lugaida były otwarte, wpatrzone w drzwi do pokoju Brigitty. Mógł się tylko domyślać niewielkiej części tego, co działo się tam tej nocy i o czym nie powie ani słowa, dopóki nie będzie pewien. Wykonał głęboki wdech, świadczący o zdziwieniu, że taka rzecz mogła się zdarzyć w owym trudnym okresie. Bogowie odeszli bardzo dawno, lecz wygląda na to, że wciąż czuwają. Musi jak najszybciej udać się do Miejsca Mocy. Może tam znajdzie odpowiedź, jakieś zapewnienie, że to, co się stało, ma znaczenie dla jego ludzi.

Brzęczenie głosów wokół niego lekko Lugaida poirytowało. Zajmowali się tylko sprawami ziemskimi, śmiercią, a tej nocy na pewno dotarły tutaj obiekty z nieba i przyniosły życie, nie śmierć. Najwyraźniej nadeszła chwila przepowiadana w legendzie

słowami: "Panowie Przesłworzy powrócą".

II

W pokoju na górze było bardzo gorąco. Między przypływami bólu Brigitta marzyła o ułożeniu zbolalego ciała w strumieniu wypływającym ze Szczęśliwego Źródła. Miała mgliste wrażenie, że większość mieszkańców fortecznej wioski przed wschodem słońca udała się na pola, by uroczyście obchodzić Święto Ług. Nastął czas zbierania plonów. Julia, niania jej matki, siedziała cierpliwie obok Brigitty i zanurzała kawałek materiału w misce z ciepłą wodą, by ścierać pot spływający po twarzy dziewczyny. W odległym kącie komnaty znajdował się piec i dochodził stamtąd zapach palonych ziół, na tyle mocny, że jego podmuchy doprowadzały Brigitte do kaszlu. Wszystkie drzwi w domu otwarto, rozwiązano wszystkie węzły, słowem, uczyniono wszystko, co możliwe, by ułatwić poród. Lecz - tępo myślała Brigitta - nie jest

to łatwe. Jednak jak śmiertelna kobieta może bez trudu urodzić boskiego potomka?

Minione miesiące... Jakże dziwnie wszyscy na nią patrzyli. Jedynie prorocstwo Lugaida powstrzymywało krewnych od napiętnowania jej i zarazem całego domu Nyrena. Bywały chwile, gdy chętnie chwyciłaby własny sztylet i wycięła ze swojego łona to, co poczęła w niej obca istota. Teraz już ledwie pamiętała złociste uniesienie ze snu. Lugaid zapewniał, że właściwie nie był to sen, lecz jeden z Synów Przesławy przybył, by ją posiąść.

W tej chwili istniał tylko ból i strach między skurczami, że ten następny będzie jeszcze silniejszy. Zacisnęła jednak zęby i nie wydała żadnego jęku. Gdy rodzi się dziecko boga, nie przystoi wrzeszczeć.

Jej ciało ponownie się napreżyło i Julia natychmiast znalazła się przy niej. Nagle pojawił się też Lugaid i spojrzał jej w oczy. Z tego spotkania spojrzeń powstało coś, co odsunęło ból i odesłało

ja, wirująca, do połyskujących
świateł, które mogły być
gwiazdami...

- Syn. - Julia położyła niemowlę
na czystym kawałku lnu.

- Syn - potwierdził Lugaid tonem,
który wskazywał, że od początku
nie miał co do tego wątpliwości. -
Na imię mu Myrddin.

Julia spojrzała gniewnie na
Lugaida.

- To ojciec powinien nadać mu
imię.

- Jego imię brzmi Myrddin. - Druid
zanurzył palec w misce z wodą i
dotknął piersi niemowlęcia. - Jego
ojciec tak by go nazwał.

Julia wzruszyła ramionami.

- Mówisz o Panach Przeszłości -
powiedziała. - Nie przeczę, że w
ten sposób uchroniłeś moją panią
od hańby. Skoro znaleźli się tacy,
którzy uwierzyli. Ale nawet pod
tym dachem nie ma nikogo, kto
byłby całkowicie przekonany.
Zawsze będą o nim plotkować i
nazywać go "bez ojca urodzonym".

- Już niedługo. - Lugaid
potrząsnął głową. - On będzie
pierwszy, a wraz z nim powróca

dawne czasy. Stare opowieści to nie zwykłe pieśni bardów, śpiewane ku ucieście gawiedzi. Tkwi w nich ziarno prawdy. Opiekuj się dzieckiem i swoją panią. - Spojrzał na Brigitte z mniejszym zainteresowaniem, jakby po wykonaniu swego zadania straciła już na wartości.

Julia wydała odgłos przypominający parsknięcie. Zajął się dzieckiem, które nie płakało, tylko rozglądało się wokół. Już po kilku chwilach od przyjścia na świat chłopczyk wydawał się dużo bardziej świadomy swego otoczenia niż jakiegokolwiek inne dziecko w jego wieku. Piastunka, zauważywszy to, uczyniła tajemniczy znak przed wzięciem go na ręce. Brigitta spała mocno.

Można by rzec, że Julia prawidłowo przewidziała stosunek członków klanu do Myrddina. Rzeczywiście był on "bez ojca urodzonym", lecz skoro wódz zaakceptował - w każdym razie tak twierdził - zapewnienie Lugaida, że jego córkę posiadał Pan Przesłworzy, przeto chłopiec nie

był otwarcie prześladowany. Nie został jednak w pełni zaakceptowany przez swoich rówieśników.

Od początku miał problemy z nauką. Kobiety uważały, że jego opóźnienie jest w jakiś sposób związane z tajemniczym poczęciem. Nie czynił też postępów w rozwoju fizycznym - nie śpieszył się do chodzenia. Gdyby nie starania Julii, mógłby zostać zepchnięty na margines społeczności i cicho odejść przedwczesną śmiercią. W niecałe sześć miesięcy po jego urodzeniu Brigitte wydano za mąż za owdowiałego przywódcę plemiennego, który był w takim wieku, że mógłby być jej ojcem. Opuściła wówczas fortecę Nyrena, pozostawiając w niej syna. Nie protestowała przeciwko rozłączeniu. Od chwili wydania Myrddina na świat, gdy tylko oprzytomniała z dziwnego stanu, w który według niej wprowadził ją Nyren, nie żywiła do tego dziecka żadnych matczyńskich uczuć. Jej miejsce natychmiast zajął Druid, a Julia zapewniała małemu wszystko,

czego potrzebował do fizycznej egzystencji. To właśnie Julia okazywała najwięcej matczynej troski, gdy zaczęto komentować powolny rozwój dziecka. Tym, do którego zwróciła się Julia o pomoc, gdy jej wiara w inteligencję Myrddina zaczęła słabnąć, był Lugaid.

- Zostaw go w spokoju. - Lugaid wziął chłopca na kolana i popatrzył mu w oczy. - Dla niego czas płynie inaczej. Zobaczysz, że gdy zacznie mówić, będzie mówił wyraźnie i mądrze, a gdy zacznie chodzić, będzie to prawdziwe chodzenie, a nie pełzanie na podobieństwo zwierząt. On jest z innego świata, więc nie możemy stosować do niego naszych miar. Julia przez chwilę siedziała spokojnie, przenosząc wzrok z Druida na dziecko i z powrotem.

- Myślałam - wyznała - że cała ta historia miała uchronić moją panią od hańby. Ale to nie tak. Ty w to wierzysz. Dlaczego?

Teraz on spojrzał na nią.

- Dlaczego?! Kobieto! Ponieważ tej nocy, gdy on został poczęty,

czułem nadejście Mocy, która miała go przynieść. - Z żalnością potrząsnął głową. - Straciliśmy tak wiele z wiedzy, która uczyniła ludzi na tyle wielkimi, że mogli rzucać wyzwania gwiazdom.

Recytujemy oderwane fragmenty legend i nie jesteśmy pewni, co jest prawdą, a co dodaną później baśnią. Lecz to, co pozostało, wystarcza, by ktoś, kto posiada odpowiednią wiedzę, poczuł Moc, gdy ona działa.

- Ten "bez ojca urodzony" będzie w stanie ustanawiać i obalać władców. Wierzę jednak, że nie po to został tu zesłany. Nie, on może otwierać bramy. A kiedy osiągnie pełnię swej potęgi, będzie mówił Wysokim Językiem. Wówczas staniemy się świadkami początku nowego świata!

Pasja w jego głosie przeraziła Julię. Piastunka odebrała dziecko z rąk Lugaida, patrząc na nie dziwnie. Wiedziała bowiem, że Druid wierzy w to, co mówi. Od tej chwili uważnie obserwowała Myrddina i czekała na jakieś oznaki jego wielkości, choć nie

wiedziała, jakie mogą one być. Myrddin zaczął chodzić, gdy miał cztery lata. Jak przepowiedział Lugaid, od pierwszej chwili chodził pewnie, nie chwiejąc się i nie raczkując. Miesiąc później przemówił, a wymawiał słowa tak wyraźnie jak dorosły mężczyzna. Chłopiec zupełnie nie szukał towarzystwa rówieśników. Nigdy też nie wykazywał zainteresowania szermierką czy słuchaniem opowiadanych przez wojowników przygód z pola bitwy. Zamiast tego plątał się za Lugaidem, gdy tylko go dojrzał. Wszyscy wreszcie przyjęli do wiadomości, że Myrddin zostanie bardem lub jednym z tych uczonych, którzy studiują prawa i pochodzenie rodów. Nyren zaaprobował takie postanowienie podczas jednej ze swych krótkich wizyt w domu. Wódz podjął wreszcie ostateczną decyzję wielkiej wagi. On i jego ludzie wyruszyli z Ambrosiusem przeciwko Wielkiemu Królowi i Sasom. Powszechnie uważany za zdrajcę król, sprowadził Sasów jako sprzymierzeńców, a ci

stopniowo przejmowali jego władzę. Oddział zbrojny Nyrena rzadko przebywał w ukrytej wśród gór wiosce. Pozostawała tu tylko grupa obrońców oraz kobiety i niewolnicy, którzy byli niezbędni do uprawiania pól i wypasania owiec stanowiących ich niewielki majątek.

W piątym roku swego życia Myrddin został zmuszony do pracy jako pasterz owiec. Klan odczuwał wówczas poważny brak mężczyzn. Wtedy to chłopiec trafił po raz pierwszy do jaskini. Tego dnia zapuścił się po obrośniętych porostem skałach wyżej niż kiedykolwiek przedtem, a to głównie dlatego, że starsi chłopcy pozostawili mu do wspinaczki najgorszą trasę. Gdy tylko minął pierwszy szczyt, zapomniał o owcy, której szukał, i o tych, które czekały w dole.

Niczym lunatyk skręcił w prawo i dojrzał mały otwór, przez który ledwo mógł precyzyjnie przeczisnąć swoje zwinne dziecięce ciało. Skała zawaliła się w tym miejscu niezbyt dawno temu, lecz wejście było

zamaskowane na tyle dokładnie, że Myrddin z pewnością nie odkryłby go, gdyby nie to nagłe uczucie przymusu, które zawładnęło jego wola i sprowadziło tutaj. Gdy przecisnął się przez szczelinę, znalazł się w dużo większym korytarzu. Rozmiary pomieszczenia trudno byłoby określić, gdyż jedynym źródłem światła była smuga, dobiegająca przez otwór, którym Myrddin tu dotarł. Chłopiec nie czuł strachu, przepełniało go natomiast dziwne, coraz to silniejsze podniecenie - jakby liczył na coś wspaniałego, przeznaczonego tylko dla niego. Wkroczył więc w ciemność bez niepokoju. Czuł jedynie zniecierpliwienie i ciekawość. Gdy szedł w głąb jaskini, ze zdziwieniem zauważył, że wokół niego tańczy tajemnicze promienie, zupełnie jakby miał na sobie olbrzymią świetlną pelerynę. To odkrycie wcale nie wydało mu się dziwne. Coś, w głębi jego umysłu, uznało to za niemal całkiem zapomnianą cząstkę posiadanej niegdyś wiedzy.

Myrddin znał opowieści o sobie, o tym, że jego ojciec był jednym z Ludzi Przestworzy. Od Lugaida dowiedział się jeszcze więcej, że dawno, dawno temu z nieba często przybywali mężczyźni i ziemskie kobiety rodziły im synów i córki. Owi synowie i córki posiadali pewne talenty i wiedzę, którymi nigdy nie dysponowali Ziemianie, a które uległy zapomnieniu, gdy Ludzie Przestworzy przestali tu przybywać. Niewielu w nich już wierzyło, a Lugaid uświadomił Myrddinowi, że nie powinien zdradzać się ze swoją wiedzą, póki czynami nie dowiedzie swojego pochodzenia. Lugaid powiedział też, że gdyby Myrddin nie mógł sam osiąść wiedzy Dawnych, nie mógłby liczyć na żadną pomoc, gdyż nigdzie na Ziemi nie istnieje nikt, kto pamięta coś więcej niż niejasne wersje zapomnianych przypowieści.

Była jeszcze ta część Myrddina, pochodząca od matki, która skurczyła się w nim, samotna i zagubiona, niezdolna do nawiązania kontaktu z otoczeniem. Często

myślał o tym, co stałoby się, gdyby nie odkrył tego, co musi wiedzieć. W tym względzie nie mógł liczyć nawet na Lugaida, gdyż dawna wiedza odeszła wraz ze śmiercią mędrców, a w pamięci takich, jak Druid, zachowały się tylko jej niewielkie, prawdopodobnie zniekształcone, szczątki. Kapłan jednak obiecał, że gdy nadejdzie czas, to przekaze, co tylko będzie mógł, temu, który był dla niego niczym przybrany syn.

Szarawe światło, towarzyszące chłopcu, stało się silniejsze. Dopiero teraz Myrddin zrozumiał, że pochodzi ono ze ścian, a nie od jego osoby. Kiedy potarł palcem o kamień, odkrył coś jeszcze - wibracje wewnątrz skały.

Natychmiast przyłożył ucho do ściany i poczuł odgłos przypominające bicie serca. Wszystkie baśnie o żyjących w jamach potworach przemknęły mu przez myśl. Myrddin zawahał się, lecz uczucie podniecenia pchało go dalej. Przeszedł więc do większego pomieszczenia, gdzie nagle poraził

go snop silnie połyskującego światła. Oślepiiony tym blaskiem chłopiec skulił się i zakrył rękami oczy. Drgania powodowały stałe buczenie, które teraz już nie tylko czuł, ale i słyszał.

- Nie ma się czego bać.

Myrddin nagle zdał sobie sprawę, że to przemówił do niego jakiś głos. Zadrżał, wciąż zakrywając oczy, po raz pierwszy w życiu ogarnięty prawdziwym przerażeniem. Starał się pokonać ten strach, lecz wciąż nie opuszczał rąk. Już jednak sama świadomość, że usłyszał głos, złagodziła pierwsze przerażenie, bo przecież żaden ziejący ogniem smok czy wampir nie mówiłby ludzkim głosem.

- Nie ma się czego bać! -

powtórzono te same słowa.

Chłopiec wykonał głęboki wdech i zebrawszy całą swą odwagę opuścił ręce.

Tyle tu było do oglądania, a każda rzecz tak bardzo różniła się od wszystkiego, co znał, że fascynacja nimi przyćmiła ostatnie ślady strachu. Nie było tu zresztą ani pokrytego łuskami potwora, ani

wrogich istot. Miast tego w świetle widniały lśniąca kwadraty i cylindry, na które jego język nie znał określeń. Myrddin wyczuwał tu też jakąś formę życia, choć nie było to życie istot cielesnych, lecz jakiegoś innego gatunku.

Grota wydawała mu się bardzo duża, a wypełniona była olbrzymią liczbą obiektów. Niektóre świeciły małymi kolorowymi światłami wzdłuż powierzchni na wprost, inne były puste, lecz wszystkie tchnęły tym obcym życiem.

Myrddin wciąż nie mógł dojrzeć, kto mówił do niego, a był zbyt ostrożny, by zapuszczać się w głąb zatłoczonej jaskini. Obliznął wargi koniuszkiem języka. Zebrał całą odwagę, na jaką go było stać, i odpowiedział głosem dźwięczącym ostro pośród tej skalnej głuszy:
- Nie boję się.

Było to tylko po części kłamstwem, gdyż fascynacja tym miejscem zaczęła już przerastać poczucie niepewności.

Spodziewał się, że zobaczy kogoś, kto pojawi się przy tym olbrzymim

kwadracie z okrągłymi słupami, lecz czas mijał, a nikt się nie zjawiał. Myrddin odezwał się ponownie[^]; tym razem trochę zawiedziony brakiem odpowiedzi. - Jestem Myrddin z klanu Nyrena. - Uczynił dwa kroki w kierunku otoczonego skałami miejsca. - Kim jesteś?

Światła wirowały, a obiekty wokół nie przerywały brzęczenia. Żaden głos nie odpowiedział na jego pytanie.

Nagle chłopiec spostrzegł, że na wprost niego, w odległym końcu wnęki utworzonej przez rzędy bloków i cylindrów, znajduje się coś błyszczącego, co łączy dwa bloki i tworzy połyskującą ścianę. Gdy na to spojrział, połysk zniknął i chłopiec ujrzał jakąś postać, nie większą niż on sam.

Zdecydowany na spotkanie z obcym, szybko ruszył przed siebie. Nie zwracał uwagi na bloki po bokach. Interesowało go tylko to, co powstawało na przypominającej lustro powierzchni. Nigdy jeszcze nie widział swojego odbicia tak wyraźnie i ostro, bo funkcję

luster w wiosce pełniły albo kawałki polerowanego brązu, tak małe że mieściły się w dłoni i odbijały tylko twarz, albo zniekształcające obraz wypolerowane tarcze. To zwierciadło było zupełnie inne i dopiero, gdy chłopiec wyciągnął rękę przed siebie i zobaczył, że ten drugi robi to samo, przekonał się, że to tylko lustro. To, że może zobaczyć całą swoją postać, bardzo go poruszyło.

Jego ciemne włosy, rano starannie zaczesane z przedziałką przez Julię, były teraz zmierzwioną, ciemną gęstwiną opadającą na ramiona. Z tej gmatwaniny sterczały kawałki liści i gałęzi, zgarnięte podczas przedzierania się przez krzaki. Jego mała twarz była smagła, a ciemne brwi spotykały j się ze sobą, tworząc rodzaj mostu ponad nosem. Oczy lśniły zielonym blaskiem.

Miał na sobie tunikę i wetknięte do butów spodnie z wełnianego materiału w biało-zieloną kratę. Tunika, którą Julia ozdobiła czerwonym haftem wokół szyi i

mankietów, była potargana i ubłocona. Na piersi, na czerwonym sznurze wisiał pazur orła, na brodzie widać było plamę zaschniętego błota, a na policzku zadrapanie. Choć jego odzież była utkana przez Julię z materiału dobrej jakości, to Myrddin nie wyglądał na wnuka wodza. Jedynie nóż w skórzanym pokrowcu przy pasku wskazywał, że jest on kimś ważniejszym niż syn myśliwego, czy zwykłego włócznika.

Myrddin podniósł ręce i zaczesał palcami do tyłu kłębowisko włosów. To miejsce wymaga godności. Może ten, kto do niego przemówił, po dokładniejszym przyjrzeniu mu się uznał, że nie warto z nim rozmawiać.

- Jesteś oczekiwany, Merlinie. -
Głos odezwał się tak nagle, że, jak poprzednio, przeraził chłopca. Merlin? Oni - on - to coś czekało na jakiegoś Merlina. Myrddin znowu poczuł strach. Co będzie, gdy oni - on - to coś odkryje, że to pomyłka? Wziął głęboki oddech i odważnie spojrział w lustro, przede wszystkim dlatego, że jego własne

odbicie na tej powierzchni
dodawalo mu pewności siebie.

- To... To pomyłka. - Zmusił się
do głośnego wypowiedzenia tych
słów. - Jestem Myrddin z klanu
Nyrena! W napięciu czekał na jakiś
przejaw gniewu. Spodziewał się, że
zostanie co najmniej wygnany z
powrotem na górskie zbocze.
Równocześnie gorąco pragnął
pozostać tu, gdzie był, i
dowiedzieć się czegoś więcej o tym
miejscu; a przede wszystkim o
osobie, która zwracała się do
niego tym dziwnym imieniem.

- Jesteś Merlin! - stanowczo
odpowiedział głos. - Jesteś tym,
dla którego wszystko to zostało
przygotowane! Spocznij, synu,
zobacz, kim jesteś i ucz się.
Z jednego z kwadratów, tego po
prawej stronie, wysunęła się
solidna ława. Myrddin dotknął jej
ostrożnie. Była dostatecznie
szeroka, by pomieścić jego drobne
pośladki, wyglądała też na
wystarczająco mocną, by utrzymać
jego ciężar. Chłopiec pomyślał, że
nie ma sensu sprzeciwiać się tak
stanowczemu głosowi.

Ostrożnie usadowił się na ławie na wprost lustra. O dziwo, choć powierzchnia ławy wydawała się solidna, to ugięła się lekko pod jego niewielkim ciężarem, tworząc najwygodniejsze miejsce, na jakim Myrddinowi zdarzyło się kiedykolwiek siedzieć. Odbicie chłopca w lustrze zniknęło. Nim zdążył poczuć niepokój z powodu tego wymazania swojej postaci, pojawił się inny obraz. Tak rozpoczęła się edukacja Myrddina.

Na początku otrzymał dziwny zakaz, zabraniający Myrddinowi dzielenia się swoimi przeżyciami z kimkolwiek. Nawet z Lugaidem, który według niego najlepiej z całego klanu mógł to zrozumieć. Nie istniały jednak granice dla myśli ani wspomnień. Czasami uzyskane z lustra wiadomości tak go ożywiały, że gdy wracał z powrotem do domu, chodził jak w gorączce.

Lugaid, który mógłby coś podejrzewać, był w tym czasie nieobecny. Pełnił funkcję posłańca krążącego między Nyrenem a

niektórymi wodzami i pomniejszych królami, usiłując zorganizować przymierze, które nawet pośród odwiecznych wrogów przetrwałoby aż do ataku na saskich najeźdźców. Ponieważ Ambrosius nie miał tylu ludzi, by móc w otwartej walce skutecznie oprzeć się Skrzydlatym Hełmom i zdradzieckim oddziałom Vortigena, musiał stosować inne sposoby nękania nieprzyjaciela - błyskawiczne ataki na terenach przygranicznych.

Tak więc Myrddin mógł w ciągu następnych lat często wymykać się do jaskini i tam spędzać długie godziny sam na sam ze zwierciadłem. Z początku niewiele korzystał z tego, co mu pokazywano. Był zbyt młody, z niewielkim doświadczeniem. Jednak sceny w zwierciadle, choć nie powtarzane w szczegółach, powtarzały się przy okazji różnych wydarzeń, aż stały się tak ważną częścią pamięci chłopca, jak fakty z jego własnego życia.

Myrddin nieśmiało zaczął wykorzystywać zdobytą wiedzę. Zauważył, że informacje

przekazywane za pośrednictwem zwierciadła miały praktyczne zastosowanie. Mimo swego młodego wieku potrafił oddziaływać na starszych chłopców, zdolnych już do walki. Choć nic nie wiedział o polu ochronnym zniekształcającym obraz, wcześniej zauważył, że szczelina, przez którą dostawał się do miejsca ze zwierciadłem, jest widoczna tylko dla niego. Oprócz tego, że Myrddin mógł zniknąć bez śladu, mógł też zasiać w umysłach któregokolwiek z myśliwych czy pasterzy przekonanie, że był z nimi przez cały dzień. To pozwalało mu spędzać wiele godzin w jaskini. Równocześnie posiadał coś w rodzaju blokady ochronnej wraz z wiedzą o jej wykorzystaniu. Gdy dwukrotnie próbował pokazać Julii to, czego nie było, blokada uchroniła go od osiągnięcia celu. Zrozumiał wówczas, że ta broń została mu dana nie dla błahych celów, lecz by zataić czas spędzany na nauce. Do położonej w głębi gór osady bardzo powoli docierały wszelkie wiadomości. Lugaid nie powrócił.

Mieszkańcy dowiedzieli się, że kierowany dziwnym pragnieniem wyruszył w długą podróż do jakiegoś tajemniczego Miejsca Mocy. Myrddin przyjął tę wiadomość ze smutkiem, bowiem miał nadzieję podzielić się z Druidem niektórymi ze swoich odkryć. Czuł, że tylko ten jeden człowiek z klanu Nyrena, posiadający szczątki dawnej wiedzy, mógłby go zrozumieć. Wkrótce, po wiadomościach dotyczących Lugaida, do fortecy dotarła bardziej tragiczna wieść. Przyniosła ją garstka pobitych mężczyzn, z których część trzymała się w siodłach tylko dzięki bardzo silnej woli lub pomocy swych towarzyszy. Oddział Nyrena wpadł w zdradziecką zasadzkę i ponad połowa wojowników, w tym wódz, została wycięta. Ci, którym udało się przeżyć, przedarli się przez gęste mgły i uciążliwe deszcze późnej jesieni, by ostrzec mieszkańców przed nadchodzącym niebezpieczeństwem. Od tej pory wszyscy w strachu czekali na cios, który ich zniszczy. Gdy żaden atak nie nastąpił,

mieszkańcy trochę odetchnęli. W ich siedzibie wciąż panowała jednak trwoga i niepewność jutra. Nyren nie pozostawił po sobie syna. Władzę nad klanem przejął jego młodszy brat, Gwyn Jednoreki. Z powodu swojego kalectwa Gwyn nie powinien zostać wodzem, mimo iż posiadał sprytne urządzenie z brązu, które mógł przytwierdzać do lewego nadgarstka i wykorzystywać jako potężną broń.

Gdyby Myrddin był starszy, mógłby rościć sobie prawa do dziedziczenia, lecz sytuacja nie sprzyjała niedojrzałemu władcy. Dlatego członkowie klanu powierzyli władzę Gwynowi. Była pora żniw. Ogarnięci trwogą mężczyźni zbierali to, co pozostało na niewielkich poletkach, trzymając w pogotowiu włócznie i miecze.

Wojownicy na wzgórzach stale trzymali straż, gotowi w każdej chwili zapalić ostrzegawcze pochodnie.

W takiej sytuacji Myrddin rzadko mógł zniknąć w grocie ze zwierciadłem. Niecierpliwie

wyczekiwał nadarzającej się okazji, by tam zajrzeć. Sam nie zdawał sobie jeszcze sprawy, jak wiele się już nauczył. Pewnego popołudnia udało mu się wreszcie prześliznąć przez szczelinę i jeszcze raz stanąć przed cudowną taflą. Może to zwykły przypadek, a może coś więcej, w każdym razie tego dnia Myrddin pozostał tam trochę dłużej. Gdy wydostawał się na zewnątrz, zauważył, że już prawie zapadł zmierzch.

Niespokojny, że brama może już być zamknięta, ruszył pędem w dół zbocza, nurkując pośród górskich szczytów. Pragnął jak najszybciej dotrzeć do domu. Biegł, nieświadom, że w ślad za nim posuwają się jakieś cienie, aż do momentu, gdy skądś wyłoniła się ręka i złapała go za kostkę. Upadł i nieomal stracił przytomność. Otoczyło go mocne ramię, które mimo jego zażartego oporu z łatwością przycisnęło go do ziemi. Potem w jego włosy wsunęła się ręka i podciągnęła mu głowę tak, by można mu było spojrzeć w twarz. - Na łaskę Trójcy! - powiedział

ktoś gwałtownie. - To jest ten dzieciak! Wpadł nam w ręce tak łatwo, jakby sam nas szukał! Myrddin nie miał czasu przyjrzeć się swoim oprawcom. Opadła na niego peleryna przesiąknięta ostrym zapachem końskiego i ludzkiego potu. Szybko zawinięto w nią chłopca tworząc bezwładny ładunek, jaki każdy tragarz potrafi z łatwością przerzucić przez konia. Myrddin zawisł w niewygodnej pozycji, przewieszony przez grzbiet koma stąpającego powoli przed siebie.

III

Z początku chłopiec myślał, że wpadł w ręce saskiego oddziału zbrojnego. Dlaczego jednak nie zarżnęli go od razu? Później, gdy czujnie wytężał zmysły, wyraźnie usłyszał słowa wypowiedane w jego rodzimym języku. Był dla nich "dzieciakiem", którego rozpaczliwie poszukiwali. Czemu ma dla nich takie znaczenie? Myrddin z trudem łapał oddech w stęchłych fałdach peleryny.

Usiłował wykrzesać z siebie trochę odwagi. Widocznie przedstawia jakąś wartość... Jako niewolnik? Nie, niewolników jest w bród. Ponieważ jest tym, kim jest - bliskim krewnym Nyrena? Ale przecież władcą klanu jest Gwyn. Jego głowa miarowo uderzała o bok konia. Wkrótce wskutek tej niewygodnej pozycji chłopiec poczuł pulsowanie w skroniach i mdłości. Poza tym paraliżował go strach.

Jak długo trwała ta droga przez mękę, Myrddin nie umiałby powiedzieć. Był półprzytomny, gdy zdjęto go z konia i bezceremonialnie rzucono na ziemię.

- Uważaj! - odezwał się ktoś. - Oni chcą go mieć żywego, pamiętaj! - Diabelskie nasienie, taki ściągą nieszczęście - wymamrotał ten drugi.

Ktoś zerwał z niego pelerynę, lecz chłopak był zbyt wyczerpany, by się ruszyć. Zresztą i tak nie mógłby się wyzwolić. Poczuł, że wokół jego szczupłych nadgarstków zaciskają się silne więzy.

Mężczyzna, który potraktował go tak brutalnie, był tylko ciemną plamą w ciemności nocy. Gdy ów oprawca po raz ostatni schylił się, by sprawdzić siłę wiązań, chłopiec podniósł się na tyle, aby przyjrzeć się reszcie grupy. Postaci zbliżały się i oddalały tak, że nie dało się ich dokładnie policzyć. Usłyszał rżenie koni. Noc była mroźna, a przejmujący chłód ziemi, na której leżał Myrddin, przyprawiał o dreszcze. Jego porywacze zachowywali milczenie; więc nie dowiedział się o nich niczego. Pewien był jedynie, że to nie Sasi. W końcu przybył jakiś jeździec. Jeden ze skulonych cieni podniósł się i podszedł do przybysza.

- Mamy go, panie.

Odpowiedzią było mruknięcie, po czym jeździec na koniu dodał:

- Jedźcie więc. Nie ma czasu do stracenia. Przecież płynie w nim krew Nyrena i honor klanu ściągnie na nas pościg. Ruszajcie. Świeże konie będą czekały przy "Zębie giganta".

Wydawszy rozkazy, jeździec zniknął

w ciemnościach. Myrddin słyszał żegnające go pomruki niezadowolenia mężczyzn, którzy jednak byli posłuszni rozkazom silnego przywódcy.

Ponownie wrzucono go na konia. Tym razem jednak przytroczono go do siodła, a kostki nóg związane sznurem przeciągniętym pod brzuchem konia. Znowu omotano go peleryną. Okropnie bolała go głowa. Starał się, jak tylko mógł, powstrzymać przechyły ciała w obawie, że w razie upadku koń będzie go włókł po ziemi i zabije, nim ktokolwiek zdoła go okiełzać. Jechali w ciemnościach. Raz zatrzymali się przy wysokiej skale, która mogła być kłębem wystającym z jakiejś ogromnej, przerażającej paszczy. Tam przesiedli się na świeże konie. Myrddin dużo wcześniej popadł w stan odrętwienia, powodowany strachem, bólem i oszołomieniem. Nikt nie zwracał się do niego, nikt się nim nie przejmował. Jakby go wcale nie było. Przypomnieli sobie o nim, gdy trzeba go było przenieść na nowego konia. Całe

ciało chłopca było jedną bolącą raną i każdy ruch konia powodował ból. Myrddin mocno zacisnął zęby z silnym postanowieniem, że nawet w takim stanie zamroczenia nie wyda żadnego jęku.

Zeszli z gór. Świt zastał ich na jednej z dróg zbudowanych jeszcze przez Rzymian. Teraz Myrddin mógł lepiej przyjrzeć się grupie porywaczy. Przypominali tych, których dobrze znał, tylko ich twarze były obce. Z dziesięciu wszyscy z wyjątkiem dwóch byli włócznikami, jacy z zaciągu mogli służyć wodzowi każdego klanu, i ci trzymali się z tyłu.

Wodze konia, który wioził Myrddina, trzymał mężczyzna odziany w pięknie wykonaną purpurową pelerynę, lecz teraz brudną i postrzępioną. Jego włosy barwy polerowanego brązu sięgały poniżej ramion wzorem dawnych plemion.

Usta o pełnych wargach otoczone były bujnymi wąsami, a na pulchnych policzkach widoczny był kilkudniowy zarost.

Był to młody mężczyzna o muskularnych barkach, z obręczami

z brązu na potężnych przedramionach. Przy jego udzie, rzymskim zwyczajem, zwisał miecz, a pomiędzy łopatkami wisiała mała drewniana tarcza z umbem i krawędzią z metalu. Wojownik miał zapuchnięte oczy, jakby już bardzo długo obywatł się bez snu. Od czasu do czasu ziewał, szeroko rozwierając szczękę.

Mężczyzna po lewej stronie Myrddina całkowicie różnił się od tamtego. Był chudy jak szczapa, pierś okrywał mu podziurawiony, nędznie połatany pancerz. Hełm, który utracił już swój pióropusz, był zbyt głęboko naciśnięty na wąską głowę. Widać było, że należał kiedyś do kogoś większego. Także ten wojownik posiadał miecz, a prócz niego włócznie ze zmyślnie zaostrzonym końcem. Nie jechał ociężale i sennie, jak ten drugi, ale siedział w siodle sztywno wyprostowany i cały czas rozglądał się na wszystkie strony, jakby spodziewał się nagłego ataku. Myrddin był tak zmęczony, że kiwał się w siodle w i w tył, lecz wyglądało na to, że żaden z

porywaczy zwracał na niego uwagi. Nic z tego, czego nauczył się w jaskini, nie podpowiadało mu, co jeszcze go czeka. Wiedział jedynie, że ci mężczyźni nie gotują mu nic dobrego. Nie próbował więc wybiegać myślami w tę niepewną przyszłość. Nie podejmował też żadnych starań, by zapamiętać porywaczy oraz otoczenie. Ten teren był dostatecznie obcy dla kogoś, kto urodził się i wychował w górach i nic nie wiedział o nizinach. Przed północą porzucili wyludnioną ścieżkę. Spotykane na głównym trakcie oddziały zbrojne klanów oraz grupy Sasów niechętnie schodziły z drogi, by umożliwić im szybki przejazd. Wkrótce przed nimi pojawiły się kamienne budynki wzniesione i zdobione w zupełnie inny sposób niż znane chłopcu ściany fortecy. Myrddin czuł dotkliwy głód i pragnienie, ale nie poprosiłby o nic tych, z którymi podróżował. Gdy jednak zatrzymali się u źródła, by napić się i napoić konie, jeden z mniej: ważnych

członków oddziału napełnił mały drewniany kubek i przyłożył chłopcu do ust. Myrddin pił łąpczywie i czuł, że wraca do sił. Przyjrzał się uważnie temu, który wydawał się bardziej wrażliwy niż reszta grupy.

Był on dużo młodszy od pozostałych, z jasnym meszkiem na znaczonej bliznami podbródki.

Oczy, którymi spoglądał na Myrddina, były jasne jak błękitna woda, wyraz twarzy - smutny i posępny.

Myrddin przełknął raz i drugi.

Czuł ból i opuchliznę w gardle.

Gdy spróbował się odezwać, jego głos zabrzmiał jak skrzypnięcie.

- Dziękuję - wykrztusił, nim obok zjawił się mężczyzna w hełmie.

- Trzymaj język za zębami,

diabelskie nasienie, albo

przyśniemy ci go drewnianym

kołkiem! - Zbliżył się na swoim

rumaku, płosząc wymęczonego konia

Myrddina. - Acha, i nie

potrzebujemy tu twoich czarów.

Pochylił się i chwycił kaptur

peleryny Myrddina, ściągając ją

równocześnie w dół, by zasłonić mu

oczy.

- Ty głupcze! - Najwyraźniej zwracał się do tego, który podał wodę. - Chcesz, by opętały cię demony?! Mówią, że ten, choć taki młody, może przyzywać wszelkie duchy.

Myrddin usłyszał westchnienie, prawdopodobnie wydane przez dobroczyńcę, i poczuł satysfakcję, że zdażył skosztować tej wody, nim przywódca bandy mu przerwał. Ten łyk, choć niewielki, wydobył go w jakiś sposób z transu bólu i przerażenia, w jakim znajdował się przez większość nocy. Nie mógł liczyć na nic więcej, lecz znowu zaczął myśleć. Było tak, jakby szok spowodowany porwaniem po długim pobycie w jaskini pozbawił go w jakiś dziwny sposób zdolności logicznego myślenia. Dopiero drobny gest współczucia ze strony niezdarnego chłopca wyrwał go z tego zamroczenia.

Co mógłby wykorzystać na swoją korzyść? Użyć zaślepienia, którego potrafił używać w stosunku do rówieśników z własnego klanu, by zataić wizyty w jaskini? Wiedza

Myrddina znacznie wyprzedzała jego wiek. Coś zaczynało świtać w jego umyśle, a może raczej w tej części jego istoty, która nie "myślała" w dosłownym tego słowa znaczeniu, lecz raczej wyczuwała, że ta przygoda jest ważną częścią pisanej mu przyszłości.

Nazywali go "diabelskim nasieniem". Już wcześniej słyszał to określenie, choć nigdy nie rzucono mu go w twarz. Krew Nyrena miała prawa, których żaden członek klanu nie mógł mu odmówić. Jednak to, że jego ojciec nie był jednym z legendarnych Ludzi Przestworzy, ale demonem, było częstym zarzutem. Przecież został poczęty w Wigilię Samain, gdy wszystkie rodzaje duchów piekielnych szaleją na wolności. Gdyby nie odnalazł groty ze zwierciadłem, może nawet sam zacząłby w to wierzyć - tak bardzo ta wersja pasowała do powszechnie znanych faktów. Jednak jaskinia z pewnością należy do Ludzi Przestworzy. Myrddin już zdążył się dowiedzieć, że przyszedł na świat, by wykonać określone zadanie. Musi poświęcić

całe życie jego wypełnieniu. Wciąż jednak nie przychodzili mu na myśl żadni wrogowie. Gwyn rządzi klanem, a Myrddin nigdy się temu nie sprzeciwiał, gdyż jego przeznaczeniem jest coś innego niż dowodzenie wojskami. Wszyscy krewni pogodzili się już z tym, że gdy nadejdzie czas, chłopiec pójdzie w ślady Lugaida. Dla kogóż innego może być zagrożeniem? Zmagał się z tą łamigłówką, aż dotarli do miasta rządzonego przez Vortigena. Porywacze zaczęli ze sobą rozmawiać i z ich słów chłopiec wywnioskował, że są u celu podróży. Czyżby więc wzięto go jako zakładnika? Jednak od śmierci Nyrena krewni Myrddina nie mieli już takiej wartości, by warto ich było brać jako zakładników. Oderwał się od swoich myśli, by się rozejrzeć. Głęboko naciśnięty na głowę kaptur uniemożliwiał mu dostrzeżenie czegoś więcej poza drogą pod stopami oraz, tu i ówdzie, krawędzią kamiennej ściany. Był jednak w stanie słuchać. Z początku jego uszy,

nieprzyzwyczajone do gwaru tak dużego miasta, zostały niemal ogłuszone. Nie bardzo potrafił odróżnić od siebie poszczególne dźwięki.

W końcu zmęczone konie zatrzymały się i sznur przytrzymujący stopy Myrddina odpadł. Ciężka dłoń ściągnęła więźnia z siodła i zaczęła brutalnie popychać go naprzód, podczas gdy on ledwie powłóczył nogami. Tak wkroczył do ciasnego i dusznego pomieszczenia, gdzie ściągnięto zeń pelerynę.

Znajdował się w maleńkiej komnacie z kamiennymi ścianami. Wzdłuż jednej z nich ciągnęło się coś, co było ławą czy też łóżkiem, a ponad tym znajdował się otwór okienny. Więzy z jego nadgarstków opadły, lecz ramiona pozostały bezwładne, jak z ołowiu. Dłonie ścierpły od wielogodzinnego spętania.

Mężczyzna w hełmie wyzwolił go, po czym dał mu ostatniego szturchańca w kierunku ławy.

- Czekaaj tu na łaskę Wielkiego Króla - burknął i odszedł, trzasnąwszy drzwiami. Pozostawił Myrddina pogrążonego w smutku tak

głębokim jak ciemny był zmierzch, podczas którego go schwytano. Król. Chłopiec w myślach nadał temu słowu kształt, lecz nie wypowiedział go na głos. Tylko jeden może być tutaj król, choć jego władza zależy przede wszystkim od woli Sasów, których sam sprowadził z za morza, by wzmocnić swoje siły, z początku przeciwko najazdom Szkotów, a potem przeciwko tym wszystkim, którzy mogli w jakiś sposób zagrozić jego pozycji. Vortigen - jak uczono Myrddina od chwili, gdy zaczął cokolwiek rozumieć - jest zdrajcą, nic nie wartym człowiekiem, który obecnie słucha rozkazów Skrzydlatych Hełmów i dla ich przyjemności wycina w pień swoich ziomków.

Czego jednak Vortigen może chcieć od niego, Myrddina? Intensywne myślenie przyprawiło go o ból głowy. Usiadł na kamiennej ławce i potarł ręce, z trudem powstrzymując się od płaczu, gdyż ból powracającego krążenia w spuchniętych dłoniach był nie do wytrzymania.

Próbował zebrać w myślach wszystko, co wiedział na temat Wielkiego Króla. Ostatnią wiadomością, jaka dotarła tak daleko w góry, aż do domu Nyrena, było to, że Vortigen ma zamiar wznieść wspaniałą wieżę forteczną, która przyćmiłaby wszystko, co pozostawili po sobie Rzymianie. Jednak wędrowny jednoręki handlarz, który przyniósł do wsi tę wiadomość, mówił też, że w trakcie budowy pojawiły się problemy. Ułożone starannie jednego dnia kamienie znajdowano następnego ranka porozrzucane lub tak przechylone, że były bezużyteczne. Powiadano, że za sprawą czarów wszystkie ludzkie wysiłki, zmierzające do wzniesienia tej fortecy, spełzają na niczym.

Myrddin oparł głowę o ścianę. Był tak zmęczony, że choć było mu niewygodnie, nim zdążył znaleźć odpowiedzi na swoje pytania, zapadł w sen, a może raczej w ciemność gęstsza niż mrok celi, której był więźniem. Gdy się obudził, wokół niego

połyskiwało światło i przez chwilę myślał, że jest znów w grocie ze zwierciadłem. Kiedy jednak otworzył oczy i podciągnął się na ławce, zauważył, że w otwór wysoko w ścianie wetknięta jest pochodnia. Pod nią stał jakiś człowiek i przyglądał mu się. Chłopcu żywiej zabiło serce. Taką białą tunikę widział tylko u Lugaida podczas ważnych uroczystości. Tej jednak brak było złotej spirali na piersi. Jeżeli ten ktoś jest bardem, to można przywitać go jak przyjaciela. Myrddin już, już miał wypowiedzieć pozdrowienie, którego dawno temu - a może tylko zdawało mu się, że to było dawno - nauczył go Lugaid, gdy mężczyzna odezwał się:

- Synu demona, synu nie pochodzący od śmiertelnika, zabraniam ci używania jakichkolwiek diabelskich sztuczek! Ostrzegam, że zobowiązany jesteś do wyższego i niższego posłuszeństwa i nie wolno ci zerwać owych duchowych więzi!

Wypowiadał te słowa tak, jak recytuje się rytualną pieśń. Równocześnie wskazywał na Myrddina

drażkiem, który częściowo był biały, a częściowo pokryty rdzawą czerwienią podobną do krwi. Chłopiec poczuł w nozdrzach niemłą woń. Potrząsnął głową, usiłując rozgonić tę niewidzialną chmurę, która otaczała mężczyznę. Ten człowiek z pewnością nie jest podobny do Lugaida. Równocześnie Myrddin zdał sobie sprawę, że cały wcześniejszy strach był niczym w porównaniu z tym, czego doświadczył teraz. To jest nie tylko zagrożenie dla ciała, lecz również, a może przede wszystkim, dla całej jego istoty. Zaczął więc powtarzać nie słowa powitania, które miał już na końcu języka, lecz inne, również poznane od Lugaida. Oczy obcego Druida rozszerzyły się. Laska przeszyła powietrze między nimi z taką siłą, że mogłaby powalić człowieka. Wywołany tym lotem powiew musnął pokrytą kurzem twarz Myrddina. Ów gest był zaledwie czczą groźbą, co chłopiec natychmiast zauważył. To odkrycie sprawiło, że rozsądek zaczął przeważać nad strachem.

- Czego chcesz ode mnie? - Myrddin

celowo nie dodał do pytania żadnego grzecznościowego zwrotu. Może i ten obcy nosi tunikę jak Lugaid, ale przeczucie mówiło, że nie jest on tej samej rasy.

Tamten uspokoił już swoją różdżkę, lecz jej zaczerwieniony czubek wciąż wycelowany był prosto w Myrddina, niczym włócznia przed zadaniem śmiertelnego ciosu.

- Jesteś jednym z proroków, "bez ojca urodzonym", przeto nadajesz się dla celu Wielkiego Króla.

Bowiem my, którzy mówimy w imieniu Mocy, wiemy, że jego forteca nigdy nie powstanie, jeśli nie zostanie zroszona krwią młodzieńca zrodzonego bez ojca.

Głęboko wewnątrz Myrddina coś drgnęło, coś jakby mu się przypomniało. Coś takiego było...

Może dowiedział się tego od lustra, a potem zapomniał... Nie może przecież wiecznie pamiętać wszystkiego, co przedstawiono mu kiedyś w ukrytej grocie. Zdaje się, że zamiast tego niektóre fragmenty wiedzy są tak głęboko ukryte w jego umyśle, że wydobyć je może dopiero jakieś kluczowe

słowo czy też znajomy przedmiot. I to właśnie się stało. Nie trzeba jego śmierci, był tego pewien, i jego pewność co do tego dodała mu otuchy. Został tutaj ściągnięty nie tylko z woli Wielkiego Króla, lecz również z innego powodu, mającego ścisły związek z zadaniami, które wciąż na niego czekają.

Jeżeli Druid spodziewał się po nim oznak strachu i uległości, to poważnie się rozczarował. Myrddin bowiem spoglądał na niego z hardo podniesioną głową.

- W imieniu jakich Mocy mówisz? -
Również tym razem celowo opuścił wszelkie tytuły i zwroty grzecznościowe. - Może twoje słowa nie pochodzą z Przeszłości, ale raczej z ludzkich żądz.

Druid na chwilę wstrzymał oddech. Jego oczy próbowały uchwycić i utrzymać wzrok Myrddina w jednym z tych zniewalających uścisków woli, który obezwładniłby chłopca i uczynił z niego narzędzie do wykonywania rozkazów. Myrddin, przypomniawszy sobie wszystko, co wiedział o ochronie własnych

sekretów, odwrócił wzrok.

- Co wiesz o Ludziach Przestworzy?

- spytał Druid tonem, w którym zabrzmiało mniej buty, a pojawiła się nutka niepokoju.

- A ty? - odparował Myrddin.

- Że nikomu z niewtajemniczonych nie wolno o nich wspominać! -

Twarz obcego stała się czerwona ze złości. - Co takiego

wyszpiegowałeś, diabelskie nasienie?

- Czy mógłbym być szpiegiem i znać to? - Tu Myrddin uważnie wymówił hasło, którego tak dawno nauczył go Lugaid.

Ku zdumieniu chłopca tamten roześmiał się z ulgą.

- To teraz zupełnie bez znaczenia. Słuchamy nowych Mocy. Nie możesz powoływać się na krewnych, będąc tym, kim jesteś. Jesteś zaś dobrym mięsem na użytek Wielkiego Króla. Lepiej, byś był martwy, żebyś nie mógł zwodzić innych głupców swoim gadaniem o zapomnianych sprawach. Wejść!

Odwrócił głowę, lecz nie na tyle, by stracić Myrddina z oczu, jakby obawiał się, że chłopiec naprawdę

mógliby być poważniejszym przeciwnikiem, niż na to wygląda.

- Wejść i brać go!

Mężczyzna w zbroi dawnych wojsk przeszedł obok Druida, z szacunkiem omijając jego osobę. Myrddin nie stawiał oporu, gdy ponownie związywano mu ręce z tyłu i popchnięto w kierunku drzwi. Druid odwrócił się i wyszedł, lecz czekał na nich przy wyjściu. Silny blask słońca zmusił Myrddina do przymknięcia oczu, gdyż w tej sytuacji nie był w stanie unieść rąk do czoła. Wokół niego pojawiło się więcej strażników. Za tym rzędem uzbrojonych mężczyzn chłopiec dojrzał członków tutejszych klanów i Sasów obserwujących go z jakąś chciwą zachłannością, co go do głębi wzburzyło.

To samo zło, które jak fetor emanowało z Druida, wisiało nad całym tym towarzystwem. Żerowało na ludzkim strachu, tłumiło odwagę, tak by człowiek poszedł bez oporu na każdą śmierć.

Jednakże, choć chłopiec skulił się w sobie pod wpływem tych ujemnych

emocji, szedł prosto, bez wahania, z podniesioną głową i niezłomną wolą.

Droga biegła pod górę w kierunku sterty kamieni, z których Vortigen rozkazał budować fortecę. Po drodze Myrddin rozglądał się na boki, tym razem nie szukając twarzy zebranych gapiów, lecz dlatego, że był świadom - jakby mógł przeniknąć wzrokiem ziemię - co jest pod jej powierzchnią. Zatrzymali się przed podwyższonym kamieniem, przykrytym pięknie haftowaną peleryną. Na tym prowizorycznym tronie siedział Wielki Król. Tego tytułu nie przyznałby mu żaden mieszkaniec gór.

Myrddin ujrzał mężczyznę w wieku mniej więcej swojego dziadka, lecz w jego twarzy nie było szlachetności ani dumy, lecz tylko pijacka opuchlizna. Oczy Vortigena niespokojnie przebiegały po otaczających go twarzach, jakby król w każdej chwili spodziewał się zdrady. Jego dłonie bawiły się rękojeścią miecza, choć - sądząc po wątlej budowie i opasłym

brzuchu, na którym ledwo dopinał się pas - nie parał się już wojaczką.

Za królem stała kobieta. Piękna, dużo młodsza od niego, z czerwono-złotą koroną królowej na żółtych, jak dojrzałe zboże, włosach. Jej czerwona tunika była tak przeładowana złotymi haftami, że kobieta błyszczała w słońcu niczym metalowa figurka. Pomimo urodziwej twarzy wionęło od niej chłodem złota, a nie ciepłem ludzkiego ciała.

Nie było w niej nieśmiałości ani skrępowania. Spoglądała odważnie, z lekkim uśmiechem na ustach, który jednak nie łagodził hardego spojrzenia. A kiedy jej oczy spoczęły na chłopcu, zalśniły tym, co Myrddin bezbłędnie odczytał jako okrutne zaciekawienie.

- To ten chłopak? - spytał Vortigen. - Czy aby na pewno jest "bez ojca urodzony"?

- Wasza Wysokość - odpowiedział Druid. - Dowód pochodzi z ust tej, która go porodziła. Jeden z posiadających Moc wypytywał ją i nie mogła kłamać. W noc Samain

posiadł ją jakiś zblakany duch lub demon.

- Królu - Myrddin podniósł głos i zauważył, że tym razem nie był to pisk. Nawet dla własnych uszu jego głos brzmiał pewnie i zdecydowanie. - Dlaczego twoi doradcy cię okłamują?

Druid obrócił się i uniósł łaskę. W tej samej chwili głęboko tkwiące wspomnienia Myrddina całkiem się obudziły. Jego wzrok padł na zagniewanego kapłana i przez dłuższą chwilę na nim spoczywał. Z oblicza Druida zniknął rumieniec. Jego rysy dziwnie złagodniały. Wyglądał na wyczerpanego.

Vortigen w osłupieniu przyglądał się tej przemianie.

- Cóżżeś ty uczynił, synu diabła? - Król uniósł palce i wykonał znak odzegnujący złe moce.

- Nic, Jaśnie Panie. Zdobyłem tylko możliwość poinformowania cię, że jesteś oszukiwany.

Król oblizał wargi. Jego palce zacisnęły się na rękojeści miecza i do połowy wyciągnęły ostrze z pochwy.

- W jakiej sprawie jestem

oszukiwany?

- W sprawie wznoszonej przez ciebie fortecy, panie. Myrddin podbródkiem wskazał stertę kamieni.

- Wykop dół, a zobaczysz. Pod spodem znajduje się źródło, które zmiękcza ziemię. Tak więc grunt w tym miejscu nie może utrzymać ciężaru kamieni, które ustawiasz na powierzchni. W owej wodzie znajdziesz przeznaczenie tego kraju. Kryje się tam biały smok zza morza.

Spojrzał ponad ramieniem króla na wyniosłą królową, której wzrok był teraz tak mocno wbity w chłopca, jakby ona również potrafiła zawładnąć czyjąś wolą. Jednak jej siła była bardzo wątła w porównaniu z tym, w co zwierciadło wyposażyło Myrddina.

- Po drugiej stronie zbiornika znajduje się czerwony smok Dawnych. Toczą one ze sobą odwieczną walkę. Obecnie biały smok zyskuje na sile i wkrótce pokona swego wroga. Lecz bliski jest dzień, bliższy niż sądzisz, panie, gdy czerwony smok zwycięży.

Rozkaż swoim ludziom kopać.
Przekonasz się, że mówię prawdę.
Ręka złotej królowej wysunęła się
w przód, jak gdyby chciała dotknąć
ramienia Vortigena. W tym momencie
Myrddin rozpoznał w niej wroga. To
więcej niż saska dziewczyna, która
uwiodła Wielkiego Króla, to...
Zmarszczył brwi, wyczuwając nowe
zagrożenie, którego nie rozumiał,
z którym nigdy dotąd się nie
zetknął. Zaniepokojony, skupił
całą swoją uwagę na Wielkim Królu.
Instynktownie czuł, że w tej
chwili siła jego wyszkolonej woli
jest u szczytu możliwości.

- Niech kopią, królu!

Vortigen pochylił się w przód tak,
że jego ramię znalazło się poza
zasięgiem królowej, przytaknął i
powtórzył:

- Niech kopią!

Przyniesiono łopaty i rozpoczęto
kopanie. Robotnicy pracowali
ciężko i szybko pod okiem króla,
aż spod stoku wzgórza wytrysnął
słup wody. Po chwili odkryto małą
grotę, w której znajdował się
zbiornik.

Myrddin zebrał swe siły. Tym razem

to nie drobne zmylenie pamięci po to, by nie być widzianym przez rówieśników, których młode umysły były podatne na jego zabiegi. Nie, teraz musi stworzyć iluzję, której obecni tutaj nie zapomną.

Po jednej stronie wody było czerwone ciało, po drugiej fragment białej plamy. Końce ich płomieni skierowane przeciwko sobie nawzajem, pochylone, łopoczące. Tak długo jak tylko mógł, Myrddin podtrzymywał tę iluzję, po czym, pozbawiony już energii, pozwolił płomieniom rozpląnąć się w nicości. Na twarzach otaczających go osób rysowało się przerażenie. Ktoś w pośpiechu przeciął mu więzy. Wielki Król zwrócił pobladłą twarz w jego stronę. Był wyraźnie roztrzęsiony.

- To prawda... Prawda - powtarzał. Jego głos brzmiał donośnie w ciszy, jaka zapadła na wzgórzu.

- Powiem ci jeszcze jedno. - Myrddin wypowiedział słowa, które same cisnęły mu się na usta. - Twoje dni są policzone, Wielki Królu. Wiedz, że Ambrosius

nadejdzie z wieczorną gwiazdą.

IV

- Mówią, że jesteś czarownikiem, chłopcze. Dowódca miał na sobie czerwoną pelerynę tak odchylną do tyłu, że odsłaniała napierśnik w stylu dawnych Rzymian - ozdobiony wieńcem laurowym biegnącym wokół boga dzierżącego w obu rękach pioruny. Był to krępy mężczyzna z nieodgadnionym wyrazem twarzy, jakby ujawnianie emocji uważał za przejaw słabości. Nie tylko jego strój przypominał Rzymian: miał ogorzałą, smagłą cerę, włosy spięte przy samej głowie i gładko ogoloną twarz. Jego broda była natomiast tak bujna, że wyglądała na sztucznie trzymaną w ryzach przy pomocy wszystkich możliwych zabiegów.

Myrddin czuł, że siła woli tego człowieka jest jak potężna broń. Oto prawdziwy przywódca. Wszystko, co mówi się o Ambrosiusie Aurelianusie, okazało się prawdą. Jest z pewnością ostatnim z Rzymian, który reprezentuje

wszystkie ich zalety, w tym zdecydowanie w dążeniu do celu, a prawdopodobnie również ich wady. Oto prawdziwy wódz, za którym można pójść w ogień. Nie jest to jednak ten, którego szuka Myrddin. Nie jest tym, który ma zjednoczyć rozbite części Brytanii w jeden naród. Jest zbyt rzymski, by być dla tutejszych kimś więcej niż wartościowy wojownik zapatrzony w czasy, które w ciągu wielu lat rozbicia odeszły w niepamięć.

- Panie. - Chłopiec starannie dobierał słowa. Nie mógł powiedzieć całej prawdy, gdyż Ambrosius nie uwierzyłby. - Panie, pochodzę z gór i znam tę ziemię. Powiedziałem tylko to, co ludzie Wielkiego Króla powinni wiedzieć już wcześniej. W miejscu, w którym pod wzgórzem bije źródło, podłoże nie może być trwałe.

- A te smoki, biały i czerwony, których walkę nasi niewolnicy klną się, że widzieli? - szybko odpowiedział Ambrosius. - Skąd one się wzięły, też z twojego źródła? - Panie, ludzie widzą to, czego się spodziewają. Była tam woda,

jak powiedziałem, więc spodziewali się zobaczyć całą resztę. Te smoki były w ich umysłach, bo widzieli taką prawdę, jaką znają. Biały smok Sasów przechylał szalę zwycięstwa na stronę Vortigena, a czerwony, reprezentujący naszą ziemię, przegrywał.

Ambrosius surowo spojrział na chłopca.

- Ja nie będę stosował żadnych czarów - powiedział z mocą, której nie dało się nie zauważyć. - To niegodziwość wobec bogów i tumanienie głupców. Pamiętaj o tym, mały proroku! Choć dla ratowania życia każda broń jest dobra, to potem człowiek nie powinien już tego próbować. Ja i moi ludzie walczymy uczciwie tym.

- Dotknął miecza leżącego przed nim na stole. - Magia nocy, zło czarów to nie nasze metody. Niech je stosuje ta po trzykroć przeklęta saska wiedźma, która omamiła Vortigena.

Myrddin słyszał już opowieść o królowej, która sporządziła truciznę do zamordowania najstarszego syna Vortigena, co

dało początek wystąpieniom nowych sprzymierzeńców króla przeciwko niemu.

- Panie! - odpowiedział. - Nie jestem czarownikiem! I nie proszę cię o nic więcej, niż bym mógł odejść tam, skąd przyszedłem. Wydało mu się, że wyczuł zaciekawienie w spojrzeniu swojego rozmówcy.

- Nie jesteś krwi Nyrena, wielkiego wojownika i lojalnego człowieka. Jesteś w wieku odpowiednim do noszenia broni. Jeśli chcesz, mogę cię włączyć do mojego oddziału. Tylko przestań prorokować i zadziwiać ludzi swymi słowami.

- Panie, twoja propozycja jest dla mnie zaszczytem. - Myrddin skłonił głowę, by podziękować za okazaną mu grzeczność. - Lecz ja nie jestem człowiekiem walki. Mogę ci służyć w inny sposób.

- W jaki inny sposób? Czy twierdzisz, że jesteś bardem z mocą słów? Chłopcze, musisz się jeszcze długo uczyć wszystkiego, co bard musi wiedzieć. A ja nie jestem królem, by wysyłać do

wrogów mówców zamiast wojowników. Nie nazwę cię tchórzem, bo wygląda na to, że byłeś w śmiertelnym niebezpieczeństwie i tylko dzięki własnemu sprytowi wyszedłeś z tego cało. Lecz w chwili obecnej jedynie siła może przeciwstawić się sile, a Sasi nie rozumieją potęgi słów i nie słuchają ich z taką uwagą, z jaką czynią to nasi ludzie.

- Panie, mówisz o czarach, a czasem we mnie odzywa się dar jasnowidzenia. Czy to również uważasz za całkiem złe?

Ambrosius milczał dłuższą chwilę, po czym odpowiedział niskim, świadczącym o namyśle, tonem:

- Nie, nie zaprzeczam prawdzie przepowiedni. Zło jednak tkwi w samej ich istocie: jeżeli człowiek będzie wiedział, że czeka go zwycięstwo, będzie mniej oddany walce, jeśli zaś będzie wiedział, że przegra, wówczas opuści go otucha i będzie uchylał się od ataku. Przeto nie chcę wiedzieć, co leży poza chwilą obecną, nie chcę też stosować żadnych wróżb, nawet tych, które w dawnych

czasach wykorzystywano w Legionach. Myślę więc, że masz rację, Myrddinie z klanu Nyrena. Jeśli na tym polegają usługi, jakie możesz mi ofiarować, muszę odmówić, a dla ciebie lepiej będzie, gdy pójdziesz swoją drogą. To, czego dokonałeś, zdecydowało o losie wojsk Vortigena, i za to ci dziękuję. A my będziemy walczyć o to, by czerwony smok wygrał swą bitwę, bez czarów. Poproś moich ludzi o konia i żywność i ruszaj do swoich.

Tak oto Myrddin, który opuścił góry jako pojmany, przerażony chłopiec, powrócił jako chłopiec ciałem, lecz duchem i umysłem całkiem odmieniony. Bowiem ten, kto posiada taką Moc, w jednej chwili przeskakuje z młodości w wiek dojrzały i nigdy potem nie jest już taki sam. Miał w jukach tyle żywności, że mógł ominąć wioskę i udać się prosto do jaskini. Pozostawił konia w małej dolinie u podnóża góry z grota. Wspiął się i przecisnął przez szczelinę. Gdy

dotarł do zwierciadła, zauważył, że coś w jaskini się zmieniło, choć na pierwszy rzut oka wszystko było tak samo - światła wciąż połyskiwały, lustro stało na swoim miejscu.

Ta siła woli, która pomagała mu znosić trudy podróży - od miasta, opuszczonego przez Vortigena, gdzie obecnie obozowały wojska Ambrosiusa - teraz go opuściła. Opadł na ławę przed lustrem. Był wstrząśnięty nagłym odkryciem, że cała ta podróż nie miała sensu. Opanował go niepokój. Nawet w tym tajemnym miejscu czuł się nieswojo. Pogrzebał w jukach, znalazł suchy chleb i mały bukłak skisłego wina. Pokropił chleb winem i zjadł tylko dlatego, że wiedział, iż jego ciało potrzebuje pokarmu. Nie był to smaczny posiłek, jaki dzielił z żołnierzami, ale tylko tyle w tej chwili posiadał. Żując chleb, Myrddin spojrział w lustro i jeszcze raz zobaczył swoje odbicie: mały chłopiec ze zmierzwioną czarną czupryną. Przyjrząwszy się uważniej swojej

twarży, zauważył, że różni się od rówieśników. Czy ta różnica pochodzi od ojca z Przestworzy? Pośród bogactwa obrazów, jakie w ciągu lat nauki roztaczało przed nim zwierciadło, nigdy jeszcze nie widział żadnej innej osoby.

Chłopiec żuł i przelykał powoli kęsy chleba, raz po raz ostrożnie rozglądając się wokół. Bo choć widział całą jaskinię, ponad połowę nawet w zwierciadle, to miał nieodparte wrażenie, że nie jest sam. Zaczął więc węszyć niczym pies myśliwski, jakby w ten sposób mógł wysledzić intruza. Gdy zaspokoił już głód, wstał, by rozpocząć dokładne poszukiwania pomiędzy kwadratami oraz cylindrami. Zaglądał w każdą szczelinę między nimi, a także w kąty przy ścianie. Nie znalazł nic ani nikogo.

Jeżeli intruza nie ma tu teraz, to może był wcześniej? Myrddin nie rozumiał, w jaki sposób wyczuwa tę obecność. Usiadł ponownie na ławie przed zwierciadłem, oparł głowę na dłoniach. W tej chwili czuł, że utracił poczucie celu, które

przedtem stale mu towarzyszyło.
Wzdragał się na samą myśl o
przyszłości.

Nagle usłyszał ostry brzęk, jaki
mógł wydać kawałek brązu
uderzającego o inny metal. Myrddin
podniósł głowę. Zwierciadło
budziło się - odbicie chłopca
zniknęło z jego tafli. Natychmiast
pojawiła się znajoma mgła, która
stawała się coraz głębsza,
gęstsza...

Wpatrywał się w dziewczynę. Była
zdenerwowana, a jej pozycja
wskazywała na kogoś, kto z
przerażeniem wsłuchuje się w jakiś
dźwięk. Za nią rozpościerała się
dobrze mu znana okolica, ścieżka
prowadząca do jaskini.

Dziewczyna jednak nie pochodziła z
jego klanu! Jej ciało było bardzo
delikatne i wiotkie, ale jeszcze
bez kobiecych krągłości. Miała
bladą cerę barwy wypłukanej kości
słoniowej, na tle której jej włosy
wyglądały niczym ciemna chmura
rozjaśniana tańczącymi czerwonymi
ognikami, jakby słońce szukało w
nich towarzystwa.

Jej twarz była niemal trójkątna, z

szeroko rozstawionymi kośćmi policzkowymi i ostro zarysowanym podbródkiem. Myrddin nagle uświadomił sobie, że rysy tej obcej osoby są podobne do jego własnych.

Miała na sobie prostą suknię jakby skrojona z zielonego kwadratu, w którego centrum wycięto otwór na głowę. Jej talię obejmował szeroki pas ze splecionych ze sobą łańcuchów z podobnego do srebra metalu. Na stopach miała buty sięgające kostki, w których funkcję rzemienia pełnił ten sam metal. Nie nosiła jednak bransolet ani naszyjników.

Podniosła dłonie o długich palcach, by odgarnąć rozwiewane wiatrem włosy, i w tym momencie nie rozglądała się już wokół, lecz wpatrywała się z lustra prosto w Myrddina.

Zaskoczony chłopak nie bardzo był pewien, czy dziewczyna go nie zobaczy. Jednak w jej oczach nie widać było oznak nawiązania kontaktu.

Choć była skromnie ubrana - i wyglądała tak młodziutko,

bezradnie na tle dzikości tego górskiego miejsca - było w niej coś, co wskazywało na posiadana władzę, coś, co mogło emanować chociażby z córki wodza. Myrddin usiadł na swojej ławie, pragnąc bliżej przyjrzeć się dziewczynie, gdyż dziwnie go pociągała, bardziej niż jakakolwiek inna spotkana dziewczyna czy kobieta. Zastanawiał się, kim ona jest i jak znalazła się na górze. Czyżby była gościem w siedzibie klanu? Ale przecież dziewczęta nigdy nie oddalają się od wioski.

Sz szczególnie teraz, gdy w okolicy mogą grasować bandy łupieżców. Właśnie wtedy przemówił dobrze mu już znany głos, który według Myrddina mógł dobiegać tylko z lustra.

- To jest Nimue, wróg Merlina, gdyż pochodzi od Innych.

- Jakich Innych? - Wstrząśnięty Myrddin zażądał wyjaśnień. Głos zwierciadła wciąż nazywał go tym dziwnym imieniem. Chłopiec przyzwyczał się już do tego, lecz dla siebie zawsze będzie Myrddinem.

- Ci, którzy nie chcą, by człowiek
dźwignął się z upadku -
odpowiedział głos. I po chwili
milczenia rozpoczął od nowa: -
Słuchaj uważnie, Merlinie, bo siły
zła nadchodzą i musisz się dobrze
przygotować na spotkanie z nimi. W
dawnych czasach, gdy nasi ludzie
swobodnie przybywali na ten świat,
wyrósł tu potężny naród. Prawda o
nim przerasta wszelkie wyobrażenia
obecnie żyjących na ziemi. Bez
ograniczeń dzieliliśmy się naszą
wiedzą z twoim ludem, z tymi,
którzy potrafili otworzyć na nią
swoje umysły. I powodziło im się
dobrze. Ich córki łączyły się z
urodzonymi w przestworzach, a
dzieci zrodzone z takich związków
były potężnymi herosami i ludźmi
Mocy. Nie zdawaliśmy sobie wówczas
sprawy, że wasz gatunek dotknięty
jest skazą.

Byli też inni, którzy, jak i my,
wyruszyli w międzygwiazdne
podróże. Nie przyszło im nawet do
głowy, że przedstawiciele twojego
gatunku zdobędą taką potęgę i
wiedzę. Gdy tak się stało, owi
Nieprzyjaciele przybyli potajemnie

do tego świata i odkryli w nim słaby punkt, a mianowicie, że ten gatunek podatny jest na przemoc. Nastąpiły takie wojny, o jakich tobie współczesnym nawet się nie śniło. W walce wykorzystywano błyskawice z nieba i siły, które przewracały góry, zamieniając morza w lądy a lądy w morza. Wielu z nas wówczas zginęło. Polegli również nasi uczniowie. Wtedy Nieprzyjaciele powrócili w kosmos. Byli przekonani, że człowiek nie pozbiera się na tyle, by zagrozić ich panowaniu, lecz na zawsze pozostanie prymitywną istotą, pozbawioną światła wiedzy i nauki. Niektóre z naszych dzieci przeżyły i próbowały krzawić dawną wiedzę, lecz wszystko, czego potrzebowali - czyli maszyny, jakie tu widzisz - zostało zniszczone podczas wojen. Człowiek nie potrafił kuć metalu, więc znowu wykonywał broń i narzędzia z kamienia i kości swoich ofiar. Ci, którzy rozpoczęli żywot w dużych miastach, zakończyli go w surowych jaskiniach, mając do dyspozycji tylko własne dłonie i taki zasób

wiedzy, jaki pozostał w ich pamięci.

Ci z nas, którzy pragnęli powrócić, nie mogli, gdyż sprzymierzeńcy Nieprzyjaciół kontrolowali międzyplanetarne trasy. A gdy zapuszczaliśmy się dalej, byliśmy nękani i niszczeni. Tak mijały wieki. Wszystko ma jednak swój kres. Wreszcie nasi wrogowie zaczęli słabnąć, a i my straciliśmy wiele. Nie zapomnieliśmy jednakże o naszych ludziach, pozostawionych bez pomocy na tym świecie.

Skonstruowaliśmy statki, które mogą pokonać próżnię. Musiały one być małe, wobec czego nie mogły zabrać nas, ale przewiozły cząstki życia. Dla odnowienia naszej rasy wystarczyło, by choć jeden z nich dotarł do celu. Wystrzeliliśmy je z nadzieją, bo od dłuższego czasu nie widać było na naszym niebie statków Nieprzyjaciół.

W końcu jeden z naszych pojazdów kosmicznych dotarł do Ziemi.

Jednak sygnał, który go tu ściągnął, był już bardzo słaby, a jego energia tak ograniczona, że

tylko szczęśliwym trafem statek z nasieniem trafił do celu. Tak oto urodziłeś się ty, Merlinie, i masz do wypełnienia ważne zadanie. Potrzebujemy pokoju, by móc powrócić. By zaprowadzić pokój, musisz być naszymi rękoma i naszym wasalem. Nadajnik, który przywołał ten pierwszy statek, już się wyczerpał. Lecz na tej ziemi znajduje się dużo silniejszy nadajnik, który po należytych ustawieniach ściągnie do siebie całą naszą flotę. Uruchomienie go to także twoje zadanie. Istnieje jednak pewne zagrożenie. Gdy my zostawialiśmy tu nadajniki, by sprowadziły nas z powrotem do tego świata, Nieprzyjacielem uczynili to samo. Jeden z ich sygnałów został uruchomiony. Z pozostawionego w nim nasienia narodziła się owa Nimue. Będzie się starała przeszkodzić ci w wykonaniu zadania. Bądź ostrożny, bo Nieprzyjaciele nauczyli ją wszystkich podstępnych sztuczek, a jej moc może równać się twojej. Dotarła już tutaj, przyzwana

energiją tego miejsca, lecz jeszcze nie znalazła tego, czego szuka. Umieszczone tutaj zabezpieczenia wciąż są sprawne. Lecz ona cię odszuka i będzie się starała przeszkodzić ci we wszystkim, co zrobisz, by człowiek pozostał słabszy niż mógłby być.

Masz dwa zadania. Po pierwsze - przywrócić maksymalną moc Wielkiemu Nadajnikowi. Jest to bardzo ważne, gdyż część tego, co niegdyś tam było, dawno temu zabrano za morze na Zachodnią Wyspę. Ci, którzy posiadali nikłe szczątki dawnej wiedzy, rozpoznali w tym Moc i pragnęli z niej skorzystać, lecz posiadanie zaledwie niewielkiej części wiedzy nie pozwoliło im na to. Twoje drugie zadanie to dostarczyć tej ziemi takiego władcy, który zakończyłby obecne właśnie i zaprowadził pokój. Wtedy znowu nadejdziemy, by żyć i pracować wraz z ludźmi.

To właśnie musisz uczynić, choć Nimue będzie próbowała ci przeszkodzić. Bądź ostrożny, Merlinie. W tobie cała nasza

nadzieja, a czasu na wykonanie zadania jest coraz mniej. Jeżeli zawiedziesz, Nieprzyjaciele opanują twój świat i człowiek na zawsze pozostanie w mrokach barbarzyństwa.

Postać Nimue zniknęła z tafli zwierciadła. Zastąpił ją inny obraz - miejsce z gigantycznymi głazami. Niektóre pełniły funkcję kolumn podtrzymujących równie olbrzymie kamienie, położone na nich poziomo. Myrddin poznał to miejsce, nie z własnego doświadczenia, lecz z opowieści Lugaida.

Zostało ono wzniesione przez owych legendarnych przybyszów, którzy władali tą ziemią, nim pojawili się ludzie rodu Myrddina. Było to miejsce kultu nie tylko dla zapomnianych już jego twórców, lecz również dla tych, którzy przybyli po nich. Tutaj skupiały się pewne siły słońca, dzięki którym posiadający odpowiednią wiedzę mogli poznawać tajemnice gwiazd. Nawet teraz spragnieni wiedzy osiedlali się w pobliżu. Myrddin uważał, że właśnie tutaj

udał się Lugaid po śmierci Nyrena.
- To jest Wielki Nadajnik -
odezwał się głos. Po chwili obraz
zachwiał się, by w końcu zniknąć.
Myrddin wyczuł, że pozostał
całkiem sam. Zadania zostały mu
wyznaczone, ostrzeżenie udzielone.
Trzeba przyznać, że chłopak miał
się nad czym zastanawiać. Jakim
cudem mógłby on sam przenieść choć
jeden tak olbrzymi kamień z
Zachodniej Wyspy? Wiedział, że to
niemożliwe. Wciągnięcie współnika
do takiej akcji też wydawało się
nierealne. Któż bowiem słuchałby
go teraz, gdy kraj rozdarty jest
wewnętrzными walkami? Nie mógłby
nawet wyjaśnić wszystkiego, bo jak
słusznie rozumował, wykraczało to
poza możliwości zrozumienia przez
zwykłych śmiertelników, z
wyjątkiem takich jak Lugaid.
Lugaid...

Myrddin zastanawiał się, jaki
wpływ mógłby wywrzeć Lugaid na
królów i przywódców. Jego własne
wspomnienia sugerowały, że Lugaida
należy traktować poważnie. Jednak
czy sąd ten jest obecnie słuszny,
czy też chłopiec idealizuje Druida

- nie potrafił powiedzieć. Tak czy inaczej, wygląda na to, że swe pierwsze kroki powinien zwrócić ku Miejscu Słońca i tam odszukać Druida. Zresztą na pewno lepiej jest odwiedzić to miejsce osobiście niż oglądać je w zwierciadle.

Ustaliwszy swój plan działania, Myrddin znalazł szczelinę między dwiema skrzyniami i, zawinawszy się w pelerynę, ułożył do snu. Spał bardzo niespokojnie. Zdawało mu się, że został zamknięty w wielkiej skrzyni o ścianach przejrzystych jak woda w górskim potoku, przez które mógł obserwować wszystko, co się działo.

Przed skrzynią stała Nimue i śmiała się. Rękami wykonała znak odzegnujący złe moce, znak, z którym tak często spotykał się w dzieciństwie. Wiedział, że jest jej więźniem, a równocześnie czuł palącą potrzebę wyrwania się i wykonania jakiegoś ważnego zadania.

Choć walił w niewidzialne ściany skrzyni tak długo, aż na jego

ciele pojawiła się krew i siniaki, nie mógł się jednak wyzwolić. Cały czas gnębiła go świadomość, że nie sprostał czemuś, co miało być ważne i trwałe.

Tutaj obraz zmienił się i przed Myrddinem pojawił się Lugaid. Spał na posłaniu z jeleniej skóry i suchych liści. Myrddin pochylił się nad nim i położył mu dłoń na czole między oczami. Usłyszał swój własny głos: "Powrócę".

Na dźwięk tych słów Lugaid otworzył oczy i ich spojrzenia spotkały się. Wyraz twarzy Druida świadczył o tym, że ten poznał chłopca. Jego usta zaczęły się poruszać, lecz Myrddin nic nie słyszał, mimo iż wytężał słuch. Między nimi pojawił się kłęb mgły. Lugaid, widząc to oddalił się, poruszając ręką, jakby odganiał złe moce. Mgła wygięła się w kształt twarzy. Jeszcze raz Myrddin ujrzał śmiejącą się Nimue. Wtedy się zbudził.

Podświadomie spodziewał się zastać stojącą nad nim tę obcą dziewczynę, tak jak we śnie on stał nad śpiącym Lugaidem. Był

jednak sam i tylko jednostajny warkot cylindrów po obu jego stronach maćił panującą tu ciszę. Dobrze wiedział, co ma robić. Musi udać się do Miejsca Słońca, upewniwszy się najpierw, że nikt go nie śledzi.

Przede wszystkim powinien zaopatrzyć się w żywność i broń. Choć nie był wyszkolonym wojownikiem, wiedział co nieco o broni, a wybierał się przecież na niebezpieczne tereny, gdzie samotnym podróżnym podrzynano gardła dla lichej szkapy lub marnego odzienia.

Tak więc, prowadząc konia, którego dostał w obozie Ambrosiusa, Myrddin zszedł z góry... i ujrzał spustoszoną osadę. Zastał ślady ognia i miecza, które, sądząc po zimnym już popiele, doświadczyły mieszkańców dość dawno. Opierając się mdłościom, przeszukiwał ruiny, pomiędzy którymi walały się zwęglone ciała obrońców. Było ich zbyt mało... Zastanawiał się, czy jego porywacze nie byli częścią większej grupy z rozkazami zmiecienia klanu Nyrena z

powierzchni ziemi. Znalazł tylko jedno czy dwa ciała kobiet, z czego wywnioskował, że kobiety i dzieci uprowadzono na sprzedaż i w niewolę.

Odnalazł jednak Julię. W martwych dłoniach wciąż ścisnęła złamaną włócznię. Ślady wskazywały na to, że zmarła szybko - prawdopodobnie przeszyta mieczem. Wstrząśnięty tym widokiem chłopak zebrał wszystkie znalezione ciała do szopy, która dziwnym trafem przetrwała. Leżały tam worki ze zbożem i Myrddin zbudował z nich mury, na których złożył krewnych. Julię położył na samym szczycie. Potem odszukał hubkę i krzesiwo, przy pomocy których podpalił żałobny stos. Nie miał bowiem siły, by sprawić krewnym godny pochówek, a nie chciał ich pozostawić na pożarcie sępom. Gdy ogień już płonął, Myrddin zebrał trochę spleśniałego chleba, kawałek nadgryzionego przez myszy sera i butelkę, którą miał zamiar napełnić wodą ze źródła. Nie patrzył więcej na wznoszące się ku niebu płomienie. Oto odchodzi cała

jego przeszłość. Nie pozostał żaden ślad dzieciństwa, jedynie wola wykonania rozkazów, które otrzymał w jaskini.

Odjechał więc Myrddin w stronę wschodzącego słońca, gdzie zbierały się ciężkie chmury.

Oddychał głęboko, usiłując wyrzucić z płuc zapach siedziby klanu, podobnie jak starał się zamknąć umysł przed obrazami, które tam zastał.

Podążał naprzód nawet w deszczu, przyjmując taką kąpiel z radością, jako piękny dar natury tak bardzo kontrastujący z ohydą ludzkich czynów. Myślał o historii opowiedzianej przez zwierciadło. Czy to możliwe, że człowiek żył w pokoju i posiadał wiedzę pozwalającą na jego zachowanie? Jeśli to prawda, a nie ma powodów, by w to wątpić, to Myrddin byłby szczęśliwy, gdyby mógł przyczynić się do powrotu tej złotej epoki. Poczuł głęboką nienawiść. Nie do tych, którzy dokonali pogromu w siedzibie klanu, bo taka była istota najazdów. Jego umysł złościł się raczej na tych Innych,

którzy przybyli z gwiazd i posiadali potęgę, jakiej nie potrafił sobie nawet wyobrazić, i którzy odmawiali człowiekowi prawa do wiedzy, chcąc uczynić zeń nieokrzesaną bestię.

Czy Nieprzyjaciele byli zazdrośni o tych, którzy wybrali ziemską drogę? A może kierował nimi strach? Może przewidzieli, że ludzkość pod jakimś względem jest ich wrogiem, jak dziki kot i pies gończy od chwili przyścia na świat są naturalnymi wrogami? Jeżeli tak było, to jaka ludzka cecha mogła obudzić tak wielki strach wśród potężnych opiekunów? Myrddin chciałby zadać wszystkie te pytania zwierciadłu. Uczyni to, gdy wróci.

Gdy wróci...?

Powinien porzucić takie myśli i skoncentrować się na zaplanowaniu takiej trasy, która uniemożliwiłaby wszelki pościg. Ponieważ nie posiada żadnego doświadczenia w ucieczkach, musi być szczególnie ostrożny.

Omijał więc wszystkie osady z wyjątkiem opuszczonych dawno temu

ruin. W jednej z takich opuszczonych wiosek spędził dwie noce bez ognia i światła, zachwycając się budynkiem, który wciąż nosił ślady takich udogodnień, jakich nie znano w jego klanie. Na szczęście znał już las na tyle, że udało mu się schwytać królika i zestrzelić kaczkę celnym strzałem z procy. Zjadł mięso na surowo. Zmuszał się do takich okropnych posiłków, gdyż nie miał odwagi palić ognia. Przez całą drogę nie opuszczał go strach, że ktoś mógłby go śledzić. Dwa razy ukrył się głęboko w krzakach, gdy drogą zdażały grupy jeźdźców. Owinął wówczas szczelnie końską głowę swoją peleryną, by stłumić najmniejsze rżenie. Myślał, że to rekruci, podążają za Ambrosiusem. Nie miał jednak pewności, a rozsądek nakazywał unikać wojowników. Wreszcie, z uczuciem ostrego głodu w żołądku i ciężącego mu niepokojem, Myrddin doszedł do rozległej równiny i ujrzał przed sobą wielkie stojące głazy jakby ułożone ręką tajemniczego

olbrzyma. Było to Miejsce Słońca.

V

Myrddin opatulił się w swoją pelerynę. Po dachu prostej chaty spływał deszcz, a wewnątrz buzował ogień. Chłopiec trzymał w dłoniach drewnianą miskę parującej, przyprawionej ziołami zupy z królika. Funkcję drzwi pełniła tylko zasłona, którą miotały podmuchy wiatru. Chłopiec padał z wyczerpania, wciąż był zbyt zmęczony, by cokolwiek jeść, choć zapach pożywienia powodował obfity napływ śliny do ust.

Lugaid nie przerywał milczenia. Siedział na ziemi, obracając w palcach fałdy poszarzałej tuniki, postrzępionej i w wielu miejscach nieudolnie łątanej. Ten, który kiedyś zajmował honorowe miejsce w siedzibie klanu, teraz wyglądał jak żebrak. Nie było jednak żebraczego skomlenia w jego głosie, a oczy, którymi spoglądał na Myrddina, były pogodne i bystre.

- Zjedz i wyśpij się - powiedział

Druid. - Tutaj nic ci nie grozi.
- Skąd wiesz, że coś może mi grozić? - Myrddin przełknął łyk zupy, którą zaczerpnął drewnianą łyżką.

- A skąd wiedziałem, że przyjdiesz? - odrzekł Lugaid. - Bogowie dają ludziom sposoby, jeśli ludzie potrafią je wykorzystać. Czy ty sam nie przewidziałeś naszego spotkania? Myrddin, wspomniawszy swój sen, przytaknął:

- Śniło mi się...

Lugaid wzruszył ramionami.

- Kto wie, czym jest sen. To równie dobrze może być nadawana lub otrzymywana wiadomość. Sądzę - dodał powoli - że już dowiedziałeś się bardzo wiele, Synu Obcego.

- Dowiedziałem się... - Myrddin znowu zaczerpnął zupy. Chciał opowiedzieć wszystko, co się z nim działo w ukrytej jaskini, lecz wciąż obowiązywała go tajemnica. Może nigdy nie będzie mógł podzielić się swymi odkryciami z nikim na Ziemi. - Dowiedziałem się, co sprowadziło mnie tutaj. Mam tu zadanie do wykonania. - Nic

nie przeszkodziło mu w powiedzeniu aż tyle.

- To też wiedziałem. Lecz nie musisz tego zaczynać już teraz. Po posiłku wyśpij się, bo odpoczynek też jest ci potrzebny.

Sen Myrddina na liściach i skórach był spokojny, bez gróźb i koszmarów. Gdy się obudził, było już po deszczu, a po jego twarzy błąkały się promienie słońca. Przez odsłonięte drzwi do środka zaglądał dzień.

Poprzez drzwi chłopiec zauważył niektóre ze stojących w dwóch kręgach głazów. Były one bardziej niezwykle niż jakakolwiek starożytna budowla wzniesiona przez ludzi, łącznie z tymi opuszczonymi miejscami, w których ukrywał się w drodze tutaj. Między dwoma kamieniami poruszyła się postać w białej szacie. Gdy podeszła bliżej, Myrddin rozpoznał Lugaida. Jego broda była teraz bielsza od tuniki, sięgała już do pasa, a włosy opadały na ramiona. Mimo to Druid nie poruszał się jak starzec, a raczej stanowczym krokiem osoby w średnim wieku.

Niósł torbę, z której wystawały liściaste gałązki. Myrddin domyślił się, że Lugaid zbierał dzikie zioła i rośliny, co często czynił jeszcze, gdy mieszkali w klanie.

Po chłodzie, jaki przyniósł deszcz poprzedniego dnia, zaczęło grzać słońce. Chłopiec odgarnął pelerynę, która służyła mu za przykrycie. Przepełniało go uczucie wdzięczności, gdy rozprostowywał ramiona i wstawał, a potem wychodził z chaty zgięty w pół. Przejście było bardzo niskie nawet dla kogoś niewielkiego wzrostu.

- Mistrzu! - powitał Druida. Lugaid odłożył torbę.

- Nazywasz mnie mistrzem, a przecież nie jesteś moim uczniem. Jest coś, czego chcesz. - Starzec uśmiechnął się. - Tak, chcesz o coś spytać, ale nie wiesz jak. Nie szukaj pięknych słów. Nie trzeba ceremonii między nami. To ja dałem ci imię, gdy się urodziłeś.

- Tak - powtórzył chłopiec. - Imię, które mi dałeś, Myrddin... słyszałem, że było to imię boga

gór. Jest też inne imię, którym mnie obdarzono, a brzmi ono Merlin.

- Merlin - powtórzył Lugaid powoli, jakby sprawdzał, jak to brzmi. - To nie jest imię z naszego klanu. Ale jeśli zostało ci nadane, ma to jakąś przyczynę. Więc Merlinie-Myrddinie, o co chcesz mnie prosić?

- Byś przekonał do mnie Ambrosiusa Rzymianina. Twarz Druida nie wyrażała zdumienia. Spytał tylko cicho:

- Do czego potrzebujesz łaski Ambrosiusa? I dlaczego nie chcesz sam z nim rozmawiać?

Myrddin najpierw odpowiedział na drugie pytanie, chętnie opowiadając o Vortigenie, przepowiedni i późniejszej rozmowie z Ambrosiusem.

- I myślisz, że nie będzie chciał cię słuchać, myśląc, że twoja prośba ma coś wspólnego z czarami? A czy ma?

- Jeśli dawną wiedzę nazwać czarami, to tak. Lecz właśnie do tego potrzebuję jego pomocy. Trzeba przywrócić kamień na

Miejsce Słońca. Kamień, który najeźdźcy wywieźli na Zachodnią Wyspę. Trzeba go ustawić we właściwym miejscu.

Lugaid powoli kiwał głową.

- Tę opowieść też już słyszałem.

Lecz do Ambrosiusa przemawiają tylko rzeczy ziemskie, takie, które można obejrzeć, dotknąć, usłyszeć, posmakować. Legendy go nie wzruszą. Chociaż...

- Czyżbyś znał sposób, by zyskać jego pomoc? - Myrddin ożywił się, gdy Druid przerwał.

- Może. Nawet dawni cesarze rzymscy wznosili pomniki, by uczcić zwycięstwa swoich wojsk. A prawdą jest, że ten kamień należy do Brytanii i został nam niegdyś skradziony. Gdyby Ambrosius odniósł znaczne zwycięstwo, wówczas podczas świętowania można by mu wspomnieć...

- Ale to potrwa! Szczęście.

Powodzenie... - zaprotestował chłopiec.

- Młodość jest zawsze niecierpliwa. Ja długo już żyję w zgodzie z czasem. Na tyle długo, by wiedzieć, że trzeba z niego

zrobić niewolnika, nie pana.
Inaczej nie uda ci się tego
dokonać. Bo przecież nie ruszysz
takiego kamienia jak te. - Druid
wskazał ręką kręgi za sobą. -
Potrzebujesz pomocy ludzi, statku,
przecierających szlak wojowników.
Czy sądzisz, że ci z Zachodniej
Wyspy tak łatwo oddadzą to, co
uważają za potężne trofeum?
Myrddin dreptał w przód i w tył
trawiony niecierpliwością. Nie
przekonywały go argumenty Druida.
To zależało od tak wielu zrządeń
losu, które mogły się przecież nie
wydarzyć. Pomimo wszystkich nauk
ze zwierciadła, w tej chwili
chłopak nie widział innego wyjścia
jak tylko skorzystać z pomocy
Lugaida. Osobiste zwrócenie się do
Ambrosiusa po zdecydowanej
odprawie, jaką otrzymał, nic by
nie dało.
Zatrzymał się i położył dłoń na
wysokim szarawym kamieniu z
zewnątrznego kręgu. W jakiś sposób
przez ten dotyk spłynęło na niego
poczucie minionego czasu tak
silne, że napełniło przerażeniem
całą jego istotę. Niebieskawą

powierzchnie kamienia pokrywały drobne, okrągłe kryształki piaskowej barwy. Głaz sięgał tak wysoko, że w cieniu jego bryły Myrddin poczuł bezsilność i rozpacz. Nie znał rozmiarów kamienia, którego szukał, ale zdał sobie sprawę, że jeśli jest on taki sam, to pół setki mężczyzn, nawet setka, może nie wystarczyć. Po chwili odzyskał pewność siebie. Owszem, ludzie, przy całej swojej sile, nie są w stanie poruszyć takiego głazu. Jednak istoty, które zbudowały to miejsce, miały własne metody, a zwierciadło pokazało mu niektóre z nich. Niedawne wątpliwości ustąpiły miejsca chęci wypróbowania swojej mocy.

Myrddin spojrział poza kamień, którego dotykał. Następny w tym rzędzie leżał przewrócony na ziemi, a wokół rosła łykowata, wyschnięta trawa. Sięgnął po sztylet przy pasku. Żaden inny nóż nie nadaje się do tego, nawet ten drewniany, który nosi Lugaid, chociaż jest on z drewna świętego dębu. Jego narzędzie musi być z

metal, i to takiego, który
wydawałby odpowiedni dźwięk.
Wyciągnawszy nóż, Myrddin pochylił
się, by dotknąć jego końcem
powalonego kamienia. Zaczął lekko
i powoli uderzać z zachowaniem
określonego rytmu. Równocześnie
wydawał gardłowe dźwięki, które
głos w jaskini kazał mu powtarzać
dopóty, dopóki chłopiec nauczył
się prawidłowo modulować ton.
Stukanie stawało się coraz szybsze
i głośniejsze. Myrddin odczuwał
już ból gardła, bo tak wysokie
dźwięki niemal przekraczały
możliwości jego strun głosowych.
Nagle uświadomił sobie, że wtóruje
mu inny głos - to Lugaid stał po
przeciwnej stronie kamienia.
Stuk-stuk. - Chłopiec poruszał
ręką tak szybko, jak wymagał tego
rytm. Jego twarz pokryła się
potem, ramię opadało ze zmęczenia,
lecz przecież nie może poddać się
słabości ciała. Stuk - śpiew -
stuk.
Tak bardzo pochłonięty był tym, co
robił, że ledwie zauważył pierwsze
drgnienie kamienia. Głaz poruszył
się we wgłębieniu, które wyżłobił

swoim upadkiem przed wiekami. To drgnienie przypominało ruchy budzącego się z długiego snu zwierzęcia.

Stuk - śpiew.

Skała podnosiła się. Zatem to prawda! Nie potrafił Jej jednak utrzymać - ręka opadła bez czucia, nadgarstek nie miał więcej sił, i megalit znowu znalazł się w swoim wgłębieniu. Myrddin ukląkł obok niego. Wciągał powietrze długimi wdechami, zupełnie pozbawiony sił. Gdyby w tej chwili spróbował się poruszyć, ległby jak długi obok kamienia.

- Dobra robota, Synu Przesławy! Myrddinowi dzwoniło w uszach, lecz nie aż tak, by nie słyszeć słów Lugaida. Druid też oparł się o kamień i w zdumieniu wpatrywał się w chłopca.

- Ale - ciągnął - do tej pracy musisz mieć coś lepszego od noża.

- Obrócił się, jedną ręką wciąż oparty o kamień. - I możesz to zdobyć, jeśli jesteś dostatecznie silny duchem.

- Gdzie?

- Z uścisku tych, którzy tu byli.

- Druid wskazał na niskie, uszeregowane kurhany poza kręgiem kamieni. - Bo w swoim czasie oni tego używali. Gdy zmarli, narzędzia grzebano wraz z nimi, gdyż nie pasowały do dłoni słabszych ludzi.

Odebrać zmarłym! Ta część Myrddina, która pochodziła z jego własnego świata, wzburzyła się przeciwko takiej propozycji. Zmarli są zazdrośni o swe skarby. Trzeba być bardzo nierozważnym i pozbawionym normalnych uczuć, by zakłócać spokój tych, którzy odeszli.

- Weźmiesz tylko to, co i tak daliby ci, gdyby żyli - odpowiedział Lugaid. - Spoczywają tutaj również ci, którzy posiadali przodków w przestworzach. A kiedy człowiek umiera, jego ciało leży obok innych jak znoszony i zapomniany przyodzievek. Nie ma tu strażników, tylko środki, zapobiegające dostaniu się takich narzędzi w niepowołane ręce.

- Ale przecież... - opierał się Myrddin, próbując wsunąć stopy pod głąz. - Można szukać całe życie

pośród tych grobów i nie znaleźć właściwego.

- Swoją swoją zawsze znajdzie - spokojnie odpowiedział Lugaid.- Patrz! - Dotknął rozcięcia swojej tuniki i wyciągnął małą lnianą torebkę poplamioną potem, jakby nosił ją już bardzo długo.

Poluzował rzemień, na którym woreczek był zawieszony, i wysypał na swoją dłoń kawałek metalu, który połyskiwał jak klejnot. - Weź i dotknij tego - rzekł.

Myrddin niechętnie wyciągnął dłoń i poczuł, jak Druid położył na niej odłamek.

Podniósł go bliżej oczu, przeturlał koniuszkiem palca po dłoni. Nie jest to brąz, tego był pewien, nie posiada to też delikatności czystego złota. Z taką barwą nie może to być ani cyna, ani żelazo, ani srebro.... Może, tak jak brąz, jest to mieszanka kilku metali. Lecz jeśli tak - to jak zgadnąć których? Kolor odłamka przypominał bardzo wypolerowane srebro, lecz w poprzek, mimo jego niewielkich rozmiarów, widać było tęczę barw,

połyskującą przy każdym ruchu.

- To pochodzi od Ludzi Przeworzy
- powiedział Lugaid. - Nie znamy
takiego materiału od czasu, gdy
świat się przewrócił. Jeżeli ci,
którzy wzniesli to Miejsce Słońca,
leżą tutaj, to to wskaże nam,
gdzie ukryte jest coś, co do tego
pasuje. Można tego użyć tak jak
ci, którzy używają różdżki i
własnych zmysłów do odnajdywania
wody. Podciągnął poję swojej
tuniki i delikatnie wysupłał nitkę
z postrzępionego brzegu. Sprawdził
wytrzymałość nici, napinając ją
między palcami.

Następnie ostrożnie przywiązał nić
do tego fragmentu metalu, a drugi
koniec nici nawinał między dwoma
palcami. Gdy odsunął rękę, metal
zawisł swobodnie.

- Tak będziemy szukać -
powiedział. Przeszukali razem
groby w całym kręgu. Niektóre
miały kształty talerzy, inne
okręgów, zniszczonych z jednej lub
drugiej strony. Wspinali się na
każdy z nich. Lugaid szeroko
rozstawił ręce, pomiędzy którymi
na nici zwisał metalowy odłamek.

Nim zapadła noc, Myrddin stracił nadzieję. Był bliski odmówienia jakichkolwiek szans powodzenia przyrzadowi Lugaida, który miał odnaleźć jakieś dziwne narzędzie z innego świata. Druid jednak wyglądał na zadowolonego z ich wysiłków i po powrocie do chaty był w całkiem niezłym humorze.

- Jeśli nie dziś - powiedział, wrzucając kawałki liści do garnka - to jutro.

- I znowu jutro, i znowu! - kwaśno skomentował chłopiec.

- Jeśli będzie trzeba, Myrddinie-Merlinie - przytaknął Lugaid. - Przede wszystkim musisz nauczyć się cierpliwości, bo zdaje ci się jej brakować. Cóż, taka już natura młodości.

- Już to mówiłeś - odpowiedział Myrddin, dokładając dREW do niewielkiego ognia. - Muszę czekać na możliwą pomoc Ambrosiusa, muszę czekać na odnalezienie narzędzia, muszę czekać... Może za długo!

- Nie pytam, dlaczego to robisz. - Lugaid energicznie mieszał potrawę w garnku. - Lecz zapytuję cię o potrzebę pośpiechu.

- Mam dwa zadania - powiedział chłopiec. - Choć nie wiem, dlaczego właśnie mnie je powierzono. Nie prosiłem się o przyście na świat jako Pan Przesztorzy. - Oparł się na piętach, wpatrując się smutno w ogień. - Niewiele otrzymałem w spuściźnie, prócz kłopotów!

- Nikt nie jest od nich wolny - zauważył Lugaid. - Gdybyś miał to porównać z trudem życia, co byś wybrał? Miecz wojownika i zapewne szybką śmierć, nie prowadzącą do niczego, prócz pozbawienia kogoś życia?

Myrddin pomyślał o siedzibie klanu, jaką widział ostatnio. To był owoc wojny. To była droga brutalnego człowieka, droga, na jaką jego lud jest skazany aż do nadejścia obiecanej zmiany. Będąc tym, kim jest, nie ma wyboru, musi wypełnić rozkazy, wydane przez głos zwierciadła.

- Muszę zrobić, co do mnie należy - powiedział ciężko. - Jeśli czekanie jest częścią planu, muszę je znieść. Zostałem jednak ostrzeżony. - Nie był pewien, czy

może o tym powiedzieć Lugaidowi, skoro o tylu rzeczach ze zwierciadła nie mógł nic mówić. - Istnieje... - Zauważył, że nic nie przeszkadza mu w mówieniu. - Istnieje inny przybysz, którego misja polega na niszczeniu tego, czego ja mam dokonać.

- Jeden z Nieprzyjaciół? - potwierdził Lugaid.

Myrddin był zaskoczony. Ile Druid jeszcze wie?

Zobaczył, że Lugaid się uśmiecha.

- O, to prawda, że tutaj - dotknął palcem swego czoła - posiadam dawną wiedzę. Aby być jednym z nas trzeba studiować tę wiedzę przez 20 lat. Nie wolno tego zapisywać, jak robią to Rzymianie, lecz trzeba przechowywać dla następnych pokoleń w pamięci. Tak, istnieją Nieprzyjaciele, którzy w dawnych czasach sprowadzili na ziemię wszelkie nieszczęścia. To, że oni również mają swoich wasali, cóż może być bardziej przekonujące? Tak więc wysłali jednego z nich, by cię pokonał. Czy wiesz coś o nim, byś mógł go rozpoznać?

- To dziewczyna. - Myrddin nie

musiał zamykać oczu, by nagle ujrzeć postać Nimue, stojącej na górskiej ścieżce z rozwiewanymi przez wiatr włosami i tak stanowczym spojrzeniem jak wtedy, gdy zwierciadło po raz pierwszy mu ją pokazało. - Wiem tylko, że nazywa się Nimue, ale ani z jakiego klanu czy plemienia pochodzi, ani gdzie może być... - Potrzęsnał głową.

- Nimue, imię Mocy, w dawnych czasach nadawane bogini wody. Zapamiętam.

Jedli w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach, i równie cicho położyli się do snu. Myrddin czuł braterską więź, której wcześniej mu brakowało, oraz komfort, jakiego rzadko doświadczał, może tylko w jaskini ze zwierciadłem. A nie był to sen.

Następnego dnia wschodzące słońce zastało ich już przy pracy. Tym razem Myrddin miał więcej zapału. Wiara Lugaida w sens tego, co robi, jakby udzieliła się chłopcu. Skoro i tak ma się nauczyć cierpliwości, to im wcześniej, tym lepiej.

Słońce stało już wysoko, gdy weszli na kopiec większy od innych. Metalowy odłamek zaczął odbijać promienie króciutkimi błyskami, gdy jego wahania stopniowo nabierały prędkości. Lugaid roześmiał się.

- Czy nie obiecałem, że swój znajdzie swego? To właśnie dowód, chłopcze! - Odcisnął piętę swego sandała na torfie pokrywającym kopiec. - Pod tym leży to, czego szukamy.

Wetknął odłamek do ukrytej torebki i pośpieszył do chaty, skąd przyniósł siekiere z brązu.

- Skoro nie mamy odpowiedniej łopaty - powiedział - to musi wystarczyć. To i twój nóż.

Z siłą, która zdawała się przeczyć jego wiekowi, Lugaid wbił siekiere w poprzerastany korzeniami torf.

Była to ciężka praca, więc wymieniali między sobą narzędzia.

Jeden kopał siekiere, a drugi odgarniał skopaną ziemię przy użyciu noża i miski. Przed zachodem dokopali się do masywnego głazu, który stanowił pokrywę grobu. Lugaid oczyszczał brzegi

kamienia, szukając końca, pod którym znajdą wejście. Słońce zaszło, nastał zmierzch. Lugaid stał w wykopanej przez nich jamie.

- Światło! Pochodnię! Przecież nie możemy tego tak zostawić na noc! Myrddin wyprostował się. W rękę trzymał zbrudzony ziemią sztylet. Odrzucił na bok kolejną miskę ziemi. Wiedział, że Druid ma rację - nie mogą zostawić otwartego grobu na noc - lecz jego ludzka część wzdrygnęła się na myśl o zakłócaniu spokoju zmarłych w godzinach ciemności.

Odłożył jednak prowizoryczne narzędzia i pośpieszył poprzez krąg błękitnoszarych kamieni do chaty. W dobrze przykrytym palenisku wciąż tliły się bryły węgla. Chłopiec odpalił od tego żaru dwie pochodnie, a potem zatoczył nimi łuk wokół głowy, by podmuch powietrza rozniecił płomienie.

Z pochodniami w obu rękach pognał z powrotem, pragnąc jedynie jak najszybciej dotrzeć do grobu. Nagle jego koncentrację zakłóciło

alarmujące przeczucie. Rozejrzał się na boki i do tyłu, lecz nie ujrzał żadnego ruchu między kamieniami, których cienie wyglądały jak sterczące ponad ziemią palce. Może po prostu jest przejęty tym, co zamierzają zrobić. Zwolnił jednak i uważnie się rozglądał.

Gdy dotarł do rowu, wbił końce pochodni w ziemię. W świetle ich płomieni dojrzał, że podczas jego nieobecności Lugaid nie próżnował. Znalazł już koniec kamiennego bloku i właśnie wykopywał głębszy otwór, by odkryć przejście, jakie tu kiedyś istniało.

Leżał tam następny głaz, wprawdzie mniejszy, lecz ustawiony pionowo. Musieli zastosować dźwignię z siekiery. Metalowa część narzędzia rozpadła się jednak na dwie części, gdy głaz się poruszył. Otwór był niewielki, precyzyjnie przeliczył się tam tylko Myrddin. Lugaid chwycił pochodnię i przybliżył ją do otworu, by chłopcu poświecić. Wewnątrz znajdowały się różne przedmioty: naczynia, włócznie i jakieś zawiniątko, które rozsypało

się pod wpływem powietrza. Myrddin nie chciał jednak na to patrzeć. Szukał błysku metalu i nagle płomień pochodni odkrył go. Chłopiec ostrożnie wsunął ramię w otwór i macał tak długo, aż jego palce poczuły coś zimnego i twardego. Przyciągnął to do siebie i wyjął na zewnątrz, do blasku pochodni. Był to miecz.

Ostrze mogło być tylko z tego samego metalu, co przechowywany przez Lugaida kawałek. Zupełnie nie zniszczony miecz, prosty i gładki, jakby wykonany zaledwie przed rokiem, odpowiedział na blask płomieni migotaniem tęczowych barw. Trzpień rękojeści otaczały zwoje metalu, a głowicę zdobił wielki zmatowiały kamień. Myrddin ostrożnie podał miecz Druidowi i zaczął wpychać odsuniętą skałę z powrotem w panicznym pośpiechu.

- Musimy to ukryć! - wysapał, nie wysuwając głowy z rowu. - Tam ktoś nas obserwuje.

Usłyszał syczący oddech Lugaida.

- Weź więc to, chłopcze, i uchodź! Zostaw mi światło. Ja zamknę

kopiec. Ale miecza nie wolno narażać...

Druid oddał miecz Myrddinowi i chłopiec znów trzymał go w rękach. Żałował, że nie ma na sobie peleryny, pod którą mógłby ukryć takie długie ostrze. Zdawało się bowiem, że skupia ono światło pochodni i odbija je niczym lampa. Mocno przycisnąwszy broń do siebie, zbiegł z kopca i skierował się w stronę chaty. Był tak pewien, że ktoś obserwuje go spoza głązów, że z każdym krokiem spodziewał się nagłego ataku. Mógł to być jakiś wędrowiec, a nawet zwiadowca odległego oddziału Sasów. To, co Myrddin miał przy sobie, było wystarczająco nęcącym łupem. Jednak jakieś wewnętrzne przeczucie mówiło mu, że obserwator nie jest zwykłym wrogiem.

Wychodząc z chaty z pochodniami, Myrddin pozostawił odsuniętą zasłonę. Ogień wciąż migotał w palenisku i dobrze wskazywał chłopcu drogę.

Myrddin był już o dziesięć kroków od wejścia, gdy od jednego z

głazów oderwała się postać i zaczęła biec w jego stronę. Chłopiec obrócił się, by stanąć z ową zjawą twarzą w twarz. Rękojeść miecza pasowała do jego dłoni, jakby była zrobiona specjalnie dla niego. Głownia była dużo dłuższa niż w mieczach rzymskich, które widział w oddziale Ambrosiusa, i zgrabniejsza niż wykonywane w okolicznych plemionach.

Gdy zatoczył mieczem łuk przed sobą, ten rozbłysł wielobarwnym światłem. Dzierżąc miecz, Myrddin dopiero teraz zrozumiał, co znaczy być wojownikiem, poznał dziką żądzę krwi i podniecenie, ogarniające człowieka spragnionego walki. Nie zdawał sobie sprawy, że obnażył zęby i zaczął pomrukiwać. Choć gotów był zbroczyć krwią ów odebrany zmarłemu miecz, nie ciął zbliżającego się cienia. Bo oto postać stała w pełnym świetle wejścia. I znał ją.

- Nimue!

Tym razem nie tylko widział, jak się śmiała, lecz wyraźnie słyszał jej głos.

- Merlin! - W wymówionym przez nią

imieniu zabrzmiało szyderstwo.

VI

- Dzielny wojownik! - Nutka szyderstwa w jej głosie uraziła go i tak zbiła z tropu, że na chwilę stracił czujność. - I co teraz zrobisz? Przebijesz mnie tą swoją bronią, jak to jest w zwyczaju w tym ponurym kraju?

Myrddin opuścił miecz. Poczuli się nieswojo niczym zagubione dziecko. Skoro jednak już wie, kim ona jest, nie może jej pozwolić na przejęcie inicjatywy.

- Kto pojawia się w ciemności - odparł - i skrada potajemnie, musi się liczyć z możliwością spotkania obnażonego ostrza!

- Czyżbyś myślał, że żelazo mnie pokona? Czy wciąż wierzysz w przesady swojego klanu? - W świetle wejścia jej oczy lśniły jak u kota. Uśmiechała się. - Trać lepiej swoją energię na takich jak oni - Nimue obróciła się i wskazała do tyłu na głazy, zza których przyszła.

Za skałami coś się poruszyło, jak

w sennym koszmarze. Myrddin wiedział, że nie są to realne postaci. Tak jak on użył swej mocy, by Wielki Król ujrział walczące smoki, tak teraz ona próbuje przestraszyć go przywidzeniami. Popatrzył na te zjawy i poza nie jeszcze raz, i wszystkie zniknęły.

Przestała się uśmiechać, zacisnęła wargi. Zasyczała jak wąż lub rozwścieczony kot.

- Czy sądzisz - krzyknęła - że tylko ty posiadasz całą wiedzę Dawnych? Ty głupcze, trzeba wielu lat, by ledwie liznąć tej wiedzy. A ty jesteś tylko chłopcem!

- A ty tylko dziewczyną - odpowiedział stanowczo.

- Nie, nie twierdzę, że wiem więcej, niż wiem. Ale takie sztuczki, jak ta, to zabawa dla kompletnych głupców.

Potrząsnęła głową tak, że włosy spadły jej na ramiona.

- Spójrz na mnie - rozkazała. - Spójrz na mnie, Merlinie!

Jej jasna skóra zalśniła jakimś wewnętrznym blaskiem, rysy zaczęły się wygładzać. Piękno owionęło ją

jak peleryna. Nagle na jej głowie pojawił się kwietny wianek święta Lugnasad. Myrddin poczuł w nozdrzach zapach kwiatów. Zniknęła zielona tunika i jego oczom ukazało się nagie smukłe ciało.

- Merlinie. - Jej głos był czuły i namiętny, uwodzicielski. Zbliżyła się do niego. Cała drżała, tak jakby jej zmysły zmagaly się z dziewczycymi obawami. - Merlinie - wyszeptała - odłóż to śmiercionośne narzędzie i chodź ze mną. Pokażę ci więcej, niż sobie wyobrażasz. Uroki tego świata czekają na ciebie. Chodź! - Wyciągnęła rękę.

Po raz pierwszy poczuł, że jest mężczyzną. Nagle zagrały w nim żądze, których nie doświadczył nigdy przedtem. Zapach kwiatów, urok jej ciała... Uścisk na rękojeści starego miecza nie był już tak mocny. Cała ziemiska część jego istoty pożądała kobiety.

- Merlinie, zostałeś oszukany - powiedziała czule. - Życie nie jest takie, jakim ci je przedstawiono. Oderwano cię od tego, co tkwi wewnątrz ciebie i

daży do wolności. Chodź do mnie,
pokażę ci, co znaczy żyć naprawdę.
Chodź, Merlinie!

Uniosła obie ręce i wyciągnęła ku
niemu, zachęcając go, by ją objął.
Jej oczy były półprzymknięte, usta
wygięte w oczekiwaniu na
pocałunek.

- Merlinie. - Jej głos przeszedł w
szept, obietnicę rzeczy, które
chłopiec ledwie pojmował.

Uratował go miecz. Myrddin poczuł
chłód jego ostrza na nodze, gdy
już prawie wypuścił go z rąk. Ten
dotyk przywołał go do
rzeczywistości i ostrzegł przed
zauroczeniem. Chłopak wymówił
tylko jedno słowo:

- Wiedźma!

Jej oczy ponownie rozbłysły.

Wianek zniknął, znowu miała na
sobie zwykłą zieloną tunikę.

Tupnęła nogą, a ręce, które przed
chwilą wyciągały się ku niemu,
upodobniły się do szponów,
gotowych go rozszarpać.

- Głupcze! - krzyknęła głośno. -

Dokonałeś wyboru i od tej chwili
musisz się do tego stosować.

Między nami wojna! Nie myśl, że

będę łatwym przeciwnikiem. W każdej chwili swego triumfu spotkasz mnie na swej drodze, i nawet jeśli tej nocy moja moc nie przeważa, to pamiętaj, że będą inne dni... i noce. Pamiętaj o tym, Merlinie!

Wtopiła się w ciemność nocy równie tajemniczo, jak się pojawiła.

Myrddin nie potrafiłby nawet powiedzieć, w którą stronę poszła.

Wraz z nią opuściło go to uczucie bycia obserwowanym. Teraz wreszcie czuł się wolny, przynajmniej na razie. Odetchnął więc z ulgą.

Odczekał jednak dłuższą chwilę, nasłuchując i penetrując okolice dodatkowym zmysłem, z którego nauczyło go korzystać zwierciadło.

Tak, już jej nie ma. Nie pozostało nic, prócz tego uczucia dawnej

Mocy, które stanowi istotę Miejsca Słońca. Tam, gdzie z głębi serc wznosiły się modlitwy - gdzie dokonywały się rzeczy

niewidzialne, nie słyszalne i nie do objęcia dłońmi, tylko umysłem i sercem - tam na zawsze pozostaje

tchnienie tej Mocy, może z czasem nieco słabsze, lecz mimo to

odczuwalne.

Obejmując miecz obiema rękami, Myrddin wszedł do chaty i zaczął rozpalać ogień. Nie rozstawał się z mieczem nawet, gdy szukał żywności i wkładał do garnka otręby, stanowiące podstawę pożywienia Lugaida. Tak zajęty, uważnie nasłuchiwał, czy nie zbliżył się Druid, bo miał już dosyć samotności.

Nie z obawy przed Nimue. Nie wierzył, by mogła zebrać siłę równą tej, na jaką stać jego. Chociaż... jej pierwszego ataku nie przewidział. Teraz z rozsądku opierał się przechowywanemu w pamięci obrazowi jasnoskórej Nimue w ciemnościach, z tym namiętym, uwodzicielskim głosem. Rozumiał, że kobiety nie są dla niego. Nie może niewolić się więzami, do jakich mają prawo ziemskie istoty, by owe więzy nie zaślepiły go i nie odwiodły od osiągnięcia wyznaczonego celu.

- Kto tu był?

To nagłe pytanie wyrwało Myrddina z zamyślenia. Lugaid opuścił zasłone drzwi i stanął

wyprostowany i zaniepokojony w przejściu.

- Skąd... - zaczął chłopiec.

- Skąd wiem? Dzięki tej Mocy, którą posiadam. Tej nocy obudziła się wroga siła. Ale nie jest to żaden zwykły strażnik. - Nozdrza Druida rozszerzyły się, lekko odwrócił głowę i spojrział przez ramię. Brzegi jego tuniki były zabrudzone ziemią, ręce podrapane i posiniaczone, pod paznokciami widać było brud.

- To ona, Nimue, była tutaj - powiedział Myrddin.

- O, to niedobrze. Widziała miecz?

- Tak. Ona... Ona próbowała mnie uwieść. - Myrddin czuł się zażenowany, ale podzielić się tym z Druidem znaczyło odciążyć swoją pamięć, pomóc wygnać to ze swego umysłu.

- Ach, to tak? - Lugaid skinął głową. - To był dopiero początek. Może gdybyś był starszy... Nie, nie sędzę, by mogła cię pokonać w ten sposób. Jednak miej się na baczności. Teraz, gdy cię odnalazła, nie będzie ci łatwo się jej pozbyć. Nieprzyjaciele mają

własną Moc, a uwodzenie mężczyzn jest jej istotną częścią. Mimo to nie sądzę, by udało jej się podejść bliżej czy też skutecznie rzucać swoje czary, gdy ty posiadasz to - pokazał na miecz.

- Jak już jednak powiedziałaś, czasu może być coraz mniej. Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Uczynię więc to, o co prosisz, pojedę do Ambrosiusa.

Myrddin poczuł ulgę. Zrozumiał, że zbyt długi pobyt tutaj, gdzie wysłedziła go Nimue, może okazać się niebezpieczny. Choć był to jakby jego dom. Czuł dziwną więź z głazami, jakby one niegdyś żyły własnym życiem i przekazały mu część swego dziedzictwa.

Tej nocy chłopiec spał z mieczem u boku, z ręką na rękojeści. Jeżeli nawet dziewczyna, która przyszła z ciemności, próbowała rzucić zły urok na jego sny, to bez powodzenia, gdyż nic mu się nie śniło. Obudził się nie tylko wypoczęty, lecz z większą wiarą, że to, co ma być zrobione, zostanie wykonane.

Lugaid odjechał na koniu, którego

Myrddin przyprowadził z gór. Po jego odjeździe chłopiec odwiedził dwa z zastawionych przez Druida sideł. Miał szczęście - w obu szamotały się zwierzęta. Upiekł mięso na prowizorycznym rożnie i zjadł ze smakiem.

Potem wykonał prostą pochwę z kawałków kory powiązanych ze sobą skrawkami peleryny. W ten sposób w ciągu dnia mógł stale mieć miecz przy sobie. Nocą spał obok niego. Godzinami włóczył się między głazami, czasami dotykając jednego z nich, a przy każdym kontakcie z kamieniem czuł przypływ energii. Po raz pierwszy obiektywnie ocenił nauki zwierciadła. Większości tego, czego nauczył go bezcielesny głos, i tak nie może wykorzystać, bo na tym świecie nie ma już metalowych cudów Ludzi Przeworzy. Ich wytwarzanie wymaga zbyt wiele specjalistycznej wiedzy. To, co mu przekazano, jest, jak się domyślał, tylko małą częścią wiedzy, którą niegdyś posiadała jego rasa. Potrafi wywoływać iluzje, jak to uczynił z Vortigenem, i władać

nimi na niewielką odległość. Zna się też trochę na leczeniu nie tylko ziołami z pól i lasów, lecz również rękami. Potrafi także "widzieć" źródło niedomagania umysłu czy ciała. Dzięki temu może skoncentrować się na odnowieniu tego, co nadszarpnęła i zniszczyła choroba. Jednak taka sztuka wymaga wiary pacjenta w to, że może być wyleczony. A wątpliwe, by wielu obecnie żyjących żywiło taką wiarę. Ta metoda zbyt przypomina to, na co patrzy się z pogardą, nazywając czarami.

Otrzymał też dar języków, dzięki któremu słuchając obcej mowy może skoncentrować się na dźwiękach i wyszczególnić część myśli, które dały początek słowom. Zna też magię nieważkości - częściowo zastosował ją w tym miejscu wobec przewróconego głazu - i będzie musiał ją wykorzystać, jeśli zamierza wykonać powierzone mu zadanie.

Teraz, błądząc pośród kamieni, krytycznie oceniał swoją wiedzę. Może wie więcej od Lugaida, lecz wiedza ta jest dużo uboższa, niż

mogłaby być, gdyby jego rasa nie upadła tak nisko. Wiedział o tym i budziło to w nim uczucie zniechęcenia. Zupełnie jakby stał w drzwiach pomieszczenia opływającego w bogactwa, wiedział, że wystarczy położyć dłoń na skarbie, by wejść w jego posiadanie, lecz nie mógł przekroczyć progu.

Mimo wszystko kamienie dawały mu poczucie bezpieczeństwa, a miecz w pochwie z kory przyprawiał o dreszczyk emocji. Często zastanawiał się, dla kogo została wykonana ta broń z kosmicznego metalu. Czy ten ktoś był tak jak on "bez ojca urodzonym"? Głos pokazał mu wiele cudów tamtego wieku, by udowodnić, że Ludzie Przewstworzy nie walczyli tak zwyczajnie między sobą, twarzą w twarz. Posługiwali się światłem błyskawic i piorunami, by okrutnie mordować na odległość. Myrddin jak ciężką chorobę przeżywał przedstawiony któregoś dnia w zwierciadle obraz ostatnich dni świata. Chłopiec cały się trząsł, gdy widział, jak wyniszczony

nienawiścią glob, eksplodował trawiony wewnętrznym ogniem. Morza gotowały się, góry i lądy podnosiły się i zapadały niczym rzucane od niechcienia grudki piasku.

Tak bardzo chciałby wypróbować siłę miecza i śpiewu, by przywrócić jeden z powalonych głazów do pionowej pozycji. Musi jednak być ostrożny. Nie wie przecież, czy wykorzystanie tej umiejętności, nie przyzwie Nimue. Uczył się więc sztuki cierpliwości, czekając na powrót Druida.

Nastąpiła już wiosna. Myrddin stracił dokładną rachubę dni. Trawa wokół głazów przyodziwała się w świeżą zielen, a nowe źdźbła pchały się w górę, zakrywając kruche szkielety tych, którzy zimą zamarзли. Myrddin zauważył drobne kwiatuszki, niektóre już kwitnące, inne jeszcze w postaci pączków, a dwa razy zdarzyło mu się widzieć, jak pomiędzy głazami skakały i baraszkowały lisy. Jego samego trawił jakiś wewnętrzny niepokój, którego nie potrafił pokonać.

Dwukrotnie śniła mu się Nimue i obudził się z poczuciem wstydu, że jego własna istota chciała zdradzić to, co w nim najbardziej niezłomne. Codziennie wpatrywał się w niewyraźny ślad na ścieżce, którą odszedł Lugaid.

Odliczał dni, układając małe kamyczki przy drzwiach chaty. Gdy właśnie dołożył piętnasty kamyczek, powrócił Druid. Nie przyjechał sam, lecz na czele sześciu włóczników, którzy pozostali w tyle, niepewnym wzrokiem spoglądając na stojące głązy. Lugaid westchnął z ulgą, że nareszcie może zejść z konia. Podniósł dłoń w geście powitania, a Myrddin podbiegł ku niemu szczęśliwy i podniecony.

- Udało się? - spytał chłopiec, gdy był już blisko Lugaida. Lecz twarz Druida nie rozjaśniła się. Myrddin zwolnił i spojrzał niepewnie na mężczyzn, którzy zbili się w grupę i nie schodzili z koni, jakby chcieli w każdej chwili opuścić to miejsce.

- Tylko w części - odpowiedział Lugaid. - Ambrosius nie żyje.

Myrddin gwałtownie się zatrzymał.

- Jak zginął, w walce?

- Niezupełnie. Zginął z woli tej wilczycy zza morza, choć jej ręka dosięgnęła go już zza grobu. Ją i jej Wielkiego Króla pochłoneły płomienie ich wieży zaledwie dzień wcześniej. Los, jaki zgotowała swojemu wrogowi, dopadł go rękami jednej z jej służących. Zbyt późno poznano prawdę.

Śmierć w walce, pomyślał Myrddin, jak w przypadku członków jego klanu, byłaby bardziej chwalebna. Takie zakończenie żywota było godne pożałowania. Ambrosius zasłużył na przecięcie linii życia stałą dobrą miecza.

- Pokój z nim - powiedział chłopiec cicho. - Takiego jak on nie ujrzymy więcej. - Coś odezwało się w nim, może fragment pamięci, lecz nie był to czas po temu, i to coś szybko zniknęło.

- Tak, to był bohater! I jako bohater spocznie tutaj! - Lugaid wskazał Miejsce Słońca. - Twoje pragnienie dziwnym trafem jest bliskie spełnienia, Myrddinie. Przyrodni brat Ambrosiusa jest

teraz wodzem. Pochodzi stąd, więc chce przestrzegać starych obyczajów. Rozmawiałem z owym Uterem, którego zwa Pendragon. Pragnie on, by Kamień Królów został odebrany barbarzyńcom z za morza i sprowadzony z powrotem do Brytanii jako pomnik na grób bohatera.

Jakże dziwne są zrzádzzenia losu. W tym momencie, przy całym swoim pragnieniu wykonania otrzymanego rozkazu, Myrddin gorąco żałował, że nie stało się inaczej i że została wplątana w to śmierć. Próbował przypomnieć sobie Utera, lecz przywołał tylko mętny obraz wysokiego młodego mężczyzny z rudozłotymi włosami do ramion, według dawnego zwyczaju, rumianym obliczem i wygiętymi w uśmiechu ustami. W obrazie tym nie było jednak tej siły, która emanowała z ciemnowłosego, gładko ogolonego i przypominającego Rzymianina Ambrosiusa.

- Jedziemy na wybrzeże z eskortą, którą dał nam król. Tam będzie na nas czekał statek z wojownikami. Może się bowiem zdarzyć, że trzeba

będzie okupić ten kamień krwią -
ciągnął Druid.

Myrddin powoli pokiwał głową.

- Wolałbym, by nie trzeba było
używać siły. Wiedział jednak, że
zrobią wszystko, co będzie trzeba,
by zdobyć Kamień Królów.

W drodze Lugaid opowiedział
Myrddinowi więcej o nowym królu.
Ambrosius nigdy nie używał tego
tytułu. Twardo trzymał się
nadanego mu przez zamorskiego
cesarza tytułu "Dux Britanniae".
Jednak w sytuacji, gdy Vortigen
już nie żył, a jego oddziały były
rozbite po druzgocącej klęsce,
Uter zapragnął sięgnąć po koronę
Wielkiego Króla i nikt się nie
sprzeciwił.

- Plemiona popierają go bardziej,
niż popierałyby kogoś rzymskiej
krwi. Zwolennicy jego brata też
będą mu wierni, bo jest ich jedyną
nadzieją. Sasi ponieśli takie
straty, że długo ich nie zapomną.
Myślę jednak, że ludzi Pendragona
czekają liczne boje i ich miecze
nie będą długo spoczywać w
pochwach.

- Uter posiada wszelkie cnoty, a

także liczne wady tutejszych plemion. Ponieważ jest dzielnym wojownikiem, pójdą za nim, jak zawsze za okrytym sławą bohaterem. Jednak taką przewagę nad ludźmi trudno jest utrzymać. Brakuje mu, jak sądzę, głębokiej żarliwości jego brata. Ambrosius miał w życiu tylko jeden cel - przywrócenie bezpiecznych rządów w Brytanii, lecz mylił się, wierząc, że przyjdą one z Rzymu. Czasy cesarzy już minęły. Teraz toczymy własne walki i nie chcemy znowu widzieć Orłów na drogach przez nich wybudowanych.

- Czyżbyś dostrzegł w Uterze jakąś słabość?

Odłączyli się od eskorty, a wojownicy wyglądali na bardzo zadowolonych z możliwości trzymania się na odległość.

Wyraźnie nie mieli ochoty na bliższy kontakt z Druidem i jego towarzyszem.

- Nie większą niż tkwi w każdym, kto zbyt mocno ulega swoim żądom. Obecnie Uter pragnie zaprowadzić pokój w kraju targanym wojnami. Jego pragnienie służy więc dobremu

celowi. Jednak w przyszłości... -
Lugaid wzruszył ramionami. - Nie
próbuję zbyt głęboko wnikać w
ludzką przyszłość, tam tkwią
ziarna rozpacz. Ważne, że dzięki
niemu zyskałeś swoją szansę, Synu
Przestworzy, by wykonać to, co
uważasz za konieczne.

Myrddin czuł, że odpowiedź Lugaida
była wymijająca, że coś go dręczy.
Nie nalegał jednak. Jak słusznie
zauważył Druid, ważne, że Uter
zechciał im pomóc w zdobyciu
Królewskiego Kamienia.

Wiatr sprzyjał przeprowie przez
kanał na Zachodnią Wyspę. Tam
przycumowali w małej zatoczce bez
śladów żywego ducha. Pierwszego
dnia wyprawa przypominała podróż
przez bezludny ląd, lecz wojownicy
cały czas zachowywali czujność i
wysyłali przodem zwiadowców. Znali
się na wojnie i zdawali sobie z
tego sprawę.

Drugiego dnia, około południa,
zwiadowca powrócił z wiadomością,
że zauważył zasadzkę w wąskim
wąwozie. Jego czujność ich
uratowała. Wszyscy zeszli z koni.
Korzystając z możliwych osłon,

skradali się przez okolicę do chwili, gdy z zaskoczenia zaatakowali tubylców. Walka przerodziła się w krwawą jatkę. Myrddin i Lugaid widzieli tylko poranione ciała, które opatrywali. Ten atak przyniósł jednak cennego jeńca.

Dumnie trzymał podniesioną głowę, choć cięta rana na twarzy rozwarła się jak drugie usta, a ręka trzymająca miecz była złamana.

- Opatrzcie go, by przeżył - doradził kapitan ich oddziału. - To Gilloman! Sprawuje władzę nad tym górskim krajem, w którym znajduje się Królewski Kamień. Mając go w naszych rękach, może uda nam się dobić korzystnego targu.

Młody władca splunął na ziemię u ich stóp i próbował się roześmiać, lecz nie bardzo mu się to udało z powodu bólu twarzy.

- Czyżbyście byli gigantami? - spytał. - Nie wyglądacie na gigantów, ale na ludzi mniejszych nawet od moich poddanych. Nie uda wam się ruszyć Królewskiego Kamienia i zabrać go stąd.

- Jeśli o to chodzi - odparł Myrddin - poczekamy, zobaczymy. A twoją ranę trzeba opatrzyć już teraz.

Z początku zanosilo się na to, że więzien będzie stawiał opór nawet mimo dobrego traktowania. W końcu jednak poddał się. Lugaid nastawił mu kości ramienia i ciasno usztywnił dwoma kawałkami drewna. Myrddin zaś przyłożył mu opatrunek na ranę na twarzy. Skupił przy tym całą swoją wolę na połączeniu naderwanego ciała w taki sposób, w jaki nauczył go głos ze zwierciadła.

Może nawet jeniec nie wierzył w cuda, lecz patrzył ze zdziwieniem na Myrddina, mówiąc:

- Kim jesteś? Ból zniknął. Twoje ręce posiadają prawdziwą moc uzdrawiania.

- To jest mój żywioł, tak jak twoim żywiołem jest walka, królu. I nie pragnę twej śmierci.

Zawrzyjmy układ: jeśli ja poruszę ten głaz, oderwę go od ziemi przy pomocy rąk i głosu, to ty, bez podnoszenia na nas broni, pozwolisz nam zabrać kamień do

Brytanii.

Gilloman próbował się roześmiać.

- Żaden człowiek nie potrafi tego dokonać. Jeżeli to nie jest jakiś żart, to daję moje słowo honoru. Podnieś głaz ręką i głosem, a ja przekonam moich ludzi i zapewnię wam bezpieczny powrót. Jeżeli zaś to ci się nie uda, zaatakujemy was.

- Zgoda - padła odpowiedź

Myrddina.

Jechali zatem przez kraj, a wzdłuż drogi gromadzili się ziomkowie Gillomana, gotowi do wycięcia ich w pień, gdyby Myrddinowi nie powiodła się próba. Wreszcie nadszedł dzień, w którym stanęli przed nie tyle pojedynczym głazem, ile tuzinem takich. Niektóre ustawione były pionowo, inne leżały na boku. Myrddin bez wahania skierował się prosto ku jednemu z nich, średniej wielkości. Na kamieniu wyryty był dobrze mu znany znak - spiralny krąg Ludzi Przeszłości.

Wyjął miecz z pokrowca z kory.

Ostrze zaślnięło tęczą barw.

Przyglądający się Merlinowi tłum

wydał pomruk zdumienia. Chłopiec uniósł miecz ponad głazem nie ostrzem w dół, ale raczej na płask. Potem zaczął powoli uderzać kamień i śpiewać. Tym razem dużo łatwiej było mu osiągnąć niskie, gardłowe tony, których potrzebował. Błysk światła z poruszającego się ostrza osłaniał zarówno ostrze, jak i dłoń, która je trzymała.

Myrddin uderzał tak szybko, że nie dało się uchwycić wzrokiem krótkich przerw, gdy miecz był uniesiony. Pomruk pieśni mieszał się z dzwonieniem miecza, tworząc jednolity dźwięk.

Głaz poruszył się, nieznacznie uniósł z wgłębienia w ziemi.

Myrddin jednak nie przestawał i utrzymywał swój rytm, śpiewając nieco głośniejsze. Nad tak uniesionym głazem nie musiał już się schylać. Teraz jego ręka utrzymywała się na poziomie barków.

Myrddin powoli zaczął się obracać, pokonując niecały centymetr na raz. Kamień obracał się wraz z nim, aż stanął w poprzek wgłębienia, w którym poprzednio

spoczywał. Wtedy Myrddin uczynił krok i następny, a kamień podążał za nim. Cała uwaga chłopca skupiona była na kamieniu i połysku miecza. W tym momencie nie istniało nic poza tym, co robił. Myrddin szedł, a w powietrzu, dobrze ponad ziemią, posuwał się gład, utrzymywany przez wibracje. Dokładnie tak przepowiadało zwierciadło. Warunkiem był tylko właściwy kamień i odpowiedni metal. W ten sposób Myrddin minął inne stojące gładz i upuścił swój ładunek na zboczu.

Potem opuścił miecz, pod który natychmiast wsunął się gład, kładąc się ponownie na ziemi.

Myrddin uniósł ostrze i znieruchomiał, a jego głos, skrzypiący i napięty, zamilkł. Spojrzał poza gładz, w miejsce, gdzie stał Gilloman.

Prawie cała twarz młodego władcy spowita była bandażami, spod których wyglądały szeroko otwarte, przerażone oczy. Podniósł rękę w geście pozdrowienia.

- Uczyniłeś coś, czego przysiągłbym, że żaden człowiek

nie może dokonać, z wyjątkiem
zrodzonych z Bogów herosów! Jak
rzekłem, tak będzie. Skoro
Królewski Kamień cię słucha, nie
zatrzymuję go. Dotyczy to także
ciebie i twoich ludzi. Nie znam
źródła twojej mocy, lecz lepiej,
by pozostawało z dala od mojego
kraju. Ciężko jest bowiem żyć w
pobliżu takiej potęgi.
Tak oto bez dalszego rozlewu krwi
zdobył Myrddin Królewski Kamień.
Głaz został sprowadzony do
Brytanii i złożony w miejscu, z
którego dawno temu go wywieziono.
Oficjalnie wzniesiono go teraz ku
czci Ambrosiusa, lecz Myrddin
wiedział, że kamień pełni też inną
funkcję. Do niego należało
umożliwienie jej wykonania.

VII

Uter Pendragon został Wielkim
Królem i w Brytanii zapanował
względny spokój. Myrddin stał w
Miejscu Słońca. Co prawda,
Królewski Kamień spoczywa na swoim
miejscu, tak jak wymaga tego dobro
sprawy, której Myrddin służy - a

wiedział, że służy jej ślepo -
lecz zadanie wciąż nie zostało
wykonane. Bowiem Uter, podobnie
jak wcześniej Ambrosius, nie jest
tym, którego Myrddin szuka.
Lugaid miał rację. Choć Uter
posiada zalety wojownika, ma też
swoje wady. Zapalczywy, skory do
gniewu, nie potrafi narzucić sobie
takiej żelaznej dyscypliny, jakiej
swego czasu przestrzegał
Ambrosius. Przystojny i kochliwy,
łatwo ulega swoim żądom. Właśnie
zmierzał na koniu w kierunku
Myrddina czekającego przy
Królewskim Kamieniu. Skinął na
swoich towarzyszy, by pozostawili
go samego, i gdy stanął naprzeciw
młodzika, na jego twarzy pojawiło
się zaskoczenie.

- Czy to ciebie zwa Myrddin? -
spytał oschle, jakby nie mógł w to
uwierzyć.

- Mnie.

- Przecież jesteś jeszcze
dzieckiem. Jak ktoś taki może być
tym prorokiem, który swoją wolą i
stukaniem mieczem porusza skały.

Kim naprawdę jesteś?

- Mówią o mnie "bez ojca

urodzony" - odpowiedział Myrddin.

- Co do mojego talentu, zostałem nim obdarowany w określonym celu, przede wszystkim po to, by Królewski Kamień powrócił na swoje miejsce dla dobra tej ziemi.

Uter oparł dłonie na biodrach, wysunął podbródek do przodu, jakby miał za chwilę wyzwąć rozmówcę na pojedynek.

- Kim jesteś, by decydować o tym, co dobre dla Brytanii? Jeśli wierzyć plotkom, nawet nie użyłeś swojego miecza w służbie tego kraju. - Skinął głową w kierunku ostrza, ukrytego w pochwie z kory przy pasie Myrddina.

- Ten miecz nie należy do mnie. Ja tylko chwilowo się nim opiekuję. A moje talenty są inne, nie związane z walką.

- Słyszałem, że posiadasz dar jasnowidzenia. Jeśli to prawda, powiedz, czy Pendragon zwyciężył?

- Zwyciężył! - potwierdził Myrddin. - Lecz biały smok będzie wciąż powracał. Królu, jeśli bliskie ci dobro tej ziemi, zjednocz ją w jedno królestwo. Uter kiwnął głową.

- To nie wymaga jasnowidzenia, chłopcze! Każdy wie, że tego trzeba dokonać. Powiedz mi coś, czego sam nie potrafię przewidzieć. Mój brat nie pochwalał magii, a wyznawcy Chrystusa, którzy obecnie pojawili się na tej ziemi, twierdzą, że magia pochodzi z Ciemności i powinna zostać wykorzeniona. Ja jednak mam mieszane uczucia. Powiedz mi coś, w co uwierzę, a ja w zamian otoczę cię opieką, przydzielę ci miejsce u mego boku, należne zaszczyty...

Myrddin potrząsnął głową.

- Panie, nie dla mnie dworska świta i zaszczyty, jakie proponujesz. Twój brat powiedział mi kiedyś, że mogę z nim jechać jako wojownik, lecz nie ma w jego oddziale miejsca dla proroka. Jeżeli ty zapragniesz choćby najdrobniejszego z moich słów, niechęć twoich ludzi obróci się przeciwko tobie. Lepiej więc, byś nie trzymał przy sobie takiego jak ja. Skoro jednak prosisz o przepowiednię, słuchaj, co ci powiem. Dochowasz się potomka,

lecz potajemnie. Będzie on królem, jakiego ta ziemia nie nosiła od czasów cesarza Maksimusa, a może nawet większym od niego. Tamten po objęciu tronu na jakiś czas zapewnił krajowi bezpieczeństwo. Imię twojego syna nie zostanie zapomniane. A jeśli wypełni on swoje przeznaczenie, ten kraj doświadczy większych łask niż jakikolwiek inny na tym świecie.

- Większość mężczyzn ma synów - odparł Uter - jeśli nie córki. A kto nastanie po mnie, to teraz bez znaczenia. Nie będę mógł sprawdzić, czy skłamałeś, czy nie. Powiedz coś ciekawszego, jeśli chcesz pokazać swoją moc.

- Panie, czy oczekujesz ode mnie, że wywołam uderzenie pioruna lub zamienię twoich ludzi w sforę psów? Nie zajmuję się tym, co nazywasz magią, lecz Dawną Mądrością. Tyle mogę powiedzieć: nim minie przyszły rok, będziesz mnie potrzebował. Gdy nadejdzie ta chwila, wyślij posłańca tam, gdzie kiedyś stał dom Nyrena. Tam pośród ruin niech rozpali ogień. Wtedy odpowiem na twoje wezwanie.

Uter roześmiał się.

- Chłopcze, nie mam pojęcia, do czego mógłbym cię potrzebować. Wydaje mi się, że twoje talenty są drobne i polegają głównie na tworzeniu iluzji, sprawianiu, że ludzie widzą to, czego nie ma. Masz rację, że moi ludzie obawiają się twojej magii. Lepiej, byś trzymał się od nich z dala. Nie wiem, jakim człowiekiem będziesz w wieku dojrzałym, lecz sądzę, że ty i ja nie mamy szans, by łatwo się porozumieć.

Owinał się peleryną i odszedł. Myrddin spoglądał za nim i nagle doznał wizji. Ten wysoki mężczyzna w szkarłatnej pelerynie, z bronią z brązu, nagle zgiął się i skurczył, jego twarz stała się wysuszona i niebieskawa, a muskularne barki zastąpiły kości pokryte skórą - w jego oczy zaglądała śmierć. Nie, Uter nie poległ w walce - w tym momencie zrozumiał Myrddin - jego śmierć będzie powolna i cicha.

Chciał krzyknąć za Uterem, ostrzec go, lecz wiedział, że ten nie uwierzyłby jego słowom.

Myrddin westchnął, myśląc o tym, jak perfidny to dar, który informuje o czymś, czemu nie można zaradzić. Po co mu jasnowidzenie, skoro widząc śmierć w twarzy człowieka, musi zachować milczenie. Nie odwrócił się od razu od Królewskiego Kamienia, tylko położył dłoń na jego powierzchni i zastanawiał się, co takiego tkwi w tym właśnie kamieniu, jednym z wielu, że jest on tak ważny dla Ludzi Przeszłości. Zwierniadało zapewniało, że to nadajnik, lecz Myrddin nie mógł zrozumieć jego właściwości. Wiedział tylko, że wyczuwa w głazie tę samą uwięzioną energię, którą wyczuwał w wielu innych kamieniach w tym miejscu. Gdy Myrddin przywłókł się wreszcie do chaty, zastał czekającego na niego Lugaida. Druid trzymał na wodzy osiodłanego konia, gotowego do drogi, i tobolek z rzeczami chłopca.

- Musisz jechać!

Nagłość tej decyzji przeraziła Myrddina.

- Dlaczego?!

- Teraz to miejsce jest nawiedzane. Zrobiłeś to, do czego Nieprzyjaciele nie chcieli dopuścić, przeto teraz mogą próbować przerwać twoje życie, nim uczynisz coś więcej. Ubiegłej nocy między kręgami pojawili się Tancerze Cieni. Na razie nikt nie posiada takiej mocy, by wykorzystać kamień do stworzenia ciała. Myślę jednak, że będą powracać tak długo, jak długo tu będziesz. A z każdą taką wizytą będą silniejsi, aż wreszcie zaczną stanowić prawdziwe zagrożenie dla ciała i umysłu.

- Nie pytałem cię o źródło mocy, której nauczyłeś się używać. Myślę, że nie dane mi będzie to wiedzieć. Lecz teraz ostrzegam cię, Myrddinie, udaj się w to miejsce i wzmocnij swoją siłę. Bo ten, kto cię uczył, zapewne zna sposoby obrony nieosiągalne dla naszej rasy, a jego kryjówka, mam nadzieję, jest niedostępna dla Nieprzyjaciół.

- Chodź ze mną - z przejęciem powiedział Myrddin. Druid potrząsnął głową.

- Każdemu pisany własny los. Twoja wiedza jest tylko twoim udziałem, gdyż należysz do swojej rasy. Nie, ja pozostanę tutaj.

- A Tancerze Cieni? - Myrddin odwrócił się, by spojrzeć w dół na rzędy stojących głazów. W tym słońcu, u podstawy każdego z nich, istotnie leżał niewielki cień, lecz nie było w nich groźby ani tajemniczości. Wiedział, że Lugaid mówi o tym, czym straszyla go Nimue tamtej nocy.

- Nie jestem dla nich odpowiednim łupem. Bardzo niewiele znaczę w grze, którą mają rozegrać. Tak samo, jak niewiele znaczę dla tego, co ty masz uczynić.

Myrddin pomyślał o pustej grocie. Najbliższe sąsiedztwo stanowi zniszczona siedziba klanu, której nie chciał już widzieć nigdy więcej.

- Wiele dla mnie znaczysz, mistrzu - powiedział. - Mieszkać z dzikimi bestiami pośród gór, to nie brzmi zachęcająco.

- Przemawia przez ciebie strach - odparł Lugaid surowo. - Każdy człowiek idzie w życiu własną

drogą. Tylko kilka razy może z niej zboczyć i prawdziwie dotknąć innej drogi. Ty, jako ten, kim jesteś, musisz pogodzić się z samotnością. Gdybyś spotkał kogoś swojej rasy, postępuj tak, jak cię uczono.

Myrddin opuścił Miejsce Słońca, pozostawiając za sobą świeżo ustawiony pośród wielu innych kamień, a wraz z sobą unosząc przekonanie, że jako jeden z posiadających Dawną Moc nie może liczyć na nic więcej prócz samotności. Rzadko uczęszczanymi szlakami kierował się ku zboczcu z wąską szczeliną.

Tym razem przedostanie się do jaskini było dużo trudniejsze, gdyż jego ciało znacznie urosło. W końcu dotarł do groty, gdzie wciąż brzęczały i warkotały urządzenia. Zmęczony fizycznie i psychicznie, usadowił się przed zwierciadłem.

- Wróciłeś! - zauważył głos jednostajnym jak zawsze tonem. - I nadajnik jest już na miejscu. Jak na razie okazałeś się godny swych narodzin.

Myrddin nie miał pojęcia, skąd

lustro mogło wiedzieć o jego sukcesie. Może metodami przypominającymi magię potrafi wydobywać informacje z jego umysłu. Ta myśl nie przypadła mu do gustu. Czyżby był tylko sługą tej obcej istoty, niewolnikiem bez prawa do własnych czynów i pragnień? Jeśli tak, to nie warto było się urodzić. Nikt nie powinien rodzić się z narzuconym mu losem, którego nie może wybrać ani zmienić.

- To już zrobione - odpowiedział beznamiętnie.

- Teraz odpocznij i poczekaj - zadźwięczało zwierciadło.

I natychmiast wydało się Myrddinowi, że zdjęto z niego jakiś ciężar, który dźwigał ze sobą, nawet o tym nie wiedząc. Zamrugał oczami i przeciągnął się jak ktoś, kto zbudził się z długiego snu. Potem odwrócił się i wydostał z groty. Płuca wypełniło mu świeże górskie powietrze.

Nie wrócił do zniszczonej siedziby klanu. Zbudował sobie małą chatę z kamieni i gałęzi. Był już środek lata, więc zajął się gromadzeniem

zapasów na zimę. Zbierał zioła, uprawiał rośliny. Pewnego dnia upolował dziką krowę, która zapewne uciekła z osady podczas pogromu. Zabił ją i uwędził mięso. Na wyrzuconą krowią skórę rzuciły się głodne kruki. Nagle pojawiła się też dzika kocica z małym, by sykiem i warczeniem upomnieć się o swoje prawa. Pazerne kruki odpowiedziały bojowymi wrzaskami. Myrddin obserwował całe to zajście aż do momentu, gdy skóra była już oczyszczona z najdrobniejszych resztek mięsa.

Potem wyprawił ją najlepiej, jak potrafił. Od tego dnia zawsze pozostawiał odpadki z różnych upolowanych zwierząt swoim skrzydlatym i futerkowym sąsiadom. Było to dziwne życie, dalekie od wygód w domu Nyrena. Myrddin stał się wyższy, chudszy, mocno opalony. Aż nadszedł dzień, w którym użył swojego świeżo naostrzonego noża, by po raz pierwszy zgolić zarost pod nosem i na brodzie. Podciął również włosy do wysokości uszu. Tunika i bryczesy były już na

niego za małe. Uszył więc sobie nieporadnie nowe spodnie ze skóry, którą sam z grubsza wygarbował. Grubsze kawałki skóry wykorzystał do zrobienia sandałów. Od swojej tuniki oderwał rękawy i opasał się nią wokół torsu.

Krótkie lato miało się ku końcowi. Myrddin musiał się przygotować do zimowych miesięcy. Choć bardzo tego nie lubił, każdego ranka po wschodzie słońca wspinał się na szczyt, z którego mógł obserwować zniszczoną wioskę. Był wprawdzie stąd zbyt daleko, by dokładnie widzieć ruiny posiadłości Nyrena, lecz dostatecznie blisko, by mieć pewność, że sygnał Utera nie został jeszcze nadany.

Choć bez entuzjazmu, odwiedzał też zwierciadło. Głos odezwał się do niego zaledwie kilka razy, a niektóre z pytań chłopca pozostawił bez odpowiedzi. Myrddin zaczął śpiewać przy pracy, co miało utrwalić nabyte wcześniej umiejętności, i ćwiczyć głos, którego w tej samotni niewiele używał.

Któregoś dnia znalazł kruka z nogą

w sidłach. Ptak przerażonym głosem obwieszczał światu o swojej tragedii. Myrddin uwolnił biedne stworzenie, nie zważając na jego dramatyczną obronę - ptak podziobał go do krwi. Złamaną nogę chłopiec opatrzył tak, jak uczyniłby to w przypadku każdej innej ofiary ludzkiego okrucieństwa.

Kiedy kruk wydobrzeżał, nie bardzo chciał powrócić na łono dzikiej przyrody. Często przylatywał w pobliże kłody, którą Myrddin przyciągnął do drzwi chaty i wykorzystywał jako stanowisko robocze do wyplatania koszy z łożyny z górskiego jeziora, czy też mielenia na wół dzikiego ziarna z porośniętego chwastami pola.

Myrddin nazwał kruka Vran i zaskoczony był jego odzewem na nieśmiałe poczęstunki oraz próbami naśladowania jego ostrych krzyków. Wkrótce, gdy chłopiec wychodził rano z chaty, Vran podfruwał do niego, siadał mu na ramieniu i swiergotał delikatnie, jakby w jakimś nieznanym języku, do jego

ucha.

Ta zima była wyjątkowo sroga. W chwilach najsilniejszych zamieci Myrddin chował się w grocie ze zwierciadłem. By dostać się do środka, musiał schylać się i przeciskać przez szczelinę, bo zmęźniał już i podrósł. Vran zniknął w poszukiwaniu pożywienia i chłopiec odczuwał brak jego towarzystwa.

Myrddin nie zbliżał się do lustra, bo wyczuwał teraz jakieś dziwne napięcie, jakby to nie była właściwa chwila na korzystanie z tych gwiazdnych urządzeń.

Faktycznie, niektóre ze światel przestały już świecić. Chłopiec zastanawiał się, niemal ogarnięty paniką, czy jeszcze kiedykolwiek będą działać. Może lustro starzeje się na swój sposób i jego moc stopniowo słabnie?

Dni upływały mu bez jakiegokolwiek odmierzania czasu. Początkowo próbował prowadzić kalendarz z kamieni jak kiedyś przy chacie Lugaida. Jednak po tym, jak burza rozrzuciła kamyki, a on nie pamiętał ich dokładnej liczby, nie

wznowił już swojej rachuby dni. Bywały dni, gdy jadał tylko jeden lekki posiłek, a resztę dnia spędzał w dziwnym letargu. Przynajmniej nikt nie zakłócał spokoju w okolicy. Przez cały czas od swojego powrotu Myrddin nie spotkał tu żadnego człowieka. Nawet jego szczególny zmysł nie ostrzegał, że ktoś go obserwuje, jak to miało miejsce, gdy śledziła go Nimue.

Zastanawiał się, gdzie ona jest i co robi. Z takich rozważań zrodziła się myśl, że może tak jak ona wysledziła jego, tak on mógłby spróbować odnaleźć ją. Kiedy jednak spytał o to głosu zwierciadła, usłyszał stanowczą odpowiedź:

- Nie zbliżaj się do nikogo, kto służy Innym, bo doprowadzą cię do wojny, a jeszcze nie nastał na to czas.

Myrddin już miał wstać z ławy, gdy głos znów się odezwał:

- Nadszedł czas na wykonanie drugiego zadania. Słuchaj uważnie. Musi narodzić się dziecko, i to takie jak ty, naszej krwi,

nieskażone. Wszyscy ludzie muszą jednak wierzyć, że pochodzi ono z rodu Wielkiego Króla. Kiedy Uter poprosi cię o pomoc w tej sprawie, użyjesz danych ci mocy. Niechaj król wierzy, że leży z kobietą, którą wybrał, i cieszy się jej względami w tę noc. Niechaj kobieta wierzy, że dogadza swemu mężowi. Lecz w jej komnacie musisz otworzyć okno i zostawić ją samą. Potem, gdy dziecię już się narodzi, musisz je zabrać. Uzasadnisz to dobrem dziecka. Powiesz, że wrogowie króla pragną zgładzić jego potomka. Ukryj dziecię należycie. Daj je na wychowanie panu z północy imieniem Ektor. Powinien wierzyć, że to ty jesteś ojcem dziecka. On wie o rasie Dawnych, więc podobieństwo rysów będzie dla niego wystarczającym znakiem. W jego żyłach też płynie cząstka naszej krwi, choć mocno rozrzedzona upływem czasu. Tak więc trafi swój na swego. Przygotuj się, bo gdy przybędzie królewski posłaniec, musisz być w pełni sił. To dziecię będzie bowiem nadzieją twojego

kraju, a także naszą nadzieją. Tylko wtedy, gdy król z naszej rasy będzie panował w pokoju, nasze więzi z tą ziemią będą na tyle silne, byśmy mogli powrócić.

- Kiedy to się stanie? - -

ośmielił się spytać Myrddin.

- Z nadejściem wiosny. Korzystaj teraz z twojego daru tworzenia iluzji, pracuj nad nim dzień po dniu, aż będziesz mógł czynić to z taką wprawą, jak dobrze wyszkolony wojownik posługuje się mieczem. Bo to jest twoja broń i tylko z jej pomocą możesz doprowadzić do tego, co nam potrzebne.

Tak oto Myrddin przebudził się z sennej monotonii mijających dni tak do siebie podobnych, że wczoraj niczym nie różniło się od jutra. Zaczął szkolić swe moce jak zawodnik ćwiczy mięśnie przed igrzyskami.

Tworzył swoje iluzje na pobliskim zboczu. Starał się, by były jak najbardziej realne. Jednego dnia wykreował ciemny las wokół wejścia do jaskini. Następnego dnia zastąpił ciemność jasną łąką, na której kwiaty wczesnego lata

falowały w podmuchach wiatru.
Potem wyczarował ludzi.
Przechadzał się tam Nyren w swojej wojennej pelerynie, z pierścieniami z brązu naszytymi na skórzany kaftan. Uśmiechnął się i podniósł dłoń w przyjaznym powitaniu.

Takie utrzymanie obrazu, by nie pojawiał się jak cień, lecz jak żywa istota, było najtrudniejszym, czego Myrddin musiał się nauczyć. Męczyło go to bardziej niż podniesienie Królewskiego Kamienia na Zachodniej Wyspie. Im więcej mocy wykorzystywał, tym więcej jej posiadał, a iluzje nabierały coraz realniejszych kształtów. Nie mógł jednakże mieć pewności, że to, co udaje się tylko w jego obecności, uda się też wobec innych.

Potem zaczął używać do pomocy Vrana, który powrócił z nastaniem wiosny. Myrddin przedstawił leżącą na ziemi poćwiartowaną i odartą ze skóry owcę i kruk z przeraźliwym wrzaskiem rzucił się na nią, a nawet próbował targać mięso. Po chwili owca zniknęła, a ptak, wydawszy pisk zaskoczenia, wzbił

się w powietrze.

Myrddin ćwiczył i stwarzał iluzje codziennie, aż do owego ranka, gdy ze swojego punktu obserwacyjnego dojrzał unoszący się ponad dawną fortecą Nyrena dym. Zabrał ze sobą owinięty w korę miecz i zszedł szybko na dół ścieżką, którą chciałby nigdy już nie stąpać. Przez zniszczoną bramę ujrzał mężczyzn stojących przy ognisku. Znał jednego z nich imieniem Credoc. Był to bliski zausznik Utera. To, że właśnie jego król wysłał z tą misją, wyraźnie świadczyło, że żądza Utera jest wielka. Myrddin zdał sobie sprawę, że oto nadszedł czas, o którym mówiło zwierciadło.

Wiedział, że dla tych mężczyzn w bogatych pelerynach i pięknych lnianych tunikach z ornamentami wyglądał jak żebrak, leśny dziad lub jakiś inny dziwoląg z górskich legend. Podeszedł jednak dumnie, wiedząc, że tylko on może zaspokoić żądze króla, nawet jeśli miałyby posunąć się do oszustwa.

- Tyś jest Myrddin?

Trudno było nie zauważyć

pogardliwego tonu Credoca.

- Jam jest! I Wielki Król mnie potrzebuje - spokojnie odpowiedział Myrddin. - Życie w górach, panie, nie jest łatwe.

- To widać! - Credoc nie sztydził otwarcie, lecz jego spojrzenie i ton gardziły tym, co widział. Zaś Myrddin zupełnie się tym nie przejmował.

Gdy jednak wjeżdżali do królewskiego miasta, chłopiec był już godniej odziany - miał na sobie czystą tunikę, pelerynę i rajtuzy w kratę swojego klanu.

Lata zaniedbania, potem lata saskich najazdów uczyniły wiele, by obrócić w ruinę to, co niegdyś było wspaniałym miastem. Niektóre budowle zdołano już odnowić, a największa z nich otoczona była wałami. W jej wnętrzach znać było ślady dawnej świetności, a większość zniszczeń zakrywały pięknie haftowane gobeliny.

Zaprowadzono Myrddina do królewskiej sypialni. Uter siedział na łożu, które jeszcze nie było pościelone, jakby władca dopiero co się obudził, choć

słońce stało już dość wysoko.

- No, proroku! - Uter wypił zawartość oprawionego w srebro pucharu z rogu i podał go służącemu, by ten dolał jeszcze zamorskiego wina. - Miałeś rację tego dnia, gdyśmy się spotkali. Rzeczywiście cię potrzebuję. I jeżeli okażesz się pomocny, możesz zażądać nagrody. Wy, wynoście się wszyscy. - Zwrócił się do pozostałych, przebywających w komnacie. - Chcę porozmawiać na osobności z tym prorokiem.

- Ależ, panie, on jest prawdziwym czarownikiem! - zaprotestował Credoc.

- Nie dbam o to! Jego magia przyniosła korzyść tej ziemi. Może nie bardzo to widać, ale w każdym razie nikogo nie skrzywdził. A teraz zostawcie mnie!

Wykonali rozkaz z wyraźną niechęcią. Wielki Król poczekał, aż odejdą, i dopiero zaczął mówić, ale nawet wtedy nie podnosił głosu, by poza komnatą nie dało się słyszeć ani słowa.

- Myrddinie, powiedziałaś mojemu bratu, że potrafisz stwarzać

iluzje. Że ludzie widzą to, co chcą zobaczyć. Czy dotyczy to również kobiet?

- Wierzę, że tak, panie.

Uter energicznie pokiwał głową.

Uśmiechał się i popijał z napełnionego ponownie rogu.

- Wobec tego pragnę, byś stworzył dla mnie iluzję, proroku! Niedawno byłem tu koronowany przed tymi, którzy od dawna mi służą.

Niepoślednie miejsce wśród nich zajmuje Goloris z Kornwalii. To już starszy mężczyzna, wciąż dość silny, by ruszyć w bój, lecz nie dogadza swej młodej żonie tak, jak powinien. A ma taką żonę, Panią Igrenę, że mogłaby być jego córką. Ta dama... ona... to

najpiękniejsza kobieta, jaką widziałem. Chociaż sypiałem z wieloma kobietami, i wszystkie przychodziły raczej chętnie, to żadna nie może się z nią równać. Próbowałem wychwalać jej piękność, lecz na nic się to zdało. Tym chętniej rozmawiała z mężem, a on opuścił mój dwór bez pożegnania, w taki sposób, jakby chciał mnie znieważać!

Twarz Utera zaróżowiła się, w złości jego wargi zacisnęły się.

- Żaden mężczyzna ani żadna kobieta nie będzie znieważać Wielkiego Króla, dając innym powód do plotek i śmiechów! Już posłałem posłańca do Kornwalii, by wyjaśnił to diukowi Golorisowi. Ale ta kobieta... O, to co innego. Trzymałbym ją w ramionach, żeby wiedziała, jak król potrafi miłować. Diuk został wywabiony ze swojej fortecy, a jego żona pozostała bezpieczna, przynajmniej on tak sądzi, wewnątrz. Powiedz mi teraz, proroku, jak dostać się do jej łóżnicy lub nakłonić ją, by przyszła do mnie?

- Mówiłeś, panie, o iluzjach. Może dałoby się utkać tak złudną iluzję, może na czas jednej nocy, że twoja dama pomyśli, iż to jej mąż przyszedł ją zaspokoić. A miałby on tylko wygląd diuka...

Uter odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem. Wypite wino, jak zauważył Myrddin, uderzyło mu do głowy.

- Wspaniały pomysł, proroku. Podoba mi się. Przysięgasz, że to

możliwe?

- Na krótko, panie. I musimy być w pobliżu diuka...

- To bez znaczenia! - Uter machnął ręką. - W mojej stajni są najszybsze konie w tym kraju. W razie potrzeby możemy wypruć z nich żyły.

Jak rozkazał Wielki Król, tak miało być zrobione. o zmierzchu Myrddin znalazł się na grzbiecie wierzchowca większego, niż kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć. Kontynuowali podróż nawet nocą, bo księżyc świecił jasno. Chłopiec nie zastanawiał się nad dobrymi i złymi stronami tego, co zamierzał zrobić. Myślał raczej, co może z tego wyniknąć, jeśli wszystko się uda. Narodzi się jeszcze jeden Syn Przesławy, podobny do niego, zawsze na wpół obcy na tej ziemi. Na myśl o tym poczuł radość, bo w ciągu tych lat poznał już brzemie samotności. Musi doprowadzić do narodzin dziecięcia i zabrać je do Ektora, a może wtedy on sam stanie się wolny? Tak bardzo tęsknił do tego wyzwolenia, jak niewolnik marzy o

zrzuceniu łańcuchów.

I tak po trzech dniach dotarli do nadmorskiej fortecy i ukryli się w zagajniku. Myrddin sam ruszył naprzód, by spojrzeć w dół na twierdzą, do której miał się wdrzeć. W ciszy swojego schronienia rozpoczął przygotowania do największego pokazu iluzji, jakiego kiedykolwiek próbował.

VIII

Noc była niezwykle chłodna jak na Wigilię Beltaine. Od morza wiał ostry wiatr, którego zmagania z falami Myrddin słyszał nawet przez grube ściany fortecy. On sam drżał jak w gorączce, gdy czołgał się przez tunel, wciąż niepewny swoich mocy.

Uter i jego ludzie spali w rozbitym potajemnie obozie. Bez trudu dosypał proszku z ziół do jedynej butelki miodu wrzosowego. Ostra woń trunku zabiła delikatny Smak ziół nasennych. Gdy już uspił Utera, Myrddin zasiał w jego umyśle sen - iluzję.

Teraz jednak musiał pokonać tunel,
a po dotarciu na miejsce wywołać
dwie iluzje, by oszukać wzrok.

Wtedy będzie mógł spokojnie
odejść. Był coraz bardziej spięty.
W sypialni przed nim... Zatrzymał
się na wyciągnięcie ręki od kotary
zasłaniającej wejście.

Skoncentrował się...

Gdy poczuł, że osiągnął już
najwyższą moc, wziął głęboki
oddech i ruszył przed siebie.
Uchylił prawy skraj zasłony i
zdecydowanym krokiem wszedł do
sypialni. Jeżeli jego magia
zadziała, kobieta wewnątrz zobaczy
tylko to, czego się spodziewa -
nagły powrót małżonka.

W rękę trzymał maleńkie zawiniątko
z resztą środka nasennego. Byle
tylko udało mu się, pod jakimś
pretekstem, skłonić Igrenę do
połknięcia proszku. I żądanie
wykonane.

Stara rzymska lampa tliła się
słabym płomykiem obok łoża
przypominającego bogato rzeźbioną
starą skrzynię bez pokrywy. W łożu
nie było nikogo. Kobieta stała
przy oknie wpatrzona w niespokojne

morze. Peleryna na delikatnych ramionach tylko częściowo przysłaniała jej nagość. Kobieta obróciła się gwałtownie, gdy Myrddin zawadził butem o kamień. Z jej twarzy momentalnie zniknęło zaskoczenie. Uśmiechnęła się niepewnie, jakby nie potrafiła zgadnąć, w jakim nastroju jest przybysz.

- Mężu mój! Ale... skąd się tu wzięłeś?

Myrddin poczuł ulgę. To znaczy, że iluzja działa - kobieta widzi tego, kogo mogłaby się spodziewać, diuka Golorisa.

- A gdzie miałbym być? - spytał. - Moja piękna, to nie jest noc na krzyżowanie mieczy.

Kobieta odeszła od okna, zrzucając z siebie pelerynę. Teraz Myrddin mógł ocenić, że zaiste była ona stworzona do cielesnych uciech, choć patrzył na nią bez tego zakłopotania, które czuł, gdy swoje ciało obnażyła przed nim Nimue. Księżna była naprawdę piękna pięknnością, jaką można podziwiać na obrazach przedstawiających rzymskie

boginie. Posłała mu delikatny, ledwie zauważalny uśmiech, i chłopiec zrozumiał, że w niektórych sprawach potrafiła tak całkowicie zawładnąć swoim starym mężem, jak Uter pragnął rządzić Brytanią.

Coś wewnątrz Myrddina kazało mu kończyć tę zabawę. W tej komnacie, przepełnionej zapachem kobiety i życia, którego zupełnie nie znał, czuł się niepewnie, jak zwierzę wietrzące pułapkę. Wyciągnął rękę w kierunku małego stoliczka, na którym stała wysoka butelka z za morza i dwa pięknie zdobione puchary.

- Noc jest chłodna - powiedział. - Rozgrzeję się winem.

Igrena roześmiała się zalotnie.

- Są inne sposoby, by się rozgrzać, mężu. - Kusząco przysunęła się do łoża.

Zmusił się do śmiechu.

- No dobrze. Wpierw jednak pozwól mi się napić, pani. Potem wypróbujemy twój sposób i zobaczymy, co lepsze.

Zrobiła nadętą minę, lecz poczekała, aż nalał wina do obu

pucharów, i pokornie przyjęła ten, który jej wręczył. Podczas gdy Myrddin udawał, że pije, kobieta kilkoma łykami opróżniła naczynie.

- Panie mój, zazwyczaj nie ociągasz się tak z tymi sprawami.

- Podeszła tak blisko, że owionął go towarzyszący jej zapach kwiatów. Zupełnie nie zważając na swoją nagość, podniosła dłonie, by rozpiąć jego pelerynę. - Jesteś dziś jakiś nieswój.

Myrddin pragnął wywinać się, uciec od jej rąk. Siłą woli zachował jednak spokój. Odstawił swój puchar, chwycił jej dłonie i zacisnął mocno między swoimi, obserwując ją niespokojnym wzrokiem.

Ich spojrzenia spotkały się. Z jej twarzy zniknęło rozbawienie. Po chwili jej oblicze złagodniało, jakby już nie widziała realnej postaci, lecz jakąś wizję stojącą między nimi.

Zauważył jej nieobecne spojrzenie, odczekał jeszcze dłuższą chwilę, po czym delikatnie przyciągnął ją do brzegu łoża i położył. Jej oczy uparcie wpatrywały się w coś

widocznego tylko dla nich. Leżała nieruchomo pośród pościeli, gdy Myrddin odsuwał się od łoża. Okno było dostatecznie szeroko otwarte. Zasłony i okiennice odsunięte. Chłopiec tylko upewnił się, że takie pozostaną. Kobieta w łóżku mruzczała namiętnie, a jej słowa skierowane były do obrazu, który Myrddin umieścił w jej umyśle.

Na zewnątrz rozległ się furkot. Myrddin odwrócił głowę i bezszelestnie wyszedł z komnaty. Serce waliło mu jak młotem, choć starał się trzymać nerwy na wodzy. Przy tylnym wejściu stał strażnik, lecz nie zauważył niewielkiej postaci, która szybko przemknęła obok.

Gdy Myrddin doszedł do swojego punktu obserwacyjnego ponad warownią Golorisa, obrócił się. Księżyc świecił jasno. Niedaleko płonęły ogniska, przy których pospólstwo świętowało Beltaine. Noc została dobrze wybrana. Zaledwie niewielka część mieszkańców przebywa w murach fortecy.

Nie widział stąd okna księżnej,
gdyż wychodziło na morze. To, co
teraz się tam dzieje, to już nie
jego sprawa. On musi zająć się
Uterem. Wciąż pełen niepokoju,
Myrddin skierował się z powrotem
do obozu i tam długo siedział przy
śpiącym mężczyźnie.

O świcie Uter się poruszył.
Otworzył oczy, lecz nie patrzył
przytomnie. Wstał jak oszołomiony,
z wyciągniętymi przed siebie
rękami, chcąc uchwycić coś, czego
tam nie było.

Myrddin natychmiast znalazł się
przy nim. Koniuszkiem palca
dotknął uniesionej głowy króla
dokładnie między brwiami. Z jego
umysłu wydobył się sygnał, na
nadanie którego tak długo czekał.

- Obudź się!

Uter zamrugał, rozejrzał się.
Ziewnął i wtedy zobaczył Myrddina.
Zmarszczył czoło.

- A więc, czarowniku, zdaje się,
że twoje czary działają -
powiedział z nutką zawodu w
głosie. - Zrobiłeś, coś obiecał.
Nie było w jego głosie triumfu czy
satysfakcji. Unikał wzroku

Myrddina i odwrócił się do niego bokiem, kończąc w ten sposób rozmowę, czy też mając na to nadzieję.

Myrddin pojął, że król, przekonany o zaspokojeniu swoich żądz, ma teraz poczucie winy i niechętnie widzi przy sobie tego, kto mu w tym dopomógł.

- Skoro spełniłem swoją obietnicę ku twemu zadowoleniu, królu, pozwól mi odejść. Nie dla mnie bowiem dworskie życie. - Myrddin rozważnie ułożył swoją odpowiedź. Przeczynał, że Uter odwróci się od niego, lecz nie przypuszczał, że stanie się to tak nagle. Nie chciał całkowicie utracić łask króla, bo dzieło tej nocy zostało dopiero zaczęte, a doprowadzenie go do końca wymagało kontaktów z dworem.

- Dobrze. - Uter odwrócił się plecami. Nawet nie spojrział w kierunku swego rozmówcy, obserwując śpiących mężczyzn. - Jedź, dokąd chcesz i kiedy chcesz. Myrddin przyjął odprawę z właściwą sobie godnością, nie skłoniwszy głowy w kurtuazyjnym geście,

którego nie rozumiał, i odszedł do przywiązanych koni. Odwiązał swojego kuca - uważał, że Uter winien mu jest ten środek lokomocji - i odjechał bez jednego spojrzenia w kierunku króla i wznoszącej się nad morzem fortecy. Nie ujechał dalej niż za wzgórze, gdy usłyszał tętent i ujrzał jeźdźca pędzącego z szybkością, jaką tylko mógł osiągnąć jego spieniony koń.

- Gdzie król? - krzyknął jeździec.

- Gdzie jest Uter?!

To, że ktoś wiedział o potajemnej wyprawie, było dla Myrddina zaskoczeniem. Jeździec jednak wyglądał na tak pewnego obecności Utera gdzieś w tej okolicy, że wiadomość musiała być naprawdę wielkiej wagi, skoro złamano dla niej tajemnicę.

- Czemu szukasz Wielkiego Króla? - spytał Myrddin. Każda zmiana sytuacji miała również znaczenie dla jego planów. - Czy Sasi zadęli w rogi wojenne?

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Diuk Goloris poległ wczoraj w walce. Król musi wiedzieć...

Myrddin wskazał drogę, którą przyszedł.

- Tam odnajdziesz króla.

Posłaniec pognał we wskazanym kierunku, urwawszy w pół zdania.

Myrddin spiał konia i zaczął zastanawiać się nad znaczeniem usłyszanej wiadomości. Księżna Igrena dowie się zbyt szybko, że jej małżonek już nie żył, gdy ona przeżywała to, co wymyślił Myrddin. Uter bez przeszkód będzie mógł teraz pojąć za żonę tę, której tak bardzo pożąda. Co przyniesie owo małżeństwo istocie, którą Igrena nosi w swym łonie? Czy Wielki Król, polegając na swej pamięci, uzna to dziecko za własne? I co stanie się, jeśli Uter porozmawia o tamtej nocy z księżną! Myrddin wyraźnie widział pogardę do samego siebie w twarzy króla podczas ich krótkiej rozmowy. Do czego ta pogarda może doprowadzić?

Tymczasem musi minąć ponad pół roku, nim wszystko się wyjaśni.

Przed Myrddinem postawiono wyraźne zadanie. Dziecię poczęte tej nocy ma być ukryte na północy, u

człowieka, w którego żyłach płynie krew Dawnych, a który zareaguje na wypowiedziane przez Myrddina słowa. Chłopiec nie widział powodów, dla których nie mógłby już teraz rozpocząć przygotowań. Nie zawrócił więc w kierunku jaskini i swojej samotni, lecz pojechał na północ.

Kilka tygodni później dowiedział się, że poszukiwany przezeń Ektor jest właścicielem małego majątku wysoko pośród gór i stromych dolin. Jest to młody człowiek, szanowany przez sąsiadów, lecz nie bardzo z nimi zżyty. W razie potrzeby jednak potrafi wraz z nimi bronić swoich ziem. Jego ludzie słyną z niechęci do obcych. Ektor poślubił swoją kuzynkę, bo członkowie jego rodu zawsze pobierają się z krewniakami. Wszystkie te informacje Myrddin zasłyszał we fragmentach od podróżnych, którzy ponownie zaczęli wyruszać na wyprawy, gdy samowola Sasów została ujarzmiona. Spotkał kowala, który zimą pracował w gospodarstwie Ektora, a teraz był w drodze do swej chorej

matki, i barda, podróżującego dla przyjemności odkrywania nowych miejsc. To, co usłyszał, ucieszyło go.

Ektor, jak wieść niosła, obdarzony jest bystrym umysłem i talentami wojskowymi, dzięki którym te ziemie pozostały wolne od Piktów okupujących tereny bardziej na południu. Jego żona wyznaje zamorską wiarę. Jest jedną z tych, których nazywają chrześcijanami. Udziela schronienia starszemu kapłanowi tej właśnie religii, będącemu uznanym uzdrowicielem. Choć Ektor zazdrośnie strzeże swoich terenów, nie wyciąga miecza bez ważnego powodu, a wszystkim w jego niewielkiej posiadłości żyje się tak dostatnio, jak to tylko możliwe w tych niespokojnych czasach.

Gdy Myrddin wreszcie dotarł do wąskiej przełęczy prowadzącej na ziemie Ektora, natknął się na strażników. Byli dość uprzejmi, lecz zatrzymali go w swoim obozie, podczas gdy jeden z nich pojechał do siedziby klanu z wiadomością. Myrddin narysował na kawałku skóry

spirale będącą symbolem Dawnych Czasów i powiedział, że ma osobistą sprawę do ich pana. Czekał prawie do świtu na powrót posłańca, który nie tylko wpuścił go na teren Ektora, lecz również zaproponował swoją pomoc jako przewodnik. Właściciel tej ziemi oczekiwał go na głównym dziedzińcu siedziby klanu. Przez króciutką chwilę bolesnej pamięci Myrddinowi zdało się, że wrócił do domu, a wszystkie trudne lata zostały wymazane.

Właśnie tak witał niegdyś gości Nyren - z odkrytą głową i serdecznym wyrazem twarzy. Gdy służący zabrał zmęczonego konia, dłoń Ektora zacisnęła się na ramieniu chłopca. Wówczas Myrddin, widząc, że są niemal zupełnie sami, wyszeptał swoje słowa. Włosy Ektora były tak samo ciemne jak Myrddina. Jego usta były wyraźnie ukształtowane, nos wąski, orli, twarz długa z ostrym podbródkiem. Myrddin czuł się, jakby widział własne odbicie, trochę tylko starsze. Twarz Ektora była wystarczająco podobna, by

mogli być krewnymi. Dotyczyło to nawet powiek, nadających oczom niemal trójkątny wygląd.

- Witaj, bracie! - brzmiała odpowiedź Ektora. Nie wyglądał na zaskoczonego szeptem Myrddina i tak starymi słowami, że ich znaczenie dawno już zostało przez ludzi zapomniane. - Dom twoich krewnych stoi dla ciebie otworem. Jak dotąd plan Myrddina przebiegał bez żadnych przeszkód. Choć ani Ektor, ani jego żona, nie mieli wcześniejszych kontaktów z Ludźmi Przestworzy, to historia klanu wykazywała silne związki z tradycjami Dawnych. Gospodarze bez żadnych wątpliwości akceptowali wszystko, co Myrddin opowiedział. Choć nie wyjaśnił okoliczności narodzin dziecka, które chciał ukryć, zgodzili się mu pomóc. Trynihid, nawet jeśli naprawdę wyznawała już nową wiarę głoszoną przez Nutha - łagodnego mężczyznę w średnim wieku, który leczył ciała i oświecał umysły swymi naukami - była członkinią klanu i przytakiwała, gdy Myrddin mówił o znaczeniu zapewnienia

bezpieczeństwa dziecka.

Poruszała się powoli, ociężale, bo jej własny brzuch wypełniał długo oczekiwany, upragniony potomek Ektora. Gdy Myrddin mówił o bezpieczeństwie, położyła ręce na brzuchu i kiwała głową.

Widok jej cichego szczęścia wprawiał Myrddina w zakłopotanie. Chłopiec starał się unikać górnych komnat, w których przesiadywała w wolnych chwilach. Nigdy jeszcze nie pociągała go żadna z kobiet na dworze króla ani dziewcząt w jego klanie. Tylko raz jego ciało zapłonęło pożądaniem, gdy stał przed Nimue owej nocy, a ona zachęcała go, by był dla niej mężczyzną, choć byli wówczas tak młodzi.

Szczęście Trynihid i troska, jaką otaczał ją jej mąż, były dla Myrddina czymś zupełnie nowym. Ponieważ w obojgu widać było ślady Dawnych, czuł się z nimi bardziej związany niż z kimkolwiek w klanie swego dziadka. Tych dwoje łączyło ciepło serdeczności przypominające życiodajny ogień zimą. Coś, czego Myrddin był w swoim życiu

pozbawiony.

Chłopiec czuł się tu trochę nieswojo, lecz równocześnie przywiązał się do tego miejsca i ciężko mu było porzucić je dla smutnego i samotnego życia w grocie. Chodził z Ektorem w pole, pomagał przy znakowaniu trzody i we wszystkich innych pracach. Stale pracował fizycznie, by jak najbardziej się zmęczyć i spać mocnym snem.

Wraz z powrotem kowala nadeszły wiadomości, których Myrddin słuchał z uwagą. Wielki Król istotnie wziął sobie żonę - księżną Igrenę. Nie żyje z nią jednak, a ona otacza się świętymi niewiastami nowej wiary, bo nosi w sobie dziecko pierwszego męża. Póki ono się nie narodzi, król nie może prawdziwie się do niej zbliżyć.

To znaczy, że księżna uwierzyła w iluzję, pomyślał Myrddin. A Uter widocznie nic nie uczynił, by zachwiać jej wiarę. To, że król nie chce tego dziecka na swym dworze, było Myrddinowi po myśli. Oddawanie dzieci na wychowanie

było powszechnie przyjęte wśród wyższych warstw społecznych. Nawet królowie oddawali swych synów, nie tylko po to, by trzymać ich z dala od dworskich pokus, lecz również by chronić ich życie. Zawsze znajdzie się jakiś zazdrosny pretendent wierzący, że zabicie następcy tronu umożliwi mu objęcie tronu.

Myrddin postanowił udać się na południe i odszukać Utera, nim pomocne tereny opanuje surowa zima. Skoro już raz udało mu się nagiać umysł króla do swoich celów, byłby marnym człowiekiem Mocy, gdyby nie potrafił uczynić tego ponownie.

W ciągu lata ciało Myrddina znów przeszło szybkie przeobrażenie. Takim właśnie szybkim dojrzewaniem różnił się od tych, w których żyłach płynęła czysto ludzka krew. Stał się wyższy, bardziej barczysty. Gdy ujrzał swe odbicie w świeżo wypolerowanej tarczy, uderzyło go podobieństwo do Ektora. Twarz Myrddina nie wyrażała jednak tylu ludzkich uczuć, a jego oczy zawsze były na

wpół przymknięte, jak trzymana w pogotowiu broń. Broda rosła mu bardzo powoli i była rzadka. Gdy golił się, nie musiał już dotykać brody ostrzem przez kilka dni. Praca w słońcu nadała jego skórze brązowe zabarwienie, a dłoniom i ramionom nową siłę.

Przed świętem Samain Myrddin opuścił posiadłość, żegnany pozdrowieniami swych dalekich krewnych. Był porządnie, choć skromnie, odziany. Jego miecz spoczywał teraz w skórzanej pochwie, a nie w pokrowcu z kory. Ektor zdumiał się na widok miecza, ale nie śmiał nawet dotknąć rękojeści, twierdząc, że takie stare ostrza służyły z tego, że tolerowały tylko jednego pana. - Tak - odparł Myrddin. - Ale ja nie jestem jego panem, Ektorze. Ten, który nadejdzie, będzie używał go do walki. Ja jestem tylko sługą w tej i w innych sprawach.

Obładował konia zapasami, gdyż postanowił jechać na południe najmniej uczęszczanymi drogami, by nie uprzedzono Utera o jego

przybyciu. Zaskoczenie powinno pomóc w przekonaniu króla. Jadąc równym tempem, wkrótce dotarł do swej groty, choć dwa razy zatrzymywały go burze trwające cały dzień. Śnieg pokrywał ścieżkę, którą jego stopy odnalazłyby zawsze, niezależnie od tego, czy byłaby widoczna, czy też nie. Nagle rozległ się ochrypliwy wrzask i na niebie pojawił się wielki, czarny ptak. Myrddin nie potrafił ukryć radości, wyciągnął nadgarstek i zawołał wesoło:

- Vran!

Tak, to był Vran. Natychmiast przysiadł na rękawicy Myrddina i kręcił głową na wszystkie strony, by przyjrzeć się swemu panu. Skrzeczał przy tym tak, jak to dawniej czynił, gdy prosił o kawałki mięsa.

- Daj mi trochę czasu - obiecał Myrddin - a nakarmię cię.

Ptak wzleciał na skałę, a chłopak zaczął przeszukiwać swoje bagaże. Wyjął kawał wędzonej wieprzowiny i rzucił go na ziemię, wywołując istną eksplozję czarnych piór. Nic nie wskazywało na to, by ktoś

tu był podczas jego nieobecności. On sam powrócił tylko z jednego powodu. Rozpiął pas przytrzymujący miecz, wniósł go do środka groty i ukrył broń w najciemniejszym kącie za największymi urządzeniami. Zauważył, że większość instalacji milczała. Tylko jedna maszyna wciąż połyskiwała światłami. Przez dłuższą chwilę stał przed zwierciadłem, wpatrując się we własne odbicie. Wyglądał teraz na starszego niż był. Przypominał człowieka w wieku Utera, gdy widzieli się ostatnio. Twarz Myrddina była nieodgadniona, a rozsądny dobór tuniki i peleryny czynił z niego ciemną, tajemniczą postać. Może tak powinien wyglądać czarownik w świecie czczącym światło i barwy, połysk kamieni i potęgę złota?

Wydostał się na zewnątrz. Vran walczył z ostatnimi kęsami wieprzowiny. Myrddin rzucił mu jeszcze jeden kawałek. - Mały przyjacielu - powiedział, a na dźwięk tych słów kruk przestał targać mięso i spojrzał na chłopca wzrokiem, który Myrddinowi wydał

się bardziej rozumny, niż kiedykolwiek widział u ptaka. - Żegnaj, uważaj na siebie! Gdy wrócę, znów będziesz świętował. To obiecawszy, zwrócił obładowanego konia w kierunku doliny z dawną siedzibą klanu Nyrena.

Było już dawno po święcie Samain, zima mocno ścisnęła świat w swych okrutnych lodowych szponach, gdy Myrddin wkroczył do komnaty, w której przy kominku siedział król Uter. Ogień trzaskał głośno, lecz niewiele ciepła wydostawało się poza mały krąg paleniska. Tak jak Myrddin się spodziewał, król był sam. Znak, jaki przesłał mu wcześniej Myrddin, był Uterowi znany, a król nie chciał z nikim dzielić swoich sekretów.

- Wróciłeś więc, czarowniku - odezwał się na powitanie. Ani jego oblicze, ani głos nie wyrażały radości. - Nie przyzywałem cię.

- Wydarzenia same mnie przyzywały, panie - odpowiedział Myrddin. - Zaspokoilem twe żądze i nie otrzymałem zapłaty.

Uter odstawił swój róg z winem na stół z taką siłą, że aż zadzwoniły metalowe okucia.

- Jeżeli ci życie miłe, czarowniku, trzymaj język za zębami w tej swojej paskudnej głowie! - wybuchnął.

- Nie mówię o przeszłości, panie. To twoja sprawa. To, o co przyszedłem prosić, należy do przyszłości.

- Wszyscy skomlą i błagają u królewskich stóp. Jakie jest twoje życzenie: złoto, srebro, tytuł? - Uter kpił, ale jego spojrzenie było niespokojne, czujne, jakby nie podobało mu się to, co ujrzał w oczach Myrddina. Był nawet trochę zaskoczony spokojem swego rozmówcy.

- Chcę dziecię, panie.

- Dziecię? - Uter rozwarł szeroko usta ze zdumienia. Po chwili jego oczy zwęziły się groźnie. - Cóż to za spisek, czarowniku?

- Żaden spisek, królu. Wkrótce narodzi się dziecię tej, którą z mocą miłujesz. To dziecię jest dla ciebie zagrożeniem. Mieć je zawsze przed oczami...

Uter gwałtownie zerwał się z krzesła i rzucił się w stronę Myrddina. Zamachnął się, jakby chciał zmiażdżyć młodzieńca, lecz szybko opanował wybuch złości.

- Do czego potrzebne ci to dziecko? - spytał ostro.

- Gdyż jestem częściowo odpowiedzialny za jego narodziny, panie. Jestem człowiekiem Mocy. Jako taki zdradziłem wiele z tego, w co wierzyłem, by pomóc ci owej nocy. Teraz muszę zapłacić za moją ingerencję w bieg wydarzeń.

Dziecię będzie bezpieczne, wychowywane w ciepłe rodzinnym. Ludzie o nim zapomną. Nie będzie już więcej plotek na twym dworze. Tobie i twojej małżonce będzie lżej na sercu. Jeżeli ono tu pozostanie, znajdą się tacy, którzy wykorzystają je do wywołania buntu. Sprzymierzeńcy Golorisa jeszcze nie wymarli, nawet jeśli teraz milczą.

Uter zamyślił się. Chodził tam i z powrotem wzdłuż kominka, jego twarz wyrażała skupienie.

- Czarowniku, twoje słowa brzmią rozsądnie. To dziecko powinno być

z dala od dworu, zarówno dla dobra mej pani, jak i dla jego bezpieczeństwa. Jak rzekłeś, są jeszcze tacy, którzy nie pogodzili się z wydarzeniami z przeszłości. Może, jeżeli będzie ono płci męskiej, zapragną uczynić z niego nowego władcę. Moja małżonka wierzy, że... Ona myśli... - Jego głos załamał się. - Ona czasem myśli, że posiadał ją demon w przebraniu jej męża. Obawia się rozwiązania tak, jakby miała zrodzić potwora. Weź dziecię, jeśli chcesz, czarownika, i nie chcę wiedzieć, gdzie i przez kogo będzie ono chowane. Lepiej będzie zapomnieć dla dobra wszystkich. - Dobrze. - Myrddin poczuł ulgę. Obawiał się, że jego argumenty nie zabrzmiały dość przekonująco. - Zatrzymałem się w gospodzie "Pod Jarzębiną". Powiadom mnie o godzinie rozwiązania, a przyjdę po dziecię i odejdę. Nikt o niczym się nie dowie.

Na znak Utera Myrddin opuścił komnatę. Miał jeszcze wiele do zrobienia. Mimo całej swej potęgi i wiedzy nie mógł podróżować na

północ z niemowlęciem w środku zimy. Wybrał już jednak odpowiednią gospodę. Żona właściciela niedawno urodziła i właśnie karmiła zdrowe, dorodne dziecko. Miejsce było nadzwyczaj czyste, a Myrddin miał swoje sposoby, by powstrzymać pytania i udzielić zadowalających odpowiedzi. Pozostało jedynie czekać.

IX

Oczekiwana przez Myrddina wiadomość dotarła w przeddzień święta Briganta. Już wcześniej czarownik poczynił przygotowania do przyjęcia dziecka. Na targu niewolników kupił jedną z drobnych, ciemnowłosych kobiet piktyjskich zdobytych podczas wyprawy poza starożytne mury Rzymian. Trzy dni wcześniej urodziła ona martwe dziecko i była tak pogrążona w rozpacz, że handlarz nie żądał za nią wysokiej ceny. Dzięki nabytym ze zwierciadła umiejętnościom, Myrddin potrafił się z nią

porozumieć. Obiecał jej wolność w zamian za opiekę nad dzieckiem, które jej przyniesie. Oczywiście, kobieta mogła nie wierzyć jego obietnicy, lecz nie protestowała, gdy prowadził ją do gospody, prosił o wodę do mycia i przyniósł jej wełnianą tunikę i pelerynę, prawdopodobnie najlepszą odzież, jaką kiedykolwiek miała.

Dziecko było płci męskiej, czego Myrddin już wcześniej był pewien. I skoro nie posiadało jeszcze imienia, więc tak jak niegdyś Lugaid nazwał jego, tak teraz Myrddin w zastępstwie ojca wziął dziecko na ręce, popatrzył na małą czerwoną buźkę i wymówił imię, które usłyszał od zwierciadła: "Artur".

Trzy tygodnie później Myrddin wynajął wóz i przyłączył się do oddziału odkomenderowanego dla wzmocnienia północnych granic. Podróżowali więc z eskortą przez niebezpieczne tereny. Wreszcie dotarli do posiadłości Ektora, gdzie przyjęto ich jak krewnych. Ektor namawiał Myrddina, by pozostał wraz z dzieckiem. Ten

jednak uważał, że przez wzgląd na bezpieczeństwo Artura musi odejść. Im szybciej oddali się z tego miejsca, tym mniej prawdopodobne, by jakiś zausznik lub wróg króla wysledził miejsce pobytu dziecka. Myrddin wątpił, by Uter źle życzył niemowlęciu, lecz bez wątpienia król byłby szczęśliwszy, gdyby to niechciane dziecko przepadło gdzieś za morzem. Król miał wielu krewnych w Małej Brytanii. Między nimi mógł znaleźć kogoś, kto dobrze ukryłby Artura.

- Gdy będzie gotów do pobierania nauk, wtedy się zjawię -
odpowiedział Myrddin na zaproszenie Ektora. Był bowiem przekonany, że Artur musi korzystać z tych samych źródeł wiedzy, które kształtowały jego życie. - Do tego czasu zapomnij, że nie jest on twoim synem.

Trynihid, przyciskając własnego syna imieniem Kej do nabrzmiałej piersi, uśmiechnęła się.

- Nie martw się, kuzynie, będzie tu rósł bezpiecznie. Ektor przytaknął z werwą.

- Złożę przysięgę krwi, jeśli

sobie życzysz. Myrddin uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Kuzynie, jaki pożytek z przysięgi między osobami jednej krwi. Nie wątpię, że uczynisz z niego prawdziwego członka tej rodziny.

Odjechał wczesną wiosną na południe. Ruszył do Miejsca Słońca, bo czuł się bardzo samotny. Może Lugaid dotrzyma mu towarzystwa. Wybierał takie drogi, które zmyliłyby każdy pościg, bo nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ktoś go śledzi.

Gdyby Uter zmienił zdanie, myślał, jego ludzie prowadziliby bardziej widoczne poszukiwania. To uczucie było tak subtelne, jakby ścigał go cień, chmura, coś, czego nie potrafił złapać ani dojrzeć, lecz co stale było przy nim. Znał tylko jedną osobę, która mogła być takim cieniem - Nimue.

Możliwe, że istnieje, rozważał, jakiś sposób, że każde wykorzystanie przez niego mocy jest jej sygnalizowane, gdziekolwiek się ukryła, by rzucać swoje czary. A ponieważ on nie ma

pojęcia, jak wielka jest jej wiedza, powinien być przygotowany na najgorsze. W każdym razie uczucie bycia śledzonym świadczyło o tym, że ona już wie o Arturze. Przede wszystkim zaniepokoił się o dziecko. Jeśli podczas podróży od Ektora to uczucie bycia śledzonym zniknie, będzie to znaczyło, że dziecko jest w niebezpieczeństwie. W takim przypadku musi natychmiast zmienić plany, wrócić i chronić małego najlepiej jak potrafi. Jednak, ku jego zadowoleniu, ten niewidzialny obserwator cały czas mu towarzyszył.

Jadąc Myrddin rozglądał się dookoła, a na czas snu "włączał" swój własny system zabezpieczenia, tak by nie dać się schwytać w pułapkę. Wciąż jednak żaden atak nie następował. Tylko to dziwne uczucie...

Pomyślał, że może mógłby się tego pozbyć, gdy dotrze już do Miejsca Słońca. Przypomniał sobie, jak wzbierała w nim energia, gdy dotykał kamiennych strażników przeszłości. Jak silna jest Nimue? Tak wiele zależało od odpowiedzi

na to pytanie. I co robiła przez te wszystkie lata od ich ostatniego spotkania? Był pewien, że nie próżnowała. Dotarł wreszcie do olbrzymiego kręgu stojących głazów, zsiadł z konia i zatrzymał się, by podziwiać świt rozświetlany przez wschodzące słońce. Miał rację: tutaj po raz pierwszy poczuł się wolny od śledzenia. Wiedział jednak, że nie może zbyt długo zwodzić Nimue. Ciągłe towarzyszył mu strach, że mogłaby wrócić i zaatakować Artura. A on musi przetrwać! Podszedł do chaty wzniesionej przez Lugaida. Tak bardzo pragnął rady Druida, zapewnienia, że w razie jakiejś dziwnej walki może liczyć na jego wsparcie. Nim jednak doszedł do prowizorycznego lokum, zauważył, że dach z gałęzi jest połamany i zrozumiał, że od dawna nikt tu już nie mieszka.

- Lugaid! - Nie mógł powstrzymać krzyku rozpacz. Imię Druida zdawało się rozbrzmiewać zbyt głośno. Zasłona w drzwiach była zerwana, zajrzał więc do ciasnego pomieszczenia. Żadnych śladów

ludzkiej obecności.

Zaniepokojony schylił się i wszedł do środka, rozkopując popiół, który kiedyś był ogniem. Garnek z brązu, drewniane miski i łyżki zniknęły. Nic nie pozwalało stwierdzić, kiedy i dokąd Druid odszedł. Przynajmniej nie było śladów przemocy. Lugaid nie padł ofiarą napadu uzbrojonej bandy ani wyjętych spod prawa.

Powoli Myrddin podszedł do Królewskiego Kamienia i położył dłonie na nierównej powierzchni. To dopiero moc! Czuł, jak jego energia i wola rosną i mieszają się z tym, co emanuje z kamienia. Poczucie pewności siebie, które utracił, gdy odkrył brak Lugaida, powróciło.

Czuł, że tutaj potrafi dokonać różnych rzeczy, może przywołać odpowiednie siły, by zapewnić bezpieczeństwo Arturowi, a także uwolnić siebie od tej natrętnej obserwacji. I to właśnie uczynił, używając słów, myśli i rytmicznych uderzeń o skałę ostrzem noża noszonego przy pasie. Poczuł odpowiedź kamienia, jakby czuł

obecność niewidzialnego oddziału zbrojnego. On był wodzem tego oddziału i skierował go - wypuścił jak strzałę z łuku - na północ w stronę małej doliny Ektora.

Był zmęczony i wyczerpany. Oparty o Kamień Królów osunął się na trawę. Wbił wzrok w niebo, po którym bielsze niż najbielsza pościel chmury żeglowały powoli i dostojnie ku sprawom dla ludzi niepojętym. Poza chmurami, poza tym niebem są inne światy, jest ich o wiele więcej, niż człowiek potrafiłby zliczyć. Te odległe światy są zamieszkane, lecz lustro powiedziało mu o nich niewiele i dość niejasno. Gdyby Ludzie Przestworzy wrócili, ich statki byłyby mostami do tych światów. Czy miałby wówczas odwagę wyruszyć poza Ziemię w poszukiwaniu innego słońca? Nie wiedział, lecz ten pomysł go ożywił. Jak długo jeszcze musi czekać?

Ludzie mierzą czas latami, porami roku. Panowie Przestworzy - wiekami. Życie ludzkie jest krótkie. Ile trwa życie mieszkańców przestworzy? Może

trzy, cztery, sto razy dłużej niż człowieka? W tej chwili poczuł się na wskroś człowiekiem, zdumionym, lekko przerażonym perspektywą przybycia tych, którzy zjawią się na jego wezwanie, jeśli wypełni wszystko, o co prosiło go zwierciadło.

Myrddin zapadł w półsen, a jego koń skubał świeżą trawę wokół głazów. We śnie ożywiła się wyobraźnia chłopca i ujrzał rzeczy dziwniejsze nawet od tych, które widział w lustrze. W tych obrazach nie było nic przerażającego, choć były tak niezziemskie. Czuł tylko zdziwienie i zachwyt. Miasta! Takie miasta! Z lśniącymi wieżami, z tęczowego szkła, sięgające nieba, które nie było znajomym niebieskim niebem. Zupełnie inne wieże znajdowały się pod niespokojnymi falami mórz, spiczaste, czerwone jak ciemny koral, który sprzedają kupcy z południowych krajów. Tak, potrafił wyobrazić sobie miasta, lecz nie mógł przywołać do życia ludzi, którzy je wznieśli. Może człowiek potrafi widzieć tylko życie

podobne do własnego? Cóż za fatalna ludzka krótkowzroczność! Zbierały się ciemne chmury. Jedna z nich zasłoniła słońce. Wiatr, pachnący obietnicą deszczu i burzy, obudził Myrddina. Chłopiec chwycił konia za lejce i wrócił do chaty niegdyś należącej do Lugaida. Spędził tam tę noc, gdy gwałtowne wiatry buszowały po kraju. Dwukrotnie skulił się przerażony, gdy piorun z wielką siłą uderzył w Królewski Kamień, jak gdyby owa skała przyciągała całą energię tego, co szalało w niebiosach.

Doświadczył już takich burz wcześniej, lecz zdawało mu się, że nigdy nie miał do czynienia z tak ogromną furją i siłą. Zatkanął uszy palcami, zamknął oczy i wciąż nie mógł uciec ani przed dźwiękiem, ani przed widokiem. W powietrzu unosił się dziwny zapach... Oto siła, której ludzie nie mają szans ujarzmić, teraz oszalała i pragnąca oczyścić ziemię z wszelkich form życia.

Pomimo strachu Myrddinowi udzielił się nastrój dzikości, który

sprawił, że chłopiec zapragnął uciec w ten chaos, skakać i wrzeszczeć, zostawić wszystko, stać się częścią tego szalu i uwolnić się od napięcia, od kontroli umysłu.

Rankiem nic nie wskazywało na przejście takiej potęgi. Dopiero gdy Myrddin wyjechał poza kręgi, ujrzał powalone drzewa z połamanymi korzeniami przypominającymi wygięte palce skierowane w niebo, skąd nadeszły śmiertelne ciosy. Myrddin posiadał nowy rodzaj spokoju. Może to burza uniosła wraz z sobą cały jego niepokój i strach. Wciąż czuł w sobie tę wolność, która obudziła się w nim podczas tych kilku nocnych godzin.

Uczucie bycia śledzonym również odeszło wraz z burzą. Nie skorzystał jednak z okazji i zbliżył się do jaskini dopiero po kilku dniach krażenia, tak jak nakazywała ostrożność. Tym razem nie powitał go Vran, nie pomogły nawet gwizdy i poczęstunek na ziemi. Na całym zboczach panowała niezwykła cisza. Nie słychać było

ptaków. Nawet wiatr milczał. Myrddin nasłuchiwał nie tylko uszami, lecz również swoim dodatkowym zmysłem. Już nieobecność wszelkich form życia była ostrzeżeniem. I mógł przewidzieć, co prawdopodobnie się tu stało. Był pewien, że pozbył się pościgu, a tymczasem wróg nie tracił czasu na jałowe śledzenie go i przyszedł wprost tutaj!

Nimue!

Zdjął siodło oraz uprząż z konia i uwolnił zwierzę. Próbował ukryć przed niewidzialnym wrogiem, że wie o jego obecności. Spojrzał w stronę szczeliny i zauważył, że wejście do groty nie jest naruszone. Kamienie, którymi poprzednio zasłonił otwór, były na swoim miejscu. Teraz jego umysł zaprzętał miecz. Był pewien, że niemożliwe jest, aby wynieść stąd jakakolwiek rzecz pochodząca z przestworzy. Wszystkie urządzenia są zbyt duże, by je przecisnąć przez szczelinę. Nie wiadomo, jak się w ogóle dostały do jaskini. Może znajdowały się tu już od wieków?

Jednak miecz był znacznie mniejszy, a Nimue wiedziała, że on go posiada. Może chciała mu go odebrać? Zarzucił wyładowane juki na ramiona, podszedł do szczeliny. O wejściu Nimue też już wiedziała, więc nie zdradzał w tym momencie żadnej tajemnicy. Gdy jednak wejdzie do środka, ona pozostanie z tyłu. Dobrze rozumiał, że zwierciadło posiada własny system ochronny i tylko on jeden może się do niego zbliżyć.

Działał szybko, nie rozglądając się na boki. Towarzyszyło mu poczucie przymusu, lecz nie aż takie, by jego własna wola nie mogła mu się oprzeć. Zupełnie jakby znów słyszał jej śmiech. Zdawało mu się, że ona wciąż go obserwuje i czeka na stosowny moment, by podporządkować go swojej woli. Jest jednak zbyt pewna siebie, zbyt zadufana w swoje możliwości. Jemu z kolei też nie wolno być przesadnie zarozumiałym - powinien być ostrożny.

Może i Nimue jest w stanie podporządkować sobie innych przy

pomocy takich samych przywidzeń, jakich on używał do własnych celów na przestrzeni lat. Teraz wie na co stać jego moc, gdyż wcześniej nie spotkała z jego strony takiego oporu.

Na razie opór nie ma sensu, ponieważ ich cele są jednakowe - ona chce, by wszedł do jaskini, on zaś upewnić się, czy miecz jest bezpieczny. Odsunął ostatni kamień, schylił się, by precyzyjnie się przez otwór. Jeszcze raz odkrył ze zdumieniem, że nawet powiększone wejście nie jest dostatecznie duże, by mógł bez trudu przez nie przejść. Poszarpał tunikę na biodrach i ramionach, kalecząc sobie skórę pod materiałem.

W ciemności grota wydawała się głębsza. Pulsowała już tylko jedna mała linia światła. Myrddin upuścił juki i udał się od razu do wnęki, w której ukryty był miecz. Zawiniątko leżało tam bezpiecznie, lecz rozwinął je, by się upewnić, że wewnątrz spoczywa głownia. W ciemnościach miecz zalśnił własnym blaskiem. Myrddin trzymał rękojeść

w prawej dłoni, a palcami lewej przesuwając po gładkiej powierzchni ostrza. Jak w przypadku kamienia, ten dotyk dał mu poczucie wyzwolonej siły, energii, którą można uwolnić na komendę. Ten miecz ma swoje przeznaczenie, inne niż poruszanie Królewskiego Kamienia. Myrddin czuł, że wszystkiego dowiędzie się w swoim czasie. Na razie miecz jest bezpieczny i trzeba zawinąć go z powrotem, by ukryć błysk ostrza. - Merlinie! - odezwał się głos, lecz nie ten co zwykle. Chłopiec ominął najbliższy cylinder, by spojrzeć w taflę zwierciadła. Lśniło ono jakimś dziwnym, srebrzystym blaskiem, a na tle tego delikatnego światła stała Nimue. - Cóż, biedny Merlinie! - W jej głosie nie było szyderstwa, którego mógł się spodziewać, a raczej nutka żalości. - Wszedłeś do pułapki, a ta zamknęła się za tobą. Całe to twoje wtrącanie się w sprawy ludzi z czasem samo szczytnie. Sprytni są ci, którzy przeznaczyli cię do wykonywania ich poleceń, kazali ci być ich

rękami i nogami na tym okaleczonym świecie. Jednak nie dość sprytni. Ustawili straż przy zwierciadle i wszystkim, co przybyło z przestworzy, lecz może nie wiedzieli, że wokół straży też można ustawić straż. Przybyłeś na ziemię, Merlinie, jak ścigany lis, lecz w przeciwieństwie do szczwanego lisa nie wydostaniesz się stąd. Ustanowiłam zewnętrzne pole siłowe, by zatrzymać cię wewnątrz. Pozostaniesz tu, aż twoje ludzkie ciało zmorze głód i pragnienie. Owszem, jest to rzecz straszna, lecz ty doprowadziłbyś do gorszego, gdybym cię w porę nie powstrzymała. Twój Artur będzie żył, ale niczym nie będzie się różnił od innych ludzi. Rozwieje się twoje marzenie o królestwie. Artur nigdy nie zdobędzie korony, co więcej, przypadnie mu w udziale cicha śmierć. Żegnaj, Merlinie! Szkoda, że nie mogliśmy się traktować przyjaźniej, jak przystało na dalekich krewnych. Zniknęła w słabym połyskującym świetle. Myrddin wyciągnął rękę, jakby chciał ją zatrzymać, choć

wiedział, że to nie prawdziwa Nimue, ale wysłany przez nią obraz. Odwrócił się i po chwili był przy szczelinie.

Otwór był na swoim miejscu i Myrddin włożył weń ramię. Ale jego pięść, zamiast trafić w otwartą przestrzeń, napotkała niewidzialną ścianę.

Jeszcze dwie próby, z góry i z dołu, wyraźnie wykazały, że bariera jest szczelna. Nie tracił czasu na bezużyteczne zmagania. Jedynie zwierciadło może znać wyjście z sytuacji. Wrócił więc do lustra, usiadł na ławie, którą tak często zajmował w dzieciństwie. Wpatrując się z uwagą we własne odbicie, pomyślał o swoim problemie, choć nie wiedział, jak to się dzieje, że jego pytania lub prośby o pomoc są przez kogoś odbierane.

Zauważył, że instalacje, które tak długo trwały w milczeniu, budzą się. Wtedy przemówił głos zwierciadła:

- Pole siłowe jest zbyt silne, by je przełamać... teraz. Prawdą też jest, że posiadasz ciało, które

nie jest przystosowane do wielkiego wysiłku fizycznego. Można jednak temu zaradzić. Zaśniesz, Merlinie, a podczas snu wszystkie funkcje organizmu zostaną zwolnione. Kiedy czas osłabi siłę pola, obudzisz się i wyjdiesz stąd cały i żywy. Tylko w ten sposób możesz się stąd wydostać.

Jego twarz i ciało nie zniknęły tym razem z powierzchni lustra. Ujrzał siebie, idącego do długiej niskiej maszyny w odległym końcu szeregu. Coś wcisnął i palce wpadły głęboko w małe dziurki. Pokrywa maszyny odchyliła się i oparła o wysokie słupy. Wówczas postać w lustrze zdjęła ubranie, wsunęła się w przestrzeń między skrzynią a pokrywą, by ułożyć się wewnątrz. Słupy odchyliły się w stronę ziemi, zatraskując pokrywę.

Myrddin zadrzał. Nie miał powodu wątpić w mądrość zwierciadła i głosu. Ale to przypominało wchodzenie żywcem do grobowca. Wykonanie tego wymagało od niego ogromnej odwagi.

Zwierciadło wyczyściło swą tafelę. Myrddin widział już tylko własną postać, taką jaką była, gdy niechętnie wstawał. Musiał wybierać: powolna śmierć z głodu i pragnienia - czy propozycja grobowca. Obie perspektywy były nieciekawe. Ponieważ jednak ufał zwierciadłu, zastosował się do jego zaleceń.

Wcisnął odpowiednie przyciski i długa skrzynia otworzyła się. Gdy pokrywa unosiła się, wpatrywał się we wnętrze. Dobiegało stamtąd światło, blade lecz dostatecznie silne, by odbijać się na dłoniach. Dno zalane było płynem o przyjemnym aromatycznym zapachu. Myrddin zdjął ubranie, ułożył je z boku i przełożył jedną nogę przez krawędź skrzyni. Płyn sięgał mu do kostek, był ciepły i kojący. Myrddin przepchnął resztę ciała i umościł się na dnie skrzyni. Płyn zalał jego pierś i zaczął pieścić policzki. To była ostatnia rzecz, jaką zapamiętał. Zaraz potem pokrywa szybko opadła, by odciąć go od świata. Nastąpiły sny, dziwne sny o

miastach, których istnienia nigdy by nie podejrzewał, tak wysoko w niebo wznosiły się ich strzeliste budowle. Ludzie latali w maszynach, które nie były ptakami, a zrobione były z przemysłnie uformowanego metalu. W swoim śnie Myrddin czasami na chwilę zamieszkiwał w ciele któregoś z tych ludzi, lecz wtedy nawiedzały go myśli tak obce znanym mu czasom, że nie potrafił ich zrozumieć.

Owi ludzie nie tylko latali wśród chmur, lecz również podróżowali pod powierzchnią morza. Wyglądało na to, że ich świat nie miał przed nimi żadnych tajemnic. Byli jednak nieszczęśliwi, niespokojni i nękanymi problemami, zatem Myrddin wkrótce zrezygnował z jakichkolwiek kontaktów z ich umysłami.

Nadszedł czas, gdy świat oszalał. Wyjące wiatry niszczyły miasta, czyniąc takie szkody, do jakich nie byłaby zdolna zwykła burza. Fale morskie osiągały wysokość gór i rozбивały się o ląd, zmiatając ludzki świat w niepamięć. Góry

ziały ogniem, a po ich zboczach spływały wielkie grudy stopionej skały. Gdy napotkały wodę z oszalałych mórz, powstała tak gęsta para, że zakryła zarówno ląd, jak i morze, i odcięła je od nieba.

Gdy wreszcie nastał koniec, wyniszczony świat był zupełnie zmieniony, miał nowe zatoki, nowe rzeki. Część lądu została pochłonięta przez morze, a w innych miejscach ląd uzyskał parujące obszary śmierdzącego błota, które przedtem zalane były wodą. Człowiek jednak przetrwał, w jakiś sposób przeżyła garstka ludzi. Niektórzy pamiętali wcześniejsze czasy, choć bardzo mgliście. Inni byli prawie zwierzętami, które potrzebowały do życia tylko pożywienia i snu, i raz na jakiś czas gziły się brutalniej niż dzikie bestie. Zaiste ta garstka była zgubiona. Upadli tak nisko, że stali się nawet bardziej prymitywni niż zwierzęta. By napełnić brzuchy, niektórzy polowali nawet na swych towarzyszy, których zabijali

kamieniami. Jednak część z nich uparcie przechowywała wspomnienia. Niektórzy mieli na tyle rozsądku, by odłączyć się i osiedlić w miejscach, w których mogli bronić się przed bezmyślnymi brutalami. Jeszcze raz nastąpił powolny, bardzo powolny rozwój. Prawda stała się legendą, udekorowaną przez wyobraźnię. Późniejsze pokolenia nie wierzyły, że człowiek kiedykolwiek był inny niż w ich własnych czasach. Zawsze jednak istnieli tacy, którzy pamiętali i których opowieści, przekazywane z pokolenia na pokolenie, były dokładniejsze i mniej zniekształcone niż inne. Myrddin śnił i śnił. Jego rasa była tą, która pozostała przy życiu, która mogła być pokonana, lecz nigdy nie została zmieciona. A wśród ludzi zawsze znajdą się marzyciele, poszukiwacze...

Rozległ się donośny dźwięk przypominający dzwonienie wielkiego gongu. Myrddin poruszył się w skrzyni. Jego oddech stawał się coraz szybszy. Płyn, który

całkowicie pokrywał jego ciało, odpływał. Powieki poruszyły się. Jakby ten drobny ruch był sygnałem, kolumny podtrzymujące pokrywę zaczęły powoli wracać do pionowej pozycji. Myrddin otworzył oczy i wydał cichy jęk. Czuł, że jego kończyny są sztywne, lecz nie bardziej niż gdyby spędził noc na świeżym powietrzu. Jego umysł szybko powracał do konkretnego tu i teraz.

Czy głos miał rację - czy pole siłowe osłabło? Wydostał się ze skrzyni i wstał. Był tak oszołomiony, że musiał się złapać krawędzi pokrywy. Instalacje wokół niego migotały. Jego ciało szybko schło, ciecz wypełniająca skrzynię opadała ze skóry dużymi kroplami, pozostawiając po sobie nieznaczną wilgoć.

Poszukał swojego ubrania. Gdy schylił się po tunikę, zauważył, że len zżółkł i zetlał. Tunika rozdarła się, gdy ją zakładał. Czas, ile czasu minęło?

Już ubrany podszedł do zwierciadła. Jak długo spał, to przede wszystkim go intrygowało,

jak długo?

Głos, silny jak zawsze,
odpowiedział na to pytanie.

- Szesnaście lat na tym świecie,
Merlinie. Teraz trzymające cię tu
pole jest już słabsze. Jesteś
wolny. A ta, która cię tu
uwięziła, nie może uczynić nic
więcej, bo wyczerpała większość
swej mocy na to, co zrobiła. Teraz
będzie w inny sposób próbowała cię
pokonać. Nadszedł czas, byś podjął
walkę.

Myrddin wpatrywał się w swoje
odbicie. Szesnaście lat! A
wyglądał może o rok lub dwa
starszej niż wtedy, gdy wszedł do
skrzyni. Jak to możliwe?

- Płyn przedłuża życie, Merlinie.
Nie myśl już jednak o przeszłości.
Musisz ruszać do swych zadań i
uczynić Artura prawdziwym królem
Brytanii.

- A Uter? - spytał Myrddin.

- Uter umiera. Są wokół niego
wielcy panowie. Dwaj poślubili
jego córki. Nie miał jednak synów.
Żadnych męskich potomków prócz
Artura, o którego dziedzictwo
musisz się upomnieć. Choć nie

zrobiłeś dla Artura tego, co było w planach, nie przekazałeś mu tej wiedzy, którą sam posiadasz, jednak w jego żyłach płynie krew Ludzi Przeszłości, więc jest nasz, nie ich. Osadź go na tronie, Merlinie, a Brytania będzie miała Wielkiego Króla, którego imię nie zostanie zapomniane przez wieki. Myrddin powoli kiwał głową. Ta myśl spoczywała gdzieś w zakamarkach jego umysłu od chwili, gdy wraz z Lugaidem znaleźli ten cudowny wyrób z kosmicznego metalu.

- Artur i miecz, oraz ty przy nim, Merlinie. To jest zadanie, dla którego zostałeś tu przysłany. Nikt na ziemi nie będzie potężniejszy. Artur i miecz...

X

Merlin stał na wzgórzu i spoglądał w dół, na wielki obóz, gdzie ponad barwnymi namiotami powiewały wojenne proporce wodzów i pomniejszych królów. Nie jest już Myrddinem, musi o tym pamiętać. Zastanawiał się, czy ktoś, tam w

dole, może go rozpoznać.

Szesnaście lat... Artur jest już mężczyzną, a on nie miał udziału w jego kształceniu. Oglądanie się z żalem wstecz niczego nie zmieni. Teraz z uwagą i nadzieją trzeba spoglądać w przyszłość.

Swoją nadwerżoną czasem odzież zastąpił długą wełnianą szatą, jakie nosili bardowie. Zapuścił brodę, lecz była ona tak rzadka, że nie sprawiała wielkiego wrażenia. Szatę znalazł w bagażu martwego mężczyzny, którego ciało leżało na słońcu obok pasącego się konia. Trzej Sasi eskortujący tego wędrowca też zrosili ziemię swoją krwią. Merlin nie wiedział, kim był jego dobroczyńca, dlaczego go napadnięto. Podziękował temu nieznanemu duchowi za konia i tunikę, po czym w porannym słońcu pogrzebał jego ciało głową ku wschodowi.

Spotykał wielu podróżnych zmierzających ku chwilowej stolicy Brytanii. Uter nie żył od kilku dni, a Wysoka Rada jeszcze nie wyznaczyła następcy. Dowiedziawszy się z grubsza, jak sprawy stoja,

Merlin opracował swój plan. Teraz uważnie analizował rozkład obozu. Dumnie powiewał na wietrze proporzec Lota, męża jednej z córek Utera. Łopotał też proporzec Dzika z Kornwalii, obecnie znak syna Golorisa, który nie był legalnym potomkiem, lecz cieszył się poparciem Kornwalijszczyków. Merlin widział też wiele innych sztandarów, których nie znał. Domyślał się, że każdy z obecnych tu panów przybył z choćby cieniem nadziei w sercu.

Szukał wzrokiem herbu Ektora - Szybującego Jastrzębia. W końcu go znalazł. Oczywiście nie w środkowym kręgu wielkich panów, lecz w sąsiedztwie króla Uriena z Rheged, owego północnego królestwa, które przez lata skutecznie opierało się Piktom, nie pozwalając im zapuszczać się daleko na południe od starego muru. Zauważywszy ów proporzec, Merlin porzucił zakurzoną drogę i udał się w kierunku namiotu. Przed namiotem stał młody mężczyzna i przymierzał kaftan z naszytymi pierścieniami z brązu.

Miał ciemne włosy i Merlin omal nie zwrócił się do niego po imieniu. Młodzieniec uniósł głowę i spojrzał zaskoczony na przybysza. Merlin wyraźnie widział w nim młodego Ektora.

- Panie Keju - odezwał się. - Czy Pan Ektor jest tutaj?

- Ojciec udał się na naradę książąt - odpowiedział Kej, obrzucając Merlina spojrzeniem, które można by nawet uznać za niegrzeczne. - Czy przybywasz, panie, z wiadomością?

- Jesteśmy dalekimi krewnymi - odparł Merlin. Kej miał w wyrazie twarzy coś zuchwałego, co nigdy nie pojawiało się na obliczu jego ojca. - Tak, mam dla niego wiadomość. - Merlin bardzo chciał zapytać o Artura, dowiedzieć się, co działo się z wychowankiem Ektora w ciągu tych lat. Teraz jednak wiedział więcej o Keju i uznał, że nie powinien poruszać tego tematu.

Syn Ektora podszedł, by czynić mu honory domu. Przytrzymał wodze, pomagając tym samym gościowi zejść z konia. W swojej skromnej szacie

pokrytej warstwą kurzu i błota Merlin wyglądał niewiele lepiej od zebra, lecz przyjął honory jak coś, co mu się słuszenie należy. Weszli do namiotu, by skryć się przed silnym słońcem. Kej rozkazał słuzącemu przynieść wino. Z zaciekawieniem spoglądał na długi pakunek, który miał przy sobie Merlin, a który był bezpiecznie zawiniętym mieczem. Tylko dobre maniere powstrzymywały młodzieńca od zadawania pytań, gdy Merlin siedział na stołku ze swym skarbem na kolanach.

- Jak czują się ojciec i matka? - Merlin rozlał kilka kropel wina na ziemię pod stopami, jak nakazywała tradycja klanów, po czym zaczął sączyć. Docenił wyborny smak pitego trunku, jakiego nie spotkałby w żadnej gospodzie. Wspomnił z rozrzewnieniem lato spędzone w bezpiecznej dolinie i pracę u boku Ektora przy zbiorach szkodliwych plonów.

- Ojciec czuje się dobrze. Ale matka... - Kej zawahał się chwilę.

- Matka zmarła na chorobę z kaszlem ostatniej zimy.

Merlinowi zadrżała ręka.

Przypomniiał sobie tak wiele: dumę Trynihid, gdy nosiła w łonie swego syna, więź łączącą ją i jej męża. Jej śmierć musiała być dla Ektora wielkim ciosem.

- Niechaj będzie szczęśliwa na Wyspie Kobiet.

- Wyznajemy tutaj Chrystusa, człowieku - odpowiedział Kej dość ostro. - Samnosisz sukmanę brata Kościoła, czemu więc mówisz o Wyspie Kobiet?

Wciąż trochę oszołomiony wspomnieniami i poczuciem własnej obcości, Merlin podniósł wzrok na młodzieńca.

- Moja szata jest tylko pożyczona - podał pierwszą lepszą wymówkę, jaka mu przyszła do głowy. - Jestem bardem.

Pragnienie dowiedzenia się czegoś o Arturze było tak wielkie, że Merlin ledwie mógł je opanować. Oprócz Keja i dwóch służących nie było tu nikogo. Czyżby Artur pozostał w domu? Jeśli tak, to plan się nie powiódł, nim jeszcze zdążył zostać wprowadzony w życie.

- Kej, chłopcze, gdzie jesteś?

Poznał ten głos. Merlin radośnie zerwał się na nogi, gdy w wejściu pojawił się Ektor. Nie był to jednak Ektor, którego Merlin kiedyś znał, i spotkanie z nieznanym na chwilę zbiło go z tropu. Przez moment stał z otwartymi ustami, niczym jakiś nieokrzesany prostak najęty do pracy w polu. Szczupły mężczyzna, którego pamiętał, znacznie przytył, a jego ciemne włosy przyprószyła siwizna. Zmęczona twarz Ektora przywodziła na myśl człowieka, który musi zmuszać się co rano do znienawidzonych obowiązków i nawet pod koniec dnia nie może liczyć na prawdziwy odpoczynek.

Oczy jednak pozostały te same. Najpierw wyrażały zaciekawienie przybyszem. Ektor rozpoznał go. Był jednak zaskoczony.

- Ty żyjesz! - Ektor pierwszy przełamał moment napiętej ciszy. - Ale czemu nie przyszedłeś wcześniej?

- Byłem więziony - odpowiedział Merlin. - Dopiero niedawno odzyskałem wolność.

- Ależ... jesteś zmieniony. Nie zestarzałeś się, tylko zrobiłeś jakiś... taki... dziwny - powoli powiedział Ektor. Wtedy przypomniał sobie, że nie są sami i zwrócił się do syna:

- Odszukaj Artura i przyprowadź go tu. Powinien poznać tego człowieka.

Gdy zostali sami, Ektor ciągnął:

- Chłopak nieźle się rozwinął. Ale gdy nie wróciłeś, jak obiecałeś, nie mogliśmy nauczyć go więcej niż Keja. Wiem, że nie tak miało być.

- Dałeś mu wszystko, co mogłeś.

Jak można cię o cokolwiek obwiniać? - szybko odparł Merlin.

- Ja jestem winien, że tego nie przewidziałem. Powiedz mi teraz, co słyhać w Radzie? Czy dokonano już wyboru króla?

Ektor potrząsnął głową.

- To trudna sprawa. Są tacy, którzy popierają władcę Kornwalii, a on pokazał, że jest dobrym dowódcą w walce. Są też tacy, którzy chcieliby osadzić na tronie Lota, gdyż poślubił on młodszą córkę króla, a to człowiek niemałych ambicji. Mogą oni rozbić

Brytanię na dwie części, nim doczekamy końca tego konfliktu. Urien coś zamyśla, lecz nie podzielił się ze mną swoimi planami. Do tego jeszcze Skrzydlate Hełmy, które napadają, kiedy chcą. Znowu nastaly złe czasy i nie ma jednego wodza z taką mocą, by mógł przejąć władzę bez oporów ze strony innych.

- Z mocą... - powtórzył Merlin. - A jeśli ktoś dałby mu tę moc? Wygląda na to, że przybyłem w momencie, który trzeba wykorzystać, bo inaczej całe nasze nadzieje spełzną na niczym.

Słuchaj, kuzynie. W żyłach Artura płynie krew Pendragona. To syn Utera, choć Wielki Król trzymał go w ukryciu, by nie został usunięty w dzieciństwie przez takich panów jak Lot i ta reszta. Mam też dla niego Moc, a przynajmniej jej symbol. - Odwrócił się z zapalem, by wyciągnąć miecz. - Musimy zadbać o to, by tron przypadł jemu.

Nagle zdał sobie sprawę, że Ektor milczy. Uniósł wzrok i zauważył bladą, przerażoną twarz.

- O co chodzi? Czy coś z nim nie tak? Czy złamał prawa klanu? -
Wyraz twarzy Ektora przeraził Merlina.

- On... - Ektor oblizwał wargi. -
To przystojny chłopak... i... na rany Chrystusa, czemuś mi nie powiedział?!

- Co z nim? - Merlin upuścił miecz, otoczył Ektora ramieniem. Potrząsnął tym panem z północy, jakby mógł siłą wyciągnąć z niego odpowiedź.

- Uter... sprowadził na dwór kilka swoich córek. I jedna z nich, Morgana, bardzo rozwinięta na swój wiek, oglądała się za każdym mężczyzną. Ona to... ona... zaciągnęła Artura do swej łóżnicy... tydzień temu!

Merlin stał nieruchomo, jak kamienne słupy w Miejscu Słońca, i nerwowo przebierał w myślach. Artur nie jest synem Utera, lecz jeśli Merlin wyjawí prawdziwe okoliczności narodzin chłopca, to czy którykolwiek z tych panów go poprze? Nie, zaczęłyby się opowieści o nocnych demonach, które go przyniosły, i ta sama

wrogość, z jaką w przeszłości spotykał się Merlin. Lecz dla mężczyzny sypiać z własną siostrą, to również piętno na całym jego życiu. '

- Ta Morgana jest zamężna?

- Jeszcze nie. Król był już umierający, lecz gdy dotarły do niego pogłoski o jej złym prowadzeniu się, wielce się rozeźlił. Przyzwał pewną kobietę, która często z nim przebywała, gdyż ma zdolność uzdrawiania, a król umierał powoli na wyniszczającą chorobę. Przekazał jej Morgane, choć dziewczyna nie chciała spokojnie odejść. Powiadają, że zabrano ją nocą, związaną, z zakneblowanymi ustami. Wóz odjechał nie wiadomo dokąd. Merlin odetchnął z ulgą.

- Czy wszyscy wiedzą, że przyczyną jej zniknięcia był Artur? Oblicze Ektora trochę się rozjaśniło.

- Nie. Ona zwodziła wielu mężczyzn. Sam Uter zastał ją w łóżu z jednym ze strażników. Znał jej naturę. I przysiągł, że nie pozwoli jej dłużej okrywać hańbą

swojego domu.

- Więc jesteśmy bezpieczni - odetchnął Merlin. - Mogą krążyć plotki, ale wkrótce zamilkną, skoro ich bohaterka będzie pozostawała z dala od ludzkich oczu. Nadal twierdzę, że Artur musi zostać królem. Otrzymałem znak.

- Jego palce wygięły się w dawnym potajemnym splocie.

- Takie jest przeznaczenie. Myślę, że możemy do tego doprowadzić...

Podniósł miecz i zaczął go odpakowywać, opowiadając jednocześnie. Zauważył, że Ektor jakby zapomniał o tym, co przed chwilą tak go poruszyło, i kiwał głową na znak zgody, gdy Merlin zapoznawał go ze swoim planem.

- Pamiętaj! - rzekł Merlin na zakończenie. - Myrddin już nie istnieje, teraz jest Merlin. Lepiej dla Artura, by nie znał na razie swojego prawdziwego pochodzenia, póki nie zdobędzie odpowiedniego wykształcenia.

- To... - zaczął Ektor, gdy wtem wejście do namiotu uniosło się i do środka wpadł młodzieniec, tak

podniecony, jakby biegł na umówioną schadzkę.

Spojrząwszy na niego, Merlin doznał tak głębokiego szoku, jak chwilę wcześniej Ektor. Ależ to... to nie może być Artur!

Nic w jego wyglądzie nie wskazywało na domieszkę krwi Dawnych. Wyższy od Ektora i Merlina o kilka centymetrów, z rudozłotymi włosami członków tutejszych klanów, nie posiadał charakterystycznych powiek, orlego nosa ani ust, jakie Merlin spodziewał się ujrzeć. Ten młody gigant przypominał Utera. Ale jak mogło się to stać? Jego zachowanie i wygląd nie miały nic wspólnego z Dziedzictwem Dawnych.

- Panie! - powiedział chłopak z serdecznym uśmiechem. - Kej mówił, że chcesz mnie widzieć.

- Pragnę, byś poznał tego pana. - Ektor wskazał Merlina. - To on oddał cię do mnie na wychowanie i ma ci coś ważnego do powiedzenia. Merlin zwilżył wargi końcem języka. Jego wzrok odmawiał uznania przystojnego młodzieńca za tego Artura, o którym Merlin

myślał od chwili jego narodzin. Gdyby wyglądał jak Rasa Dawnych, wówczas Merlin mógłby mu w tajemnicy powiedzieć tyle, ile uznałby za stosowne. Jednak teraz, wobec konfrontacji z tak oczywistym tubylcem, odezwała się w nim instynktowna ostrożność.

- Panie? - Chłopiec zwrócił się do Merlina pytająco. Jego oczy płonęły ciekawością. Widocznie przez wszystkie te lata nagromadziło się mnóstwo pytań, na które przybrany ojciec nie potrafił mu odpowiedzieć. To naturalne, że Artur pragnął poznać swoje pochodzenie. A nie miał zwierciadła, które wyjaśniłoby mu jego wątpliwości.

- Jestem Merlin, głoszę dawną wiedzę. - Merlin uważnie czekał na jakąś reakcję, znak, że ten obcy Artur domyśli się, iż nie jest całkowicie krwi tych, którzy go otaczają. Jednak w wyrazie twarzy chłopca dało się odczytać tylko zaciekawienie. - Jesteś królewskiej krwi. - Po tej sprawie z Morganą chyba lepiej było nie powoływać się na związki z Uterem.

- To znaczy, jesteś potomkiem Ambrosiusa i Maksimusa. - Rasy dużo potężniejszej i starszej niż oni obaj, dodał Merlin w myślach.

- Gdy byłeś dzieckiem, niektórzy uważali, że jesteś zbyt blisko tronu. Uznano więc, że lepiej będzie wychowywać cię z dala od dworu. Ponieważ czcigodny Ektor jest moim krewnym, a ciebie oddano w moje ręce, powierzyłem cię właśnie jemu. Jednak nasze ówczesne plany nie zostały zrealizowane. Miałem uczyć cię dawnej wiedzy, ale wpadłem w ręce wroga i dopiero niedawno wydostałem się na wolność. - Mówię ci przeto, Arturze, iż w dniu twoich narodzin i przed twoim narodzeniem były znaki mówiące, że będziesz Wielkim Królem Brytanii. Chłopiec patrzył zaskoczony, po czym wybuchnął śmiechem.

- Szanowny Merlinie, kimże ja jestem, by rościć sobie pretensje do tronu, o który starają się ci wielcy panowie? Nie mam nawet jednego żołnierza ani popleczników, którzy zaproponowaliby moją kandydaturę.

- Posiadasz coś potężniejszego niż armia. - Merlin musiał sam uwierzyć w swoje słowa, musiał uwierzyć, że zwierciadło skierowało go do właściwej osoby.

- Tym czymś jest Moc, która była, jest i będzie. Dokazesz tego na oczach wszystkich, gdy nadejdzie świt. Nie! - Podniósł dłoń, by powstrzymać pytania, które chciał zadać Artur. - Nie powiem ci, jak tego dokonasz! Przystąpisz do próby nieświadom niczego, tak by nikt nie mógł potem podważyć wyniku. I tylko ty, który po to się urodziłeś, możesz wyjść z tej próby zwycięsko.

Artur przyglądał mu się z uwagą.

- Ty, panie, najwyraźniej wierzysz w to, co mówisz. Lecz być Wielkim Królem Brytanii to zaszczyt, za który tylko niewielu podziękowałoby. Ci, którzy teraz sięgają po koronę, widzą tylko jej blask, a nie dostrzegają jej ciężaru.

Merlin poczuł, jak opuszcza go część wątpliwości. Jeśli ten chłopiec potrafi to zrozumieć, to rzeczywiście musi mieć w sobie coś

z Dawnych. Co za szkoda, że nie był odpowiednio kształcony. Ale to już przeszłość. Teraz wszystko zależy od charakteru Artura - na dobre i na złe. A według tego, co mówił Ektor, złe już się wydarzyło. Ektor zwrócił się do Merlina:

- Ja powiem Radzie. Oczywiście, będą tacy, którzy zaczną wysuwać podejrzenia o czary. Artur wykonał nagły ruch.

- Nie chcę żadnych czarów! - stwierdził stanowczo.

- To nie czary - odparł Merlin - ale wiedza, która przez większość została zapomniana. Jeżeli ktoś pamięta dostatecznie wiele, prawdopodobnie może cię pokonać. Jednak według przepowiedni ty będziesz władał Brytanią.

Merlin uparcie trzymał się wiary w zwierciadło. Gdyby ta wiara się zachwiała, nie miałby w życiu punktu oparcia, a wszystko, co zrobił do tej pory, okazałoby się bezsensowne. Mieszkańcy Gwiazd musieli wiele przewidzieć, gdy przygotowywali nadejście tej chwili.

Równocześnie miał dziwne poczucie utraty czegoś, co było dla niego niezwykle cenne. Rozwiała się jego nadzieja, że odnajdzie bratnią duszę w tym chłopcu, którego ojcem, jak i jego, była jakaś obca istota bez trudu przechadzająca się między gwiazdami. Brakowało mu choćby takiej nikłej więzi, jaką czuł, gdy spotkał Ektora. Między Arturem a Merlinem stanowczo nie nawiązała się żadna nic porozumienia.

- Zastanawiam się... - Ektor zareagował szybko, jakby i on wyczuwał napięcie. - Tu w okolicy znajduje się kamień... Sądzę, że należał kiedyś do Dawnych. Chyba nadawałby się do naszych celów. Ale czy będą chcieli cię słuchać? - Będą! - odrzekł Merlin krótko i poważnie. - A teraz zaprowadź mnie do tego kamienia.

Ektor miał rację. Był to stojący głaz przypominający te w Miejscu Słońca. Może oznaczał jakieś dawne zwycięstwo czy też porażkę? Wewnątrz wciąż uwięziona była energia, którą Merlin wyczuł, gdy przesunął końcami palców po

powierzchni. Rzeczywiście, ten gład się nadawał.

Merlin odwinał miecz i z obiema rękami na rękojeści wycelował ostrzem w powierzchnię kamienia. Powoli, niskim głosem, zaczął śpiewać, tym razem nie po to, by unieść kamień, lecz by zrobić przejście w głąb opartemu o gład metalowi. Maksymalnie skoncentrował się na tej czynności. W tym momencie istniały tylko kamień i metal, które miały być mu posłuszne.

Koniec miecza wsunął się w głąb, jakby to, o co się opierał, nie było twardą skałą, ale miękkim drewnem. Centymetr po centymetrze Merlin wsuwał metal w głąb kamienia. Gdy już jedna trzecia ostrza zatopiona była w skale, Merlin opuścił ręce i zachwiał się. Przewróciłby się, gdyby Ektor go nie złapał.

- Dawna wiedza jest czymś przerażającym, kuzynie! - Ektor pomógł Merlinowi utrzymać równowagę i objął go ciasno ramieniem. - Gdybym nie widział, jak to robisz, nigdy bym nie

uwierzył. Ale Artur nie zna słów Mocy. Czy on naprawdę potrafi wyciągnąć miecz?

- Tylko on może to zrobić - cicho powiedział Merlin. - Choć sam o tym nie wie, pochodzi on z rasy, która posiada władzę nad kamieniem i metalem. - Merlin zebrał resztę sił. - Teraz musimy powiadomić wszystkich o próbie.

Później Merlin nigdy nie potrafił sobie dokładnie przypomnieć, w jaki sposób stanął przed zebranymi panami. Wiedział tylko, że tej nocy poczuł w sobie przyływ Mocy, dzięki której mężczyźni słuchali - nawet bez iluzji - słuchali i wierzyli. Z pochodniami w rękach udali się do kamienia i tam ujrzeli zatopiony w skale miecz. Potem zgodzili się, że proponowana przez Merlina próba będzie pierwszą, służącą wyborowi władcy. Może nawet nie wierzyli, . by ktokolwiek mógł wyciągnąć ten metal, lecz w jakiś sposób ulegli sugestiom Merlina. On sam był potem tak zmęczony, że padł, a nie położył się, na

posłanie z peleryn i okryć, które przygotował mu Ektor. Merlin natychmiast odpłynął w niczym nie zakłócony sen. Był tak wyczerpany, jak wojownik po wygranej walce z przeważającą siłą wroga.

Rankiem Merlin zjadł i wypił to, co mu dano, zupełnie nie czując smaku potraw. Żuł i połykał, nawet nie wiedząc co robi, tak bardzo cała jego energia skupiona była na tym, co miało się wydarzyć.

Wreszcie zajął miejsce przy kamieniu z niecierpliwością, którą z trudem ukrywał pod przykrywką godności i wiedzy, jakich wymagała od niego rola proroka.

Wkrótce nadeszli ci najważniejsi. Pierwszy podszedł Lot z Orkanii - jego twarz przypominała lisią maskę pod rudymi włosami, oczy rozbiegane, jakby nimi oceniał przydatność każdego człowieka dla swoich celów.

Miecz w jego rękę ani drgnął. W zasadzie to Lot, jak poparzony, natychmiast cofnął palce z rękoności. Próbowali też Goloris z Kornwalii i inni, tak wielu, że Merlin nawet nie starał się

spamiętać ich imion. Większość z nich wywodziła się z tutejszych plemion, lecz kilku chyba pochodziło z dawnej armii Ambrosiusa, bo posiadali rzymskie rysy.

Następnie podeszli młodsi, niektórzy jeszcze tak młodzi, że nie zdążyli oswoić się z bronią. Ci z większym zapałem próbowali wyciągnąć magiczne ostrze, jakby ich wiara w całe przedsięwzięcie była większa od wiary starszych. Merlin rozpoznał jedynie śniadą twarz Keja. Nie znał innych, gdyż zawsze pozostawał z dala od dworu i żołnierskich obozów.

Wreszcie naprzód wystąpił Artur. Jego włosy w słonecznym świetle połyskiwały jak złoto. Merlin wstrzymał oddech. Słowa w jego umyśle zaczęły układać się w łagodny, długo ćwiczony wzór, którego jednak nie wymówił na głos.

Artur potarł dłonie o uda, jakby chciał je otrzeć z potu. Jego tunika była równie jasna jak włosy, a wokół całej sylwetki zdawało się skupiać światło,

tworząc ognistą otoczkę. A może tylko Merlin tak go widział? Młodzieniec zacisnął dłonie na rękojeści miecza. Merlin widział nabrzmiałe mięśnie pod naprężoną na barkach i ramionach tuniką. Twarz Artura była bardzo poważna. Jeśli nawet nikt inny w tym towarzystwie nie był całkiem przekonany, Artur był. Rozległ się zgrzyt. Miecz drgnął i powoli zaczął wysuwać się z otworu, w który był wetknięty. Wszyscy wstrzymali oddech. Oni wszyscy próbowali - wiedzieli, że to niemożliwe - i na ich oczach Artur dokonał tego niemożliwego. Artur szarpnął ostatni raz. Rękojeść pasowała do jego dłoni, tak jak do smukłej dłoni Merlina. Ostrze płonęło niczym pochodnia, gdy Artur wydał radosny okrzyk i uniósł miecz nad głową. Merlin nie podnosił głosu, a jego słowa docierały do wszystkich, jakby krzyczał pełną pierśią: - Niech żyje Artur Pendragon, Wielki Król Brytanii, ten który był, jest i będzie! Zebranych onieśmieliła wielkość

tej chwili. Nawet Lot wyciągnął miecz i oddał salut wojskowy wodzowi. Merlin poczuł, że opuszcza go napięcie.

Wtedy przypadkiem jego wzrok padł na zgromadzone w pobliżu kobiety. Stały tam królowe i damy, obserwując swoich mężczyzn, każda zapewne z nadzieją w sercu, że szczęście uśmiechnie się do jej męża i ona będzie rządzić wraz z nim. Pośród nich...

Dłonie Merlina, luźno zwisające na wysokości ud, zacisnęły się w pięści. Mógł się domyślić, że ona tu będzie! Tym razem ubrana w jakieś szaty paradne, a nie prostą zieloną tunikę. Była wysoka jak na kobietę i tak zgrabna oraz pełna wdzięku, że większość otaczających ją niewiast wyglądała przy niej jak służki pracujące w polu. Jej suknia była co prawda zielona, lecz bogato zdobiona srebrną nicią w fantastyczne wzory. Na jej ciemnych włosach spoczywał srebrny diadem, z którego na środek czoła opadał zielony wisior.

Ich spojrzenia spotkały się i na jej ustach pojawił się dyskretny,

ledwie dostrzegalny uśmieszek. Cała radość i satysfakcja z tego, czego dokonał, natychmiast go opuściły. Gdyby choć wiedział, jaka jest jej moc! Zwierciadło powiedziało, że na uwięzienie go w jaskini Nimue niemal wyczerpała całą swoją siłę. Jednak, tak jak owo pole siłowe stawało się coraz słabsze, tak chyba i ona mogła odzyskać przynajmniej częściową władzę nad tym, co utraciła. Zebrani panowie podchodzili do Artura, by złożyć mu przysięgę wierności. Merlin dojrzał Ektora, który jak zwykle trzymał się na uboczu. Dwa kroki zmniejszyły odległość między nimi.

- Ektorze - rzekł Merlin, a jego głos zagłuszały okrzyki na cześć Artura. - Kim jest ta kobieta, ta, która właśnie się odwraca?

Merlin czuł, że musi się dowiedzieć, jaką pozycję zajmuje Nimue na dworze, jak dużą opozycję jest w stanie zebrać, czy to otwarcie, czy też w bardziej perfidny sposób.

- Zwą ją Panią Jeziora, bo ma swoją posiadłość, która, jak

powiadają, była niegdyś świątynią jakiejś obcej bogini źródeł i rzek. Posiada dużą moc uzdrawiania. Ostatnio często bywała na dworze i opiekowała się Uterem aż do jego śmierci. To ona zabrała Morganę i może trzyma ją w tej swojej wieży. Ludzie przypisują jej dawną wiedzę. Ale jeśli nawet jest tej rasy, nigdy tego nie potwierdziła.

- Nie! - wybuchnął Merlin. - Ona jest jedną z Nieprzyjaciół, Ektorze, a jej prawdziwe imię brzmi Nimue! To z jej woli byłem więziony. Musimy ją śledzić, bo ona nie życzy dobrze Arturowi, głównie dlatego, że jest on tym, kim jest.

Spóźnili się jednak, bo kiedy Ektor wezwał dwóch zaufanych mężczyzn, jej już nie było i nikt nie potrafił powiedzieć, dokąd poszła. A Merlin pozostał z widmem strachu przed tym, co jeszcze może urozmaicić mu dni i zakłócić spokój nocy.

Merlin znowu stał w Miejscu Słońca. Chata Lugaida rozsypała się w ruinę i zupełnie nie nadawała się do zamieszkania. Czarnoksiężnik zastanawiał się, nie po raz pierwszy, dokąd odszedł Druid. A jeżeli zmarł? Na tę myśl Merlin zadrżał. Czuł się, jakby ktoś podeptał jego własny grób. Poczuł, jak przytłacza go samotność, gotowa do ataku niczym drapieżne zwierzę. Ektor... Ektor poległ od ciosu saskiego topora dwie czy trzy bitwy temu. Czas mierzy się teraz nie porami roku, ale raczej liczbą bitew. Artur jest takim wodzem, jakiego długo szukano. Mimo młodego wieku posiada więcej zdolności do wypierania najeźdźców z Brytanii, niż kiedykolwiek wykazał Uter. Potrafi też panować sprawniej nad zazdrosnymi i porywczymi mieszkańcami tych ziem, niż radził sobie z nimi, korzystający z rzymskich wzorców, Ambrosius. Odpowiedzią Artura na ciągłe najazdy Skrzydlatych Hełmów było utworzenie na terenach przygranicznych oddziałów Czarnych

Jeźdźców. Rodzime kuce zostały wyparte z tych ziem już prawie pokolenie temu, gdy obrońcy opuścili mur. Zastąpiły je konie krwi fryzyjskiej, które skrzyżowano z równie ciemnej maści końmi rasy górskiej. Dało to umięśnioną i silną odmianę zdolną unieść wojownika w pełnej zbroi. Również konie nosiły osłony z twardej skóry nabijanej metalowymi ogniwami.

Sasi, pomimo uwielbienia okazywanego białym koniom, które poświęcają Wotanowi przy stosownych okazjach, nie znają się tak na tych zwierzętach jak większość członków plemion. Szybka szarża jazdy, wdzierającej się klinem pomiędzy oddziały piechoty, stała się podstawową taktyką Artura. Ambrosius wprowadził wiele dokonał w swoim czasie, gdy wyparł najeźdźców i skierował tych, których sprowadził Vortigen, przeciwko Szkotom i Piktom. Uter zaś z trudem utrzymywał zdobycze swego brata. Artur natomiast stale naciera na Sasów, zmuszając ich do opuszczania tego kraju.

Coraz więcej Sasów wsiada ze swoimi kobietami i dziećmi do łodzi w kształcie smoków. Kierują się za morze, byle dalej od Brytanii, bo tutaj nieustanne ataki wojowników Artura zakłócają ich sen. Kazań żyć z włócznią i toporem pod ręką, bez pewności jutra.

Tyle udało się Arturowi dokonać. Merlin zsiadł z konia przy Królewskim Kamieniu. Ramiona pod białą szatą lekko się ugięły. Oparł obie dłonie o głaz. Jakiż był młody, jak pełen entuzjazmu i poczucia triumfu tego dnia, gdy ustawił go tutaj. Tak łatwo udało mu się dokonać tego, czemu gotów był poświęcić życie. Kamień przepłynął morze i został złożony w brytyjskiej ziemi. Jednak zbyt drobny to czyn, by uważać go za zwycięstwo.

Westchnął ciężko. Tak, uczynił Artura królem. Lecz ten Artur, który zasiada na tronie, nie jest tym wymarzonym królem, na którego nadejście Merlin czekał. Artur słucha go przez grzeczność. Czasami, tylko czasami, zgadza się

z Merlinem. Kapłani chrześcijańscy też są stale w pobliżu. Kiedy tylko mogą, występują przeciwko Merlinowi z zarzutem czarnoksięskich praktyk. Po raz kolejny przytaczając starą śpiewkę, że jest on synem demona. Zdało mu się teraz, że zawsze widniała drobna rysa we wszystkim, co zaplanował. Tylko trzy rzeczy wykonał bezbłędnie. Przywrócił ten głaz na swoje miejsce, w którym może służyć jako część przyszłego nadajnika. Zdobył kosmiczny miecz i włożył go w dłoń Artura. Wreszcie, osadził Artura na tronie.

Jednak Artur nie posiada tej wiedzy, od której zależy przyszłość Ludzi Przesławczy. Ktoś inny formował jego charakter. Merlin już dawno się przekonał, że Nimue ma swoje sposoby, by przeciwdziałać wszystkiemu, czego on dokona.

Jest jeszcze królowa. Usta Merlina wygięły się w grymasie, jakby wraz z tą myślą przeszył go śmiertelny ból. Królewska córka takiej urody, że mężczyznom zapiera dech na jej

widok. Zewnętrznie niewątpliwie godna partnerka dla Artura. Wewnętrznie - zabawka. Lalka z taką obsesją swojej płci, potęgi ciała, że w towarzystwie jej oczy przeskakują tu i tam, sprawdzając, który mężczyzna ulega wdziękom jej lica i kształtów. Taka jest Ginewra.

Merlin wyczuwał wokół niej jakiś ślad Nimue, choć nie widział już Pani Jeziora od chwili zwycięstwa Artura nad mieczem i kamieniem. To było tak dawno...

Potarł dłonią czoło. Czuł wielkie zmęczenie ducha oraz niezrozumiałą niepokój. Dwa razy odbył pielgrzymkę do jaskini, lecz zwierciadło milczało. Nie próbował przełamać tego milczenia, miast tego wykorzystywał zasoby energii do dalszego funkcjonowania.

Czasami śnił jak dawniej i te sny pobudzały jego wolę. Widział miasta sięgające nieba. Ludzi, którzy opanowali umiejętność latania, ukształtowali świat według własnej woli tak, jak garncarz dopasowuje glinę do swojej formy. Widział, co potrafi

stworzyć człowieka, po czym budził się, by oglądać nędzę, nicość i upadek ludzkości w jego czasach. Posiada wprawdzie wiedzę do zaoferowania, lecz kto przyjmie jego rady? Artur? Owszem, jeżeli będą zgodne z jego planami. Któż jeszcze? Ta garstka, która przychodzi prosić o leczenie. Większość jednak słucha kapłanów zza morza i spogląda na wszystko, czego oni nie pochwalają, jak na dzieło szatana. Dlaczego znalazł się w tym martwym punkcie? Stoi teraz z boku wydarzeń, jakby zamrożony w bryle lodu. Nieobce mu są litość i współczucie, lecz bliższy jest stworzeniom pól i lasów niż ludziom. I zawsze gryzie go samotność. Już sam wygląd odsuwa go od innych, bo bardzo powoli się starzeje. Wykorzystuje swoją znajomość ziół do zmiany wyglądu twarzy i włosów, by wywołać wrażenie zaawansowanego wieku. W przeciwnym wypadku jego wieczna młodość mogłaby budzić wrogość ludzi, gdyż najbardziej ze wszystkiego obawiają się oni

utrąty sił, podeszłego wieku,
który oznacza nieuchronną śmierć.
Zimno i ciemno.

Nagle Merlin potrząsnął głową i
wyprostował się. Czemu ulega swoim
obawom? Artur siedzi pewnie na
tronie Brytanii. Ten król
doprowadził do pokoju przy pomocy
miecza, który Merlin włożył mu w
dłonie. Żaden człowiek nie może
odnieść zwycięstwa, jeśli nie
posmakuje porażki. Oto nareszcie
nadeszła godzina, której
poświęcone było całe życie
Merlina.

Rozejrzał się z nowym zapalem,
jakby się budził z ponurego snu.
Głazy onieśmielały go wysokością i
siłą, choć ustawiono je tutaj tak
dawno. To, co przekazało mu
zwierciadło, to Moc, która była,
jest i będzie. A "będzie" wciąż
oznacza przyszłość. Powinien
przyprowadzić tutaj Artura, nie
zważając na wszystkich kapłanów
zza morza. Musi pokazać mu także
zwierciadło. Jak mógł pozwolić
cieniom zakraść się do swego
umysłu i jak mógł słuchać ich
zniechęcających podszeptów?

Przecież jest Merlinem ze
Zwierciadła, może ostatnim
człowiekiem na tym świecie, który
posiada tak bogatą dawną wiedzę!
Stracił zbyt wiele czasu. Teraz,
gdy Artur nie musi już wyganiać z
kraju najeźdźców, powinien
wypełnić swoje powołanie.
Gdy Merlin odrzucił już od siebie
słabość, zdało mu się, że głązy
zaśśniły w słońcu magicznym
blaskiem pochodni. Na swój sposób
zastępowały one pochodnie, były
przecież znakami zapomnianego
światła w ciemności świata. Merlin
uniósł głowę, wyprostował się.
Jak się to stało, że dopuścił do
siebie wątpliwości, te wszystkie
myśli o porażce? Jakby w ludzkim
gadaniu o magii naprawdę tkwiła
prawda, a on był zamknięty w
jakimś zaklętym kręgu. Podobnie
jak poprzednio, przy pomocy
zwierciadła, został usunięty ze
świata, by zachować życie. Teraz
czuł ogarniającą go Moc niemal tak
potężną, jak owego dnia, gdy
poruszył Królewski Kamień na
Zachodniej Wyspie.
Zupełnie nie miał ochoty opuszczać

tego miejsca i wracać do pałacu-
fortecy Wielkiego Króla. Czuł
bliższą więź duchową z tymi
głazami niż z kimkolwiek z
żyjących. Pomyślał z głębokim
żalem o tym, jak czekał na
narodziny Artura, jak miał
nadzieję, że będzie miał z kim
dzielić swoją samotność,
szczególnie mocno odczuwaną w
tłumie.

Zagwizdał i koń, który się nieco
oddalił, skubiąc trawę wokół
głazów, podszedł do niego. Zwierzę
uderzało łbem o pierś Merlina, a
on głaskał je po uszach i grzywie.
Był to jeden ze słynnych czarnych
wierzchowców, większych i
silniejszych niż hodowane w górach
kuce wcześniej znane Merlinowi. Te
konie były bardziej posłuszne, bez
tych nagłych porywów wolności,
którym czasami ulegały kuce.
Gdy już siedział w siodle, Merlin
jeszcze raz spojrział tęsknie na
kamienie. Dojrzał grób wzniesiony
na cześć Ambrosiusa, tego
ciemnowłosego, silnego mężczyzny,
który tak bardzo pragnął
przywrócić przeszłość, bo tylko w

niej dostrzegał bezpieczeństwo. Uter nie spoczywa tutaj. Zamorscy kapłani złożyli jego ciało pod jednym ze swoich kościołów o surowych ścianach, który wzniesiono na miejscu rzymskiej świątyni. W ten sposób kamienie dawnej świątyni służą teraz nowemu bogu.

Merlin spojrział też na grób, z którego wraz z Lugaidem wydobyli miecz. Kto tam spoczywa? Jeden z prawdziwych Ludzi Przestworzy, któremu przyszło umrzeć tak daleko od domu? Czy może ktoś podobny do niego, z mieszanego związku?

Pewnie nigdy się tego nie dowie. Jego ręka bezwiednie uniosła się w geście wojskowego salutu, złożonego nie tylko temu, którego zwano Ostatnim Rzymianinem, lecz również nieznanemu przodkowi z zamierzchłych czasów.

Gdy opuszczał Miejsce Słońca, powziął postanowienie. Przekona Artura, zaprowadzi go do lustra. Artur nie jest głupi, potrafi odróżnić dawną wiedzę od tego, co ciemni ludzie tej epoki nazywają magią.

Nadszedł też czas, z pewnością najwyższy czas, by wykorzystać Królewski Kamień do celu, jakiemu powinien służyć. Jest pewien obiekt w jaskini, jedna rzecz. Trzeba ją tutaj przynieść, umieścić pod kamieniem, który od początku miał być jego strażnikiem, a potem... Potem w kosmos pobiegnie wezwanie. Statki z gwiazd, statki dużo starsze niż człowiek mógłby przypuszczać, przybędą na to wezwanie. Jeszcze raz człowiek podniesie się, by podbić niebo, ląd i morza. Wielkość tej wizji porwała go, przyniosła ciepło, które szybko stopiło lód mrozący jego nadzieje. Ludzkość wykona pierwszy krok ku nowej erze. Takie to myśli towarzyszyły Merlinowi w długiej drodze powrotnej do Kamelotu. Jego nocne sny należały wówczas do najpiękniejszych, jakie miewał kiedykolwiek. Artur i zwierciadło, nadajnik i kamień...

Po wielu dniach podróży Merlin wjechał wreszcie na wzgórze z otoczoną wałami i fosą fortecą, z

której Artur uczynił najwspanialszą posiadłość Brytanii. Strażnicy znali Merlina na tyle, że bez problemów przedostał się przez wewnętrzne bramy. Zatrzymał się tylko po to, by zmienić poplamioną w podróży sukmanę na przyodziewek bardziej odpowiedni. Następnie odszukał króla.

Artur był tego dnia w pogodnym nastroju.

- Witaj, Merlinie! - Skinął głową poprzez blat, który był jednym z pomysłów Merlina. Był to okrągły stół, przy którym żaden porywczy wódz, czy pomniejszy król, nie mógł twierdzić, że jego miejsce jest mniej godne niż miejsce sąsiada.

- Witaj, Jaśnie Panie. - Merlin natychmiast zauważył nową twarz pośród już mu znanych. Kej nie siedział po prawej stronie Artura, choć mimo swych zmiennych nastrojów był on od początku towarzyszem króla. Teraz miejsce u boku władcy zajmował jakiś młodzieniec, jeszcze prawie chłopiec.

Spojrząwszy na smagłą twarz obcego, Merlin doznał wstrząsu. O ile wygląd Artura zupełnie nie wskazywał na domieszkę krwi Dawnych, to rysy tego młodzieńca były tak charakterystyczne dla tej rasy, że Merlinowi nie zdarzyło się takich widzieć u nikogo, z wyjątkiem własnego odbicia.

Jego wygląd był mu bliski, a równocześnie bardzo obcy. Oczy pod opadającymi powiekami patrzyły tak twardo, że nie dało się z nich nic odczytać. Te ponure i bystre oczy były zbyt stare, jak na tak młody wiek. Widać w nich było jakąś mściwość...

Merlin opanował swoją wyobraźnię. Powinien się cieszyć ze spotkania z kimś z rasy Dawnych. Jednak w tym młodzieńcu nie było żadnego ciepła.

- Przybyłeś w samą porę. - Artur skinął ręką i jego podczaszy pośpiesznie przyniósł srebrny kielich i napełnił go zamorskim winem, a następnie z szacunkiem wręczył Merlinowi. - Przybyłeś w samą porę, bardziej, by wypić za zdrowie jednego z potomków

Pendragona, który właśnie zaczyna służbę dla nas. - Wskazał młodzieńca. - Oto Modred, syn Pani Morgany, a więc mój siostrzeniec. Palce Merlina zacisnęły się wokół pucharu. Nawet bez tego podstępного spojrzenia młodych oczu, które przewiercały jego postać, mógł domyślić się prawdy. Siostrzeniec Artura? Nie, jego syn, zrodzony z tej, którą ukryła Nimue. Wystarczyło spojrzeć na Modreda, by zauważyć, że chłopak zna prawdę, lub jej część, która może zaszkodzić Arturowi. O tym, że jest synem króla i kobiety uważanej za jego przyrodną siostrę.

Merlin uniósł puchar. Czuł, że jego duże doświadczenie w ukrywaniu uczuć jest mu teraz bardziej potrzebne niż kiedykolwiek.

- Panie Modredzie - zwrócił się do chłopca. - Na cześć rodu Pendragonów!

- Tak - uśmiechnął się Artur. - Zjawił się w odpowiedniej chwili, by zbroczyć miecz krwią i pokazać swoją odwagę. Od jakiegoś czasu

bowiem dobiegają nas niespokojne wieści z saskiego wybrzeża. Te wojenne psy ciągle tu wężą. Musimy znów wyruszyć na polowanie! Twarz króla lekko się zarumieniła, oczy płonęły. Patrząc na niego, Merlin zdał sobie sprawę, że teraz nic go nie powstrzyma. Trzeba odłożyć na później plan pokazania królowi zwierciadła i uświadomienia go o jego pochodzeniu oraz przeznaczeniu. A Modred... Modred, syn króla, wychowywany był przez Nimue. To również Merlin instynktownie wyczuwał. Nimue miała dużo czasu, by przygotować swoją strzałę. Teraz ją wystrzeliła. Jeśli do złości tego, który czuje się pozbawiony należnego mu miejsca, dodać żelazną wolę Nimue... Tak, ma ona w tym młodzieńcu wspaniałą broń.

W Merlinie odezwała się nie tylko czujność. Zaczął też dojrzewać w nim gniew. Zawsze ta Nimue! Od początku każdy jej triumf dotkliwie dawał mu się we znaki. Teraz ją odszuka. Najlepiej ją odnaleźć właśnie przez tego

Modreda, który jest jej dziełem. Merlin słuchał ożywionej rozmowy o nowej wyprawie przeciwko Sasom. Gdy tak siedział na swoim miejscu przy okrągłym blacie, podniósł wzrok na galerię wielkiej sali biesiadnej. Przebiegał oczami po twarzach tam zebranych. Królowa szczyliła się tym, że skupiła wokół siebie najpiękniejsze kobiety Brytanii i nie czuła się w żaden sposób zazdrosna ani zagrożona ich urodą.

Odnalazł wzrokiem Ginewrę. Jej bogato zdobiona suknia była barwy intensywnej żółci, jak dojrzałe zboże. Wąska korona z czerwonego złota spoczywała na włosach o tak podobnym do sukni kolorze, że zlewała się ze strojem. Z kolei strój zdawał się być częścią włosów. Jej szyję otaczał ciężki naszyjnik z bursztynu, a kolczyki z tego samego mistycznego kamienia obijały się o policzki, gdy pochyliła się w przód ze wzrokiem wbitym w... No właśnie, w kogo? Merlin śledził jej wzrok. Patrzyła na Modreda, a wokół jej ust czaił się cień leniwego uśmiechu. Przez

dłuższą chwilę Merlin intensywnie się jej przyglądał. Wiedział, że coś się kryje za tym spojrzeniem, którego nie potrafi odczytać. Niemożność zrozumienia jej uśmiechu wprawiła go w rozdrażnienie. To, że kobiety z plemion są dla niego zagadką, jest może pewnego rodzaju kalectwem. Już sama myśl o tym jest przerażająca, lecz w tym momencie nie ma czasu się nad tym zastanawiać. Uważał Ginewrę za lalkę, zabawkę, bez żadnych uczuć, które mogłyby służyć jego celom. Czyżby była jednak czymś więcej? Zaczął rozglądać się za inną twarzą. Odwrócił się więc od jaskrawego słonecznego blasku królowej do bardziej stonowanej tęczy jej dam dworu. Znał imiona niektórych, inne były tylko anonimowymi twarzami, którym nigdy dotąd nie przyglądał się z taką uwagą. Tej, której szukał, nie było. Nie było ciemnowłosej damy tak pięknej jak królowa, a może nawet piękniejszej od niej. Jeśli to Nimue wprowadziła Modreda na królewski dwór, to sama się tu nie

pojawiła albo postanowiła nie brać udziału w tej uroczystości.

Merlin szukał jej powoli przy użyciu tego dodatkowego zmysłu, którego bardzo rzadko używał w tak dużym towarzystwie. Głównie dlatego że mógł on zostać przytłumiony i zgubić się pośród tak wielu umysłów i osobowości emitujących własne energie. Nie, gotów był przysiąc, że jego wroga tutaj nie ma.

Znajduje się tu jednak jej wola w osobie królewskiego "siostrzeńca".

Merlin zaczął na nowo układać plany. Nie mógł uwierzyć, by te nagłe wieści o Sasach u wybrzeży oznaczały prawdziwy problem.

Wygląda na to, że sam Artur widzi w tej wyprawie rozrywkę, szansę pokazania swemu odnalezionemu siostrzeńcowi sprawności i waleczności Jeźdźców na Czarnych Koniach.

Merlin wiedział o tym. Był pewien, bo czuł gdzieś wewnątrz tętniące, rozpierające go uczucie wymazujące wszystkie ziemskie wątpliwości.

Nastał czas, by wypełnić to, co do niego należy. Musi wezwać

nareszcie statki z przestworzy. Za zgodą czy też bez zgody Artura. Pograżył się w swoich rozmyślaniach, choć otaczali go zebrani goście. Nagle zdał sobie sprawę, że wszyscy wokół niego wstają, przyzywają swych giermków i zbierają się do drogi. Pełni byli entuzjazmu, tej żądzy walki, która zawsze cechowała tutejsze plemiona. Czuł, jak i jemu udziela się ich zapał. Szybko zaczął więc kontrolować swoje emocje tą częścią siebie, która nie pochodzi z tego świata, lecz od Panów Przestworzy. Ta jego nieziemską część myśli planuje i do realizacji swych celów używa niewidzialnych mocy.

Zamyślony Merlin nie zauważył, że ktoś stoi przed nim i patrzy mu w oczy. Podniósł wzrok i ujrzał przed sobą Modreda.

- Nazywają cię bardem - odezwał się Modred cicho by nie zwracać na siebie uwagi pośród ogólnego zamieszania. - Mówią też, żeś jest czarownikiem i "bez ojca urodzonym". - W jego głosie brzmiała zuchwałość, która

mężczyźnie z każdego plemienia
kazałaby zerwać się z wyciągniętym
mieczem, gotowym do przyjęcia
wyzwania.

- Istotnie tak powiadają. - Merlin
był trochę zaskoczony tym
bezpośrednim kontaktem, choć od
początku przeczuwał, że człowiek
Nimue w jakiś sposób zdradzi się
ze swoimi uczuciami.

- A ile w tym prawdy? - Wyzwanie w
jego głosie stało się jeszcze
bardziej zauważalne.

Merlin uśmiechnął się.

- A ile prawdy zna każdy z nas o
sobie samym? I czy możemy
przekazać choćby jej część innym?
Wszyscy po siadamy własną moc i
siłę, dużą lub małą. Liczy się to,
jak wykorzystujemy dane nam
talenty i wiedzę.

- Wiedza pochodzi z ciemności lub
ze światłości! - odpowiedział mu
ostro rozmówca. - Wielki Król
słucha kapłanów światła, bardziej.
Dawne czasy odeszły...

W tym momencie Merlin się
roześmiał. Ta sama gorączka walki,
która ogarnęła wszystkich wokół na
wieść o atakach Sasów, udzieliła

się także jemu, lecz ze zgoła innej przyczyny. Oto za pośrednictwem tego młodzika rzuca mu wyzwanie Nimue. A jeśli już wypowiedziana została mu wojna, to opuściły go wszelkie wątpliwości. Mógłby zebrać moce, których użył tego dnia, gdy na jego rozkaz poruszył się kamień. Co też ostatnio zżera go tu, na królewskim dworze? Nie jest przecież bezużytecznym narzędziem. Włada takimi mocami, o jakich nikt w tej sali nawet nie ma pojęcia. Jego umysł szybko przebiegał w pamięci te talenty, a powierzchowne myśli zajmowały się nadal rozmową z Modredem.

- Czyżbyś nigdy nie słyszał, Panie Modredzie? - zapytał. Nadał głosowi ton lekkiej drwiny, którą Modred zrozumiał i na jego twarzy natychmiast pojawił się rumieniec. - Istnieje przecież to, co było, jest i będzie? Myślę, że ta, która cię kształciła, dobrze zna tę przepowiednię.

Merlin na w pół już odwrócił się, gdy Modred chwycił go za rękaw.

- Jesteś zuchwały, bardziej! I jak

mam rozumieć owo "ta"?

Merlin znów się roześmiał. A więc Nimue nie potrafi całkowicie zapanować nad swoim wychowankiem. Może i wygląda on jak rasa Dawnych, lecz posiada cechy tutejszych plemion, jak chociażby owa iskra zapalczywości przy pierwszym skrzyżowaniu intelektualnych mieczy.

- Chłopcze. - Nie nazwał go tym razem panem. - Nie opanowałeś manier, niezależnie od tego, czego cię jeszcze uczono. - Merlin wyplątał swój rękaw z uścisku palców Modreda. - Przede wszystkim powinieneś poznać pochodzenie rozmówcy nim się odezwiesz.

Może te słowa powiedziały Modredowi zbyt wiele, lecz Merlin również był królewskiej krwi swego plemienia. Pomyślał przy tym, że Nimue widocznie nie najlepiej wybrała narzędzie do swoich intryg. Nie jest to kolejny Ektor, czy nawet Kej, Modred jest w pewnym sensie głupcem.

Merlin przecisnął się przez tłum podnieconych mężczyzn. Ma już swoją misję do wypełnienia.

Wreszcie podjął decyzję. Przy drzwiach zatrzymał się, by jeszcze raz się rozejrzeć. Modred wciąż go obserwował, lecz jego dłoń spoczywała już na innym ramieniu, ramieniu jednego z kapłanów zza morza. Ogolona twarz księdza wyrażała zainteresowanie, a usta Modreda poruszały się szybko. Merlin nie miał wątpliwości, że chłopak coś knuje. Ale co?...

Merlin wzruszył ramionami. Odszedł szybko do swojej komnaty i zdjął strój barda. Te białe, długie szaty zbyt go wyróżniały. Założył prostą tunikę, spodnie oraz pelerynę z kapturem. Tak odziany wziął świeżego konia, wypełnił juki chlebem i serem w kuchni gdzie słudzy robili to samo z sakwami wezwanych przez króla wojowników. Merlin opuścił zamek przed nimi i udał się w stronę gór.

Minęło już dobrych parę lat, odkąd ostatni raz jechał tą trasą. Bardzo dokładnie pamiętał jednak każdy zakręt i kamień na drodze. Nigdy też nie zapomniał czasu spędzonego samotnie na łonie tej

dzikiej przyrody. Nocami rozbijał niewielki obóz bez ognia. Potrafił się dobrze ukrywać, stałe się to już niemal jego drugą naturą. Ruiny fortecy Nyrena były już tylko powalonym murem porośniętym jeżynami i innymi krzakami. Nic go już z tym miejscem nie wiązało. Merlin jednak zatrzymał się na chwili i próbował przypomnieć sobie dzieciństwo pewnego Myrddina.

Dalej droga pięła się w górę. Tam rozkulbaczył konia przywiązał go i pozwolił mu skubać trawę. Sam odsunął kamienie i wszedł do grotty ze zwierciadłem. Wewnątrz było bardzo ciemno. Żadna z brył nie jarzyła się światłem. Merlin nie podszedł do zwierciadła. Tym razem nie musiał o nic pytać. Dobrze wiedział, co ma zrobić.

Wzdłuż ściany doszedł do cylindra wysokiego niczym przedramię i o takiej średnicy, jaką posiada okrąg utworzony z obu dłoni, gdy połączyć ze sobą kciuki i małe palce. Merlin schylił się i podniósł cylinder. Dawno temu głos zwierciadła opowiadał mu o nim. O

tym, do czego i w jaki sposób mi być wykorzystany. Merlin pamiętał instrukcje tak dokładnie jakby otrzymał je przed godziną. Oto cel jego życia. Nie może już dopuścić do siebie żadnych wątpliwości, żadnych prób działania z pomocą ludzi, bo ich natura wciąż odbiega od woli Ludzi Przestworzy. Nadajnik był lżejszy, niż można się było spodziewać. Merlin wyniósł go na zewnątrz. Położył go obok siebie i zasłonił wejście kamieniami. To jeszcze nie koniec. Artur przybędzie tu wcześniej czy później, tak jak to zostało zaplanowane. Przyjdzie na to czas. Merlin nie miał pojęcia, jak długo może potrwać, nim jego wiadomość dotrze do Ludzi Przestworzy. Miesiące, lata... Do niego należy czuwać nad utrzymaniem Artura na tronie aż do chwili, gdy statki przybędą. Trzymając cylinder blisko ciała, tak jak obejmuje się drogocenny skarb, Merlin ruszył w dół zbocza.

Tym razem w Miejscu Słońca nie było światła. Zbliżał się koniec roku i zniwa już były w pełni. Chłód ostro dawał się we znaki podczas mroźnych ranków i długich ciemnych nocy. Oczy wydawały się ponure i obce, jak gdyby już zrezygnowały z wszelkich form kontaktu z mieszkańcami tej ziemi. Gdyby miał przy sobie połyskujący miecz, wykonanie zadania byłoby stosunkowo proste. Teraz jednak ostrze należy do Artura. Merlin musi sobie poradzić tylko przy pomocy wiedzy. Gdy przechadzał się między kręgami, drżał nie tylko z zimna. Poczucie więzi rodzinnych, które zawsze go tu witało, gdzieś zniknęło, odeszło. Czuł się, jakby zatrzęsnęły się przed nim niewidzialne drzwi, pozostawiając go w ciemnościach nocy. Merlin nawet nie podniósł ręki, by pogłodzić któryś z kamieni, jak to zawsze czynił podczas wizyt w tym miejscu. Czuł silną potrzebę wykonania zadania. Zbliżył się zatem do Królewskiego Kamienia. Ostrożnie kładąc na ziemi to, co przyniósł tutaj z górskiej groty,

Merlin przyglądał się gładzi.
To oczywiste, że nie może tak po prostu umieścić tego przedmiotu na kamieniu, jak kiedyś naiwnie planował. Mimo że miejsce to jest raczej omijane, ktoś mógłby tędy przechodzić i z pewnością zainteresowałby się nadajnikiem. Nie, trzeba go należycie ukryć, a dzięki swemu wykształceniu Merlin dobrze wiedział gdzie: pod masywnym cielskiem samego gładzi. Już raz poruszył ten kamień, by udowodnić swą siłę, może więc ruszyć go ponownie. Teraz jednak nie posiada miecza, więc zadanie jest dużo trudniejsze. Ma przy sobie tylko krótki nóż przy pasie. W dodatku nie jest on z tego cudownego metalu. Tak czy inaczej, musi z niego skorzystać.

Zmierzchało się już, gdy Merlin dotarł do kamieni. Ich cienie padały daleko, było w nich coś niepokojącego. Raz na jakiś czas Merlin odwracał głowę i wpatrywał się z uwagą w ten czy inny z cieni. Chociaż wiedział, że Nimue używa tylko takich iluzji, jakie on sam potrafi przywoływać, to

wciąż wyczuwał ślady czegoś
niezwykłego i tajemniczego, co nie
powinno być tu obecne.

Przypomniały mu się słowa Lugaida,
że świątynia, w której przez długi
czas czczono jakieś siły,
pochłania moc wiary owych
wyznawców. Ta moc może zostać
przywołana przez tych, którzy
wiedzą, jak ją obudzić.

Tak, tylko że to nie jest to
miejsce do działania nocą. Do
wydobycia z niego pełnej mocy
potrzebny jest świt lub mocne
światło słoneczne, które od dawien
dawna czczono tutaj jako źródło
życia. Trzeba więc przeczekać
nocne godziny. Merlin postanowił
spożytkować ten czas na
przygotowani[^] się do tego
największego ze swoich wyczynów.
Większego nawet od pokazu iluzji,
które umożliwiły poczęcie Artura.
Podniósłszy nadajnik, skierował
się ku rozwalonej chacie, w której
kiedyś mieszkał Lugaid. Tam
urządził swój obóz. Napił się wody
z małego źródła, już prawie
zamulonego, odkąd Druid przestał
wybierać zeń wodę, i zjadł resztki

żywności przyniesionej z Kamelotu. Merlin usiadł i oparł się plecami o na wprost przewrócony mur z surowych kamieni. Spoglądał na Miejsce Słońca. Światło stawało się coraz słabsze, zerwał się wiatr. Gdy jego podmuchy owiewały głazy, powstawał dziwny, jękliwy dźwięk. Można się było w nim dosłuchać lamentu mężczyzn i kobiet, którzy dawno już odeszli, ale wciąż jednak w jakiś sposób żyli i pragnęli bezpiecznego powrotu.

Po raz kolejny Merlin pomyślał o Panach Przeszłości. Czego tutaj szukają, dlaczego tak bardzo chcą tu powrócić? Jeśli są na tyle potężni, by móc podróżować z jednej gwiazdy na drugą - może na tę, która właśnie lśni nad jego głową - to dlaczego nie potrafią znaleźć sobie innego świata, który by ich przyjął?

Czyżby istniało coś szczególnego, coś obecnego tylko tutaj, czego potrzebują, by przetrwać jako rasa? Może potrzebują ludzi? Za każdym razem, gdy Merlin próbował poruszać ten temat, lustro

udzielało wymijających odpowiedzi. Merlin często czuł się przytłoczony informacjami, których nie potrafił zrozumieć, bo jego świat nie miał określeń na dziwne wyroby i skomplikowane urządzenia, których tamci z łatwością używali. Z kolei na niektóre z jego najprostszych pytań głos nie udzielał odpowiedzi, jakby zwierciadło było zaskoczone jego dociekliwością.

Choć teraz nie zamknął oczu, lecz obserwował Miejsce Słońca w objęciach nocy, to wewnątrz Merlin pracował. Wyławiał potrzebne skrawki swojej wiedzy i gromadził energię. To nie będzie stworzenie iluzji, to będzie prawdziwa czynność.

Był teraz mocarzem równie potężnym jak Artur, lecz jego oddziały nie składały się z ludzi. Coraz głębiej zanurzał się w odmęty swojej pamięci i ducha. Nagle rozpoznał pewien obraz. Oto widzi Nimue w tym miejscu: białe ciało, targane wiatrem włosy. Słyszy słodczy jej głosu, może dotknąć dłoni, którą ku niemu wyciąga.

Nie!

Zwalczył to wspomnienie, tak bardzo niebezpieczne. Był lekko zaniepokojony... Czyżby naprawdę mógł dotknąć Nimue, wywołując zbyt wyraźne jej wspomnienie? Wyrzucić to z pamięci! Musi pozbyć się tego obrazu!

Zwierciadło. Musi skoncentrować się na zwierciadle, jakby było tutaj, na wprost niego. Uspokoił się, jego obawy zniknęły, gdy wyobraził sobie lustro. Słyszał znany mu głos tak wyraźnie, że potrafił wyróżnić każde słowo, każdą frazę i połączyć je w ciąg umacniający wiedzę o tym, co trzeba tu zrobić o wschodzie. Nie czuł już zmęczenia. Stopniowo rosła w nim moc, wypełniając ducha i ciało. Musi tę moc utrzymać aż do chwili, gdy ją uwolni, by spełniła jego wolę. Czas na ciemność... Czas na światło... Nie było mu już zimno. Moc dała jego ciału ciepło, odrzucił więc pelerynę z kapturem, nie zważając na mroźny wiatr. Przypadkowo jego wzrok padł na dłonie spoczywające na kolanach.

Wcale się nie zdziwił, widząc, że jego ciało wydziela dziwny blask. Czemuż by nie? Płonie w nim moc, którą Merlin musi utrzymać aż do nadejścia odpowiedniej chwili. Jego wargi poruszały się, lecz nie wydostał się spomiędzy nich nawet szept. Tylko w myślach padały stare słowa, łączące się w odpowiedni wzór.

Kiedy niebo poszarzało, Merlin wstał. Choć całą noc spędził w pozycji siedzącej, nie czuł sztywności kończyn. Czuł się natomiast jak biegacz przed startem, który chciałby już być w drodze. Lewe ramię obejmowało nadajnik. W prawej ręce trzymał gotowy do użycia nóż.

Długimi krokami zbliżył się do Królewskiego Kamienia i ustawił się za nim, gotów ujrzeć przed sobą wschodzące słońce. Położył nadajnik na ziemi między swoimi stopami. Wyciągnął rękę, oparł ostrze noża o kamień. Zaczął wymawiać wszystkie te słowa, które wydobył z pamięci i ułożył w odpowiedni wzór, gdy oczekiwał na ten wielki moment swego życia.

Stuk-stuk. Coraz szybciej i szybciej. Na niebie pojawiły się zwiastuny wschodzącego słońca. Głos Merlina śpiewał inwokację, prawdopodobnie starszą nawet od tych gładów. Stuk-śpiew-stuk... Gład... gład ożywał. Niechętnie, jeszcze ciężko i z oporem, ale kamień zaczął się poruszać. Uderzenia stały się tak szybkie, że przy zetknięciu kamienia z metalem sypały się iskry. Głos Merlina przybierał coraz wyższe tony, gdy wzywał uwięzioną w kamieniu moc do posłuszeństwa. Blok poruszył się. Nie tak szybko, jak pod uderzeniami miecza, lecz odpowiedź była wyraźna. To wola Merlina ujarzmiła ukrytą moc. Uniósł ostrze noża, a wtedy jeden koniec kamienia wzniósł się za nim.

Tunika przykleiła się do jego ciała. Pomimo zimna Merlin drżał jak w gorączce, spływał po nim pot. W górę i jeszcze w górę... Wreszcie skała stała pionowo. Wtedy Merlin wymówił słowo, którego nigdy wcześniej nie ważył się użyć, jedno z Wielkich

Zobowiązań Mocy. Głaz pozostał w przybranej pozycji. Miejsce, w którym wcześniej spoczywał, było puste.

Merlin opadł na kolana. Zaczął ryc końcem noża w odsłoniętej przez kamień ziemi. Pracował szybko, jak tylko mógł, bo nie miał pojęcia, jak długo to Słowo utrzyma obiekt nieożywiony. Kopał, odrzucał ziemię, znów kopał, głębiej, głębiej, szybciej...

W końcu otwór był gotowy. Merlin włożył weń nadajnik. Ustawił go pionowo, lżejszym końcem ku niebu. Teraz działał jeszcze szybciej, upychał z powrotem wykopaną ziemię, ubijał piasek dłonią i trzonkiem noża. W końcu odłożył nóż i ubrudzonymi ziemią dłońmi dotknął końcówki cylindra w określonym miejscu. Pod naciskiem jego palców pokrywa obróciła się w lewo. Trzęsąc się z wyczerpania, Merlin odsunął się od wgłębienia. Ukląkł i spojrzał w górę na wznoszącą się ponad nim skałę. W myślach wymówił Słowo. Kamień opadł z druzgoczącą siłą. Merlin miał tylko nadzieję, że otwór był

dostatecznie duży i głaz nie zgruchotał nadajnika. Teraz poczuł takie zmęczenie, że musiał się położyć. Jedną dłoń oparł o Królewski Kamień. Tylko w połowie był świadom, że zadanie zostało wykonane.

Kontakt z kamieniem ostatecznie go obudził. Merlin zawsze czuł uwięzioną w tej potężnej skale energię, lecz to rytmiczne pulsowanie, które wyczuwał, było czymś nowym. Wydał okrzyk ulgi i radości, gdy zrozumiał, że udało się.

Kamień jest zasilany przez nadajnik! Merlin naprawdę oświecił drogę. Kiedy przybędą statki? Z jak daleka, ile? Był zbyt słaby, by od razu się podnieść. Usiadł ze spuszczoną głową, wciąż opierając dłoń o kamień, wsłuchany w ten miarowy rytm.

Tym, co postawiło go tym razem na nogi, było przeczucie niebezpieczeństwa, jakby wiatr przyniósł ostrzegawczą, niemłą woń. Merlin wymacał w trawie nóż, swoją jedyną broń. Słysząc było

tętent kopyt i krzyki, które mogły się wydobywać tylko z ludzkich gardeł.

Sasi? Wyjęci spod prawa?

Wyostrzone zmysły mówiły mu, że ci, którzy się zbliżają, to wrogowie. Nie wstał więc, lecz doczołgał się w cień stojącego głazu. Stąd widział kręcącą się w pobliżu grupę mężczyzn. Nie skierowali się od razu do jego niepewnej kryjówki. Wyglądało na to, że wcale nie mają ochoty zapuszczać się na teren Miejsca Słońca.

Jeden z nich zbliżał się szybko na koniu od strony chaty Lugaida, poganiając przed sobą konia Merlina. Merlin słyszał ich podniesione głosy, lecz nie mógł zrozumieć słów. Był jednak dostatecznie blisko, by zauważyć, że dwaj mężczyźni, którzy widocznie dowodzili oddziałem, mają na sobie szaty kapłanów zza morza, a ich poddani są zwykłymi najemnikami jakiegoś plemiennego wodza.

Kapłani poganiali wojowników.

Pomimo niecierpliwie wydawanych

przez duchownych rozkazów, na co wskazywały ich gesty, wojownicy nie mieli zamiaru wchodzić na teren starego sanktuarium. Bowiem stare prawo, przestrzegane przez wszystkie plemiona, zakazywało rozlewu krwi i chwytania ściganych w granicach Miejsc Mocy. Merlin był pewien, że to on miał być ofiarą, nie potrafił jednak domyślić się przyczyny tej nagonki. Artur wprowadził na swój dwór wyznawców Chrystusa. Wielu ludzi króla jest tego wyznania, lecz on sam kontynuuje tolerancyjną politykę Ambrosiusa, zgodnie z którą nikogo, kto wyraził gotowość walki z najeźdźcą, nie pyta się o to, jakiemu bogu składa hołd. W kraju wciąż obecni są też potomkowie dawnych Rzymian, którzy zginają kolana przed Mitrą, oraz inni, czczący dawnych bogów Brytanii. Kto udzielił tym myśliwym pozwolenia, by go ścigali? Merlin przysięgłby, że nie Artur jest za to odpowiedzialny. Choć król nigdy nie czuł takich więzi rodzinnych, na jakie kiedyś liczył Merlin,

lecz szanował i czasami słuchał człowieka, który włożył miecz Brytanii w jego ręce. Nie, Artur nie zwróciłby się przeciwko niemu. Ktoś jednak wysłał ten pościg. Domysły Merlina wskazywały na Modreda. Czyżby ten

"siostrzeniec" przybyły znikąd zyskał takie wpływy w Kamelocie? Kapłani wciąż próbowali przekonać swoich wiernych, lecz wojownicy wycofali się. Tak więc szare sukmany ubliżały się same. Jeden niósł przed sobą symbol ich boga - drewniany krzyż - i obaj śpiewali. Merlin zauważył, że silniejszy z nich wydobył miecz, choć było to niezgodne z naukami, których powinien przestrzegać. Księża nie są wojownikami.

Merlin dość miał ukrywania się jak ścigane zwierzę. Podniósł się z przeciwnej strony kamienia, za którym znalazł schronienie.

Wszedł i wyprostował się jak wojownik spodziewający się ataku przeciwnika.

Gdy kapłani podeszli bliżej, Merlin ujrzał ich twarze i rozpoznał jednego z nich. To był

ten sam ksiądz, z którym rozmawiał Modred w sali biesiadnej Kamelotu. Zatem potwierdza się jego przypuszczenie. To spotkanie jest dziełem Modreda.

- Kogo szukacie, słudzy boży? -
Merlin stanął przed nimi.

Ten, który niósł krzyż, śpiewał w języku Rzymian inwokację przeciwko siłom ciemności. Zająknął się, lecz nie przerwał pieśni. Jego towarzysz nie uniósł swego wyciągniętego miecza. Choć jego oczy płonęły fanatyzmem, wydawał się nie przygotowany do ataku na bezbronny.

- Synu szatana! - wykrztusił, podnosząc głos ponad tonację pieśni.

Merlin potrząsnął głową.

- Oto stoicie - powiedział cicho - w miejscu, które zna wielu bogów. O wielu z nich zapomniano, bo ci, którzy wzywali ich imiona w czasach trwogi, już odeszli. Póki ludzie będą rozumieć, że poza nimi samymi istnieje większa Moc, Siła, która pomaga w dążeniu do lepszego do dobrej woli i do pokoju, będą istnieć bogowie. Jakże te ma

znaczenie, jak nazywać tę Moc: Mitra, Chrystus czy Ług? Moc jest ta sama. Tylko ludzie się różnią, bo są śmiertelni, podczas gdy Moc była, jest i będzie. Nawet poza śmiercią tej Ziemi, na której stoimy.

- Bluźnierca! - krzyknął kapłan. - Sługa szatana... Merlin wzruszył ramionami.

- Przejmujesz moją rolę, kapłanie. To zadanie barda, by nazywać, choć czyni on to z większą swobodą i umiejętnością, bo może nawet obrażać królów na dworach, gdy skrytykuje pieśnią ich czyny. Nie jestem twoim wrogiem. To, co słyszałem o waszym Chrystusie, mówi mi, że jest on w istocie tym, który posiada prawdziwą Moc. Twierdzą jednak, że nie jest on jedynym, który jest lub będzie. Każde plemię posiada boga w swoim czasie. Składam pokłon waszemu Chrystusowi jako temu, który widział Wielką Światłość. Czy taki ktoś pochwaliby polowanie na ludzi, którzy nie idą jego drogą? Myślę, że nie, bo gdyby to pochwalał, znaczyłoby to, że nie

jest on tym Wielkim, do którego prowadzą wszystkie drogi.

Pieśń starszego kapłana zamilkła.

Przyglądał się on Merlinowi z dziwnym, oceniającym wyrazem twarzy, a była to twarz pomarszczona i poorana wiekiem.

- Mówisz dziwne rzeczy, synu! - powiedział.

- Jeśli słyszałeś wiele o mnie, księżu, to wiesz, że jestem dziwnym człowiekiem. Jeżeli chcesz połączyć moce z mocami, to jest to zabawa dziecka, które igra z prawdą i nie używa jej należycie. Patrz...

Wysunął swój palec wskazujący i poruszył nim szybko w obie strony. Przez chwilę na szczycie czterech niebieskich głązów tańczyły maleńkie płomyki.

Starszy kapłan obserwował to ze spokojem. Jego towarzysz o hardym spojrzeniu zaczerwienił się i wykrzyknął:

- Dzieło szatana!

- Jeśli tak jest, to skoro zło ulega sile dobra, wygnaj je, kapłanie! - rzekł Merlin, a płomienie znowu zaczęły tańczyć.

Kapłan zwrócił się ku płomieniom i przemówił po łacinie. Lecz płomienie pozostały aż do chwili, gdy Merlin strzelił palcami. Twarz duchownego oblała się rumieńcem gniewu.

- Istota zła - zauważył Merlin - tkwi nie poza człowiekiem, ale w nim samym. Człowiek sam robi miejsce w swojej duszy na nienawiść, strach i wszystkie te rzeczy, które rodzą się w ciemnościach. Jeśli człowiek nie pozostawi takiego miejsca, to i nie rodzi demonów. Nie używam mej siły, by krzywdzić, i nigdy tego nie robiłem. Ani nie będę robił. Bo jeśli użyję moich talentów w złych celach, utracę je. Jakiego boga czczę, używając jego Mocy, to już moja sprawa. Nie dbam o to, by ktoś inny w niego wierzył. Wystarczy, że wiem, iż taka Moc istnieje, że ona była, jest i będzie!

Stary kapłan przyglądał mu się chwilę, po czym powiedział:

- Człowieku, idziemy różnymi drogami. Jednak od tej chwili nie będę wierzył w to, co nam

powiedziano, że jesteś czynnym nosicielem zła. Błędzisz i będę się modlił za ciebie, - byś zwrócił swój umysł ku prawdzie i odwrócił się od błędu, w którym tkwisz.

Merlin pochylił głowę.

- Księżę, wszystkie modlitwy w dobrej wierze dostrzegane są przez Moc. Nie ma znaczenia w czym imieniu są odprawiane. Nie życzę wam źle, niechaj tak będzie, że wy...

- Nie! - wykrzyknął młodszy kapłan w taki sposób, jakby walczył z gniewem, a może ze strachem. - Ten sługa szatana jest zagrożeniem dla wszystkich wierzących. Musi umrzeć!

Wykonał nagły wymach mieczem i to z taką wprawą, że Merlin pomyślał, iż pewnie był wojownikiem nim przywdział sutannę. Merlin był na to przygotowany, bo już wcześniej zauważył błysk w jego spojrzeniu. Podniósł pustą dłoń. Miecz zboczył z kursu, jakby przyciągnął go olbrzymi magnes, i uderzył w najbliższy kamień. Ostrze rozpadło się na drobne kawałki.

- Odejdź w pokoju - powiedział Merlin, gdy kapłan wpatrywał się ze zdumieniem w postrzępiony odłamek w swojej dłoni. - Mówię prawdę. Nie mam zamiaru nikogo skrzywdzić. Dla was jednak lepiej będzie, gdy stąd odejdziecie. Obowiązuje tu bowiem pradawny zakaz: nie ma tu miejsca dla nikogo, kto przychodzi w gniewie i z obnażonym ostrzem. Ci, którzy to prawo ustanowili, dawno już odeszli, lecz wciąż obecna jest tu siła ich modlitw. Odejdź i bądź kontent, że te kamienie nie odpowiadają w ten sam sposób.

- Bracie Gildasie - cicho odezwał się starszy ksiądz. - Posłuszny woli Bożej, odejdź. Ten człowiek zdąża własną drogą, nie do nas należy przeciwstawianie mu się. Następnie schylił się, chwycił zwisające lejce konia swego towarzysza i odwrócił się, prowadząc za sobą wierzchowca z jeźdźcem, który siedział w milczeniu, jakby szok odebrał mu mowę. Gdy dołączyli do czekających wojowników, starszy ksiądz wydał rozkaz. Człowiek, który trzymał

konia Merlina, wypuścił go. Odjechali. Pośpiech eskorty wyraźnie wskazywał, że nawet jeśli kapłani nie wierzą w siłę dawnego sanktuarium, z pewnością wierzą w nią wojownicy.

Merlin spoglądał za nimi. Znowu to wielkie zmęczenie zrodzone z wysiłku zdawało się umieścić ciężary z ołowiu na jego kończynach. Musi się przespać i to szybko. Tylko, czy pozostawanie tutaj jest rozsądne?

Pomyślał, że starszemu księdzu można zaufać, a ten drugi został wyraźnie pokonany w próbie sił. Poza tym jasne było, że wojownicy nie mieli zamiaru jechać do Miejsca Słońca po to, by go schwytać. Wrócił do Królewskiego Kamienia. Słońce nagrzało trochę kamienie. Wiatr ustał. Merlin przykrył się peleryną. Zebrał trochę suchej trawy, by wymościć sobie legowisko, na którym ułożył się do snu.

Gdy się obudził, było już późne popołudnie. Hałas, który usłyszał, był żalosnym rzeniem jego konia. Zmierzę popasało między głazami,

czekając w pobliżu. Merlin też chciałby tak napełnić swój żołądek. Zjadł resztki zapasów z poprzedniego wieczora. Nie była to pora roku, gdy można oszukać głód jagodami i ziołami. Trzeba będzie spróbować szczęścia starym sposobem z dzieciństwa - przy pomocy procy. Może uda się upolować królika.

Wybrał kilka kamyków, które wydały mu się odpowiednie, i wyruszył na polowanie. Okazało się, że nie zapomniał swoich starych umiejętności. Nie opuścił jednak kamiennego kręgu. Obok Królewskiego Kamienia rozpalił ognisko przy pomocy krzemienia i ostrza noża, upiekł królika i zjadł go, dokładnie ogryzając z mięsa każdą kostkę.

Potem Merlin jeszcze raz ułożył się do snu na tym samym legowisku z trawy, a cienie wokół rosły, jednoczyły się i rozsiewały ciemność. Czuł się, jakby poprzez władzę nad kamieniem i umieszczenie nadajnika we właściwym miejscu, osiągnął wolność tych kręgów. Teraz nic nie

mogło mu zagrozić. Zapadł w niczym nie macony sen.

Obudziło go światło słońca. Nie było powodu, by tu dłużej zostać. Miał wrażenie, że minie wiele czasu, nim nastąpi odpowiedź na sygnał nadajnika. Przed odjazdem Merlin jeszcze raz położył dłoń na kamieniu, by upewnić się, że wciąż pulsuje on miarowym rytmem.

Wybrał drogę do Kamelotu.

Napuszczenie na niego księży przez Modreda było jawną deklaracją wojny. Merlin wiedział, że nie może puścić tego płazem. Ten młodzik nie może myśleć, że wygrał choćby w niewielkim stopniu, że doprowadził do tego, co można by nazwać ucieczką Merlina. Tym razem Merlin wkraczał na królewski dwór ze świeżym umysłem. Gotów był wykorzystać do swoich celów każdą okazję, gdy tylko Artur wykaże chęć słuchania go. Nadajnik jest już na miejscu i Merlin pozbył się ciężkiego brzemienia, jakim obarczyło go zwierciadło.

Nim dotarł do dworu, słyszał już wieści o zwycięstwie króla w potyczce z Sasami u wybrzeży. Od

razu się domyślał, że to tylko drobna potyczka, lecz nawet tak nieznaczne zwycięstwo, jeśli Modred brał w nim udział, umocni jego pozycję wśród wojowników. Merlin posiadał własną sypialnię na terenie trypoziomowego budynku otoczonego wałem z kamieni i ziemi. Udał się wprost do tej komnaty, zatrzymując się tylko po to, by zamówić sobie dzban ciepłej wody do mycia. Jego odzież i ciało były lepkie od potu po tak wielkim fizycznym wysiłku w Miejscu Słońca.

Gdy stanął pośrodku swojej małej komnaty, rozejrzał się i poczuł dziwną obcość. Znajdowały się tu jego pojemniki z lekami, bukiety zasuszonych ziół zawieszane wzdłuż ściany, kilka książek, które udało mu się zebrać, wszystkie w języku łacińskim. Jest też parę kamieni o dziwnych kształtach, których niezwykle wygląd bardzo mu się spodobał. Komnata była skromna, żadnych ozdób, barw, przepychu. Łóżko wygląda jak prosta skrzynia z pościelą, nie ma ozdób na ścianach, wyprawionych skór na

podłódze. Gdy tak się rozglądał, przypominał sobie inne komnaty - te z wyśnionych miast - i cuda w nich obecne, zdobiące ściany i pokrywające podłogi.

Czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy takie domy? Z pewnością wiele wieków upłynie, nim ludzie posiadają tyle zapomnianej wiedzy, by móc wznosić takie budowle. Nawet gdyby statek przybył jutro, w tym roku, mogą upłynąć całe pokolenia, nim ten świat ponownie rozkwitnie.

Pozostało tylko mieć nadzieję, że nie będzie już takich walk pomiędzy ludźmi lub Panami Przestworzy, które znowu wszystko by zaprzepaściły. Bo ile szans może dać Moc jego gatunkowi? Musi istnieć jakiś limit liczby wzrostów i upadków cywilizacji, narodów, samej ludzkości.

Jeżeli Ludzie Przestworzy przybędą, co stanie się, gdy spotkają takich jak Gildas? Czy będą mogli pracować wraz z takimi jak on? Czy znajdą odpowiednią liczbę osób gotowych uwierzyć i wyciągnąć ręce ku przyszłości? A może strach i przerażenie

przerodzą się w terror, który sprawi, że nieświadomi ludzie odwróca się od propozycji nowego świata?

Artur... Teraz Merlin zrozumiał, dlaczego musi pozyskać Artura. Nie dlatego że w tym miejscu i czasie nie ma równego mu wodza, Artur jest symbolem, za którym ludzie pójdą, którego będą słuchać i naśladować. Przeto Artura trzeba przygotować na wizytę gości z gwiazd.

XIII

Merlin nie musiał szukać Artura, król sam do niego przyszedł. Nagle za zasłoną rozległ się szmer, jak gdyby czekał tam ktoś, kto przybył z tajną misją. Merlin rozsunał materiał i ujrzał Wielkiego Króla, bez żadnej eskorty.

Nie był to ten sam pewny siebie Artur, który w sali biesiadnej świętował powitanie Modreda. Jego lewe oko raz po raz wykonywało nerwowy tik i w ogóle wyglądał, jakby nie spał wiele nocy. Przyglądał się Merlinowi

zmrużonymi oczyma z jakąś złością, którą Merlin nie tylko widział, lecz również wyczuwał.

Gdy tylko król wszedł do komnaty, gwałtownie się obrócił. Ponownie uniósł kotarę i szybko rozejrzał w prawo i w lewo, jakby chciał się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje. Zaczął mówić. Od początku panował nad swoim głosem, który w końcu przeszedł w szept.

- Opowiadają mi o tobie, czarowniku, różne dziwne rzeczy. Dotąd w to nie wierzyłem. Może dlatego, że jak głupiec wybrałem wygodny sposób zatykania uszu, bo przecież to za twoją przyczyną zostałem Wielkim Królem. Tak, to zresztą też mi wytknięto. - Jego oczy płonęły gniewem, a palce spoczywające na rękojeści Kosmicznego Miecza zacisnęły się, jakby już miał wyciągnąć ostrze. - Teraz powiesz mi całą prawdę! Nawet gdybym musiał wyciąć ją z twego żywego ciała. Widzisz, jestem tak zdesperowany, że nie powstrzymam się nawet przed tym.

- Prawdę o czym, królu? - Merlin również ściszył głos. Uknuło jakąś

intrygę, to było oczywiste i łatwo było zgadnąć, kto maczał w tym palce.

- Czy jestem prawdziwym synem Utera?

Umysł Merlina pracował w zawrotnym tempie. Domyślił się, jaką haniebną historię mógł wykorzystać Modred w walce przeciwko królowi, Merlinowi i całemu rodowi Pendragonów.

- On w to wierzył - powiedział powoli.

- Więc... - Twarz króla była blada jak ściana. - Więc Morgana... i ja... Modred... - Nagle Artur ujawnił przebłysk inteligencji. - Czyli on wierzył - powtórzył. - Używasz dziwnych słów, Merlinie! Czy to możliwe, że jego wiara nie oznacza prawdy? Jeśli tak, to kto jest moim ojcem, skoro Goloris poległ dzień przed tym, jak moja matka legła z tym, którego wzięła za swojego męża?

Artur robił wszystko, by się opanować.

- Słyszałem dziwną opowieść, Merlinie. Stawia mi się zarzuty, które mogą okryć moje imię hańbą i

umieścić mnie w jednym rzędzie z gorszymi nawet od tego zdrajcy Vortigena, który zdradził swój lud i oddał go pod saskie topory. Ale to ty oddałeś mnie Ektorowi na wychowanie i tylko ty możesz znać prawdę. Jeśli w istocie jestem synem Utera, to przez moje własne żądze jestem skazany na potępienie przez uczciwych ludzi. Straciłem honor i nawet byle kuchta może napluć mi w twarz. Powiadasz teraz, że Uter wierzył, iż jestem jego synem. Wyjaśnij to! Bo mówię ci, że jestem bliski poderżnięcia sobie gardła własnym mieczem z powodu zasłyszanych opowieści! Merlin wysunął jeden ze stołków.

- To dziwna opowieść, królu, ale prawdziwa, a zaczęła się wiele lat temu.

Artur spojrział na stołek, jakby nie miał zamiaru tu zostać. Usiadł jednak, wybuchając:

- Mów, i to szybko! Jeśli to może choć trochę mi ulżyć, opowiadaj!

- Wiesz, panie, to, co o mnie powiadają, jest prawdą. - Merlin siedział na krawędzi łóżka i wciąż mówił szeptem. Uruchomił też swój

wewnętrzny zmysł, by się upewnić, że nikogo nie ma w zasięgu jego głosu. - Jestem "bez ojca urodzony".

Artur niecierpliwie wzruszył ramionami.

- Wiem, wiem, nazywają cię diabelskim nasieniem. Ale co to ma do...

- Nie diabelskie! - Merlin przerwał stanowczo, wykorzystując swoją moc, by skłonić króla do słuchania. - Mój ojciec pochodził z Ludzi Przestworzy. Tak, w starych legendach drzemie prawda. Córki ludzi rodziły dzieci przybyszom z gwiazd. Z tych związków wyrosła potężna rasa, która potrafiła wykonywać takie cuda, o jakich teraz człowiek może tylko śnić. Wybuchła jednak straszna wojna, taka, która wstrząsnęła całą Ziemią. Ląd stał się morzem, a dno morskie lądem. Z równin wyrosły góry i wszystko uległo takim zmianom, że ci nieliczni, którzy przetrwali, byli na granicy szaleństwa i nie bardzo pamiętali, kim byli wcześniej. Po tej tragedii stali się bardziej

prymitywni niż dzikie bestie.
Jednak ich ojcowie nie zapomnieli.
I kiedy ta wojna, która wygnała
ich z tego świata do gwiazd - bo
Panowie Przesłtworzy mieli
potężnych wrogów, o których nic
nie wiedzieliśmy - została
zakończona, przypomnieli sobie o
Ziemi i pragnęli tu powrócić.
Wysłali więc swoje statki. Jeden z
nich odpowiedział na sygnał
starego nadajnika umieszczonego w
naszych górach. Niósł on nasienie
Panów Przesłtworzy, a moja matka
była pierwszą, która przyjęła je
do swego łona.

- Wygadujesz brednie! - przerwał
Artur.

- Spójrz na mnie, królu, spójrz mi
w oczy - zażądał Merlin. - Czy
wygaduję brednie, czy też mówię
prawdę?

Artur popatrzył prosto w oczy
Merlina. Po chwili powiedział
powoli:

- Choć to brzmi niewiarygodnie, ty
wierzysz, że to prawda.

- Prawda, którą gotów jestem
udowodnić - stwierdził Merlin. -
Jednym z zadań, dla wypełnienia

których przyszedłem na świat, było wychowanie tak silnego króla, by zjednoczył Brytanię i zaprowadził tu pokój. Panowie Przesłwory potrzebują tego pokoju, by mogli ponownie tu przybyć. Ambrosius był wielkim wodzem, lecz dostrzegał możliwość pokoju tylko pod rządami Rzymian. Uter radził sobie z tutejszymi plemionami, lecz posiadał ich naturę, zarówno ich wady, jak i zalety. Był człowiekiem wielkich żądz i gdy one wchodziły w grę, nie potrafił się pohamować.

- Przypadkiem podczas koronacji ujrzał księżnę Igrenę i zapragnął jej. Jego pożądanie było tak widoczne, że małżonek księżnej opuścił dwór, czyniąc tym afront królowi. Goloris umieścił swą panią w bezpiecznej, jak mu się zdawało, fortecy, która nigdy nie ugięła się przed atakiem wrogów, tak dobrze była strzeżona.

Wtedy Uter posłał po mnie i rozkazał mi użyć pewnych mocy, by mógł zaspokoić swoje pożądanie. Powiedziałem mu, że mogę stworzyć iluzję, dzięki której przez tę

jedną noc będzie wyglądał jak Goloris. W ten sposób znajdzie się w łóżu księżnej. Uśpiłem go i wprowadziłem do jego pamięci sen, w którym tak właśnie się działo. Potem wśliznąłem się do twierdzy i obdarowałem księżną innym snem. Z tym, że ten, który przyszedł do niej, nie był z naszego świata. Posiadł ją jeden z Panów Przestworzy.

Uter wstydził się swego czynu, a księżna, dowiedziawszy się, że jej mąż zmarł przed wizytą tajemniczego gościa, stała się tak niespokojna, że zaczęła wierzyć w opowieści o nocnych demonach. Tak więc oboje chętnie oddali cię w moje ręce.

W żyłach Ektora płynęła krew Panów Przestworzy, choć jego przodek tej rasy żył w dalekiej przeszłości. Ektor przyjął cię z radością. Ustaliliśmy, że ja będę cię kształcił i przekażę ci wszystko to, czego mnie nauczono, czyli wiedzę naszych ojców. Ale miałem... mam... wroga. - Tu Merlin zawahał się. Czy powinien teraz wspomnieć o Nimue? Może tak,

by ostrzec Artura. - Panowie Przesłworzy, których jesteście potomkami, również mają swoich wrogów, innego pochodzenia. Owi wrogowie pragną, byśmy już więcej nie władali światem, by człowiek na zawsze był pogrążony w ciemnościach, które ludzkość zdaje się wiecznie skupiać wokół siebie: ciemność nienawiści, zabijania, rozpacz. Tak zatem ci wrogowie zostali powiadomieni o moich narodzinach i w odpowiedzi stworzyli dla mnie przeciwnika. Kogoś, kto zawsze staje na mej drodze z mocą, która może jest tak wielka jak moja, a może nawet większa. Do tej pory nie zmierzyliśmy się w równej walce. Owym Nieprzyjacielem jest ta, którą ludzie zwą Nimue, Panią Jeziora.

Artur był wyraźnie zaskoczony.

- Ależ ona udzieliła pomocy Uterowi, ukryła Morganę, wychowała Modreda... - Tu urwał w pół słowa i wyraz jego twarzy stał się skupiony.

- Otóż to - odpowiedział cicho Merlin. - Owo oddanie rodowi

Pendragonów równie dobrze może mieć dwa oblicza, Arturze.

Dłoń króla zacisnęła się w pięść na jego kolanie.

- Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Myślisz, że robiła to wszystko w określonym celu, na moją zgubę. Teraz, gdy już wiem, przejrzałem jej czyny. To ona cię więziła?

- Przy pomocy zgromadzonej energii przetrzymywała mnie w zamknięciu. Póki nie zaatakowała, nie zdawałem sobie sprawy, że zna moją kryjówkę. Byłem trzymany w niewoli aż do chwili osadzenia cię na tronie, Wielki Królu. W ten sposób nic nie wiedziałeś o istnieniu kogoś, kogo powinieneś był znać od dzieciństwa. Potem dowiedziałem się, co się wydarzyło, że Morgana cię uwiodła, i choć nie mam na to dowodów, wierzę, że to również sprawka Nimue. Łatwo mogła przewidzieć, jakie wynikną z tego problemy. Ona też uczyniła z Modreda swoje narzędzie.

- To mój syn - powiedział Artur ciężko. - Na honor, nie mogę temu zaprzeczyć.

- Cieleśnie może i jest twoim

synem - zgodził się Merlin - lecz jego dusza należy do Nieprzyjaciół. Jeśli rozgłosi on tę opowieść, która zniesławia twoje imię, zniszczy wszystko, o co walczyłeś.

Artur spuścił wzrok, patrzył na swoją pięść... Jego twarz wyrażała gniew, była tak blada, jakby złamano jego ducha.

- Jak mogę temu zapobiec? - spytał tępo. Pierwszy przypływ gniewu już się wypalił, teraz król podnosił się z popiołów. - Czy ktokolwiek uwierzy w to, co mi opowiedziałeś? Raczej zaczniesz się gadanina o demonach i wszystkich starych strachach. I spadnę z tronu jak liść pchany wiatrem pod koniec roku.

- Po pierwsze - odparł Merlin - musisz pogodzić się ze swoim pochodzeniem, choć dowiadujesz się o tym tak późno. Dam ci dowód na to, że wszystko, co powiedziałem, jest prawdą. Zgadza się, że nie można o tym rozpowiadać. Jednak uzbrojony w to coś będziesz w stanie pokonać Modreda i tę, która za nim stoi.

- Ten twój dowód...?

- Nie znajduje się tutaj, królu. Musisz tam pójść sam, nawet bez giermka. Tylko ze mną.

- I pozostawić tutaj Modreda, by rozsiewał truciznę! - rzucił Artur.

- Dasz Modredowi coś, co na jakiś czas zamknie mu usta i nie wzbudzi żadnych podejrzeń u innych. Jest on krwi Pendragonów, więc uczyn z niego regenta na czas twej nieobecności. Zadbaj też o to, by nie miał faktycznej władzy nad armią.

- Aha, upewnić się, że nie daję mu pazurów jak przedtem. - Po raz pierwszy twarz Artura rozjaśniła się. - Teraz muszę poszukać wytłumaczenia, dlaczego opuszczam zamek w taki sposób.

- Królu, wzdłuż drogi, którą się udamy, leżą stare, zaniedbane forty. Niegdyś wiodła przez nie rzymska droga z portu. Skoro teraz znów zaczyna ożywać handel, jaką lepszą przyczynę mógłbyś znaleźć niż sprawdzenie, czy nie da się odnowić owego szlaku? Weź ze sobą swoją eskortę. Gdy dotrzemy w

poblize miejsca, które musisz odwiedzić, zachorujesz i będziesz leczony przeze mnie, może jeszcze jednego sługę, któremu ufasz. Czy masz kogoś takiego, komu możesz całkowicie zaufać?

Artur przytaknął.

- Bleheris. Przybył do mnie po śmierci Ektora. To on nauczył mnie posługiwać się mieczem. Co prawda, wiek zaczyna dawać mu się we znaki, lecz jest mi bardzo oddany. W Merlinie coś się obudziło.

Rozpoznał obraz z przeszłości.

Bleheris? Jest taki mały, ciemnowłosy mężczyzna z tatuażem na czole, nie należy do tutejszych plemion.

- Pikt?

- Tak, Ektor znalazł go leżącego ze złamaną nogą na polu bitwy. To on poślubił Flannę, moją piastunkę. Postanowiła pozostać z nami nawet wówczas, gdy już skończył się czas jej służby.

Ektor dał jej wolność i mienie, czyli to, co ty jej obiecałeś.

Bleheris jest teraz moim człowiekiem, przywiązany do mnie bardziej niż którykolwiek z

towarzyszy broni.

Merlin pokiwał głową.

- Ruszemy więc, panie, z twego rozkazu. I miej umysł otwarty, bo dowiesz się, że nie powiedziałem ci nawet połowy tego, co dotyczy nas obu.

Napięcie i rozpacz, towarzyszące Arturowi, gdy tu wchodził, zniknęły z jego oblicza. Zastąpiło je zaciekawienie, przejawiające się w podobny sposób jak oczekiwanie na każdą próbę sił. Jednak gdy król opuścił komnatę, Merlin miał się nad czym zastanawiać.

Nie sądził, by Modred gotów był oczernić własne pochodzenie po to, by obalić króla. Żona Artura nie urodziła dzieci. Merlin podejrzewał, że odpowiedzialny jest za to król. Możliwe, że osoby półkrwi nie mogą z jakichś przyczyn łączyć się z ludźmi. Potwierdzałoby to jego własną obojętność wobec wszystkich kobiet z wyjątkiem Nimue. Choć zauroczenie Artura królową jest dość widoczne, tak często przebywa on poza dworem, że mógł nawet nie

zauważyć swojej bezpłodności. Ponieważ Artur nie ma syna z Ginewrą, Modred jest jedynym potomkiem starego królewskiego rodu. Jednak to, że Artur mógł spłodzić syna z kobietą z tubylczego plemienia, przeczy tej teorii. Merlin zastanawiał się. Może to Nimue maczała palce w tej sprawie, bo często bywała na dworze Utera, gdy doszło do tego zbliżenia, a zaraz po tym zaopiekowała się Morganą. Czy w ogóle Modred jest synem Artura, czy też kolejnym mieszzańcem Nieprzyjaciół?

Merlin wyczuwał w nim jakiś ślad Mocy, której ktoś Dawnej Rasy nie może nie zauważyć. Nie, jest całkiem prawdopodobne, że Modred jest tym, za kogo biorą go plotkujące języki i Ektor - synem Artura ze związku z kobietą uważaną za jego przyrodną siostrę.

Może ten młodzian grozi Arturowi tylko po to, by zyskać nad nim przewagę. Jeśli to jego gra, to nie wynika ona z planów Nimue, bo Artur nie jest słabym głupcem.

Owszem, był wstrząśnięty, gdy spadła na niego ta wiadomość, lecz przecież każdy na jego miejscu doznałby szoku. Teraz, gdy Artur zna już prawdę i wkrótce zobaczy dowód, sam uodporni się na wszelkie szantaże Modreda. Trzeba się jeszcze zastanowić nad tym, jak dalece może posunąć się Modred, by zaszkodzić ojcu. Czyżby był zbyt młody i porywczy, by rozumieć, że zhańbienie Artura oznacza pozbawienie jego samego praw dziedziczenia? Bowiem król, tak jak nie może okazywać żadnej fizycznej ułomności, tak też nie może dopuścić do zniesławienia swego imienia przed tymi, którymi rządzi.

Modred jest ambitny, tego Merlin był pewien, i za bardzo pragnie być dziedzicem Artura, by chcieć pokalać własne gniazdo. Tylko w przypadku, gdyby królowa w przyszłości była w błogosławionym stanie, zdecydowałby się na wyjawienie wszystkiego, co uważa za prawdę o swoim pochodzeniu. Do tego czasu, zgarbione ramiona Merlina wyprostowały się, Artur

jest bezpieczny. Trzeba go tylko doprowadzić do zwierciadła.

Znajomość prawdy uodporni go na takie nieczne intrygi.

Tak oto Artur uczynił Modreda swoim regentem, równocześnie ustanawiając tajne środki bezpieczeństwa, jakie tylko mógł, by ograniczyć samowolę ciemnobrewego młodzieńca. Modred wydawał się zadowolony z okazanego mu zaufania. Zdawał się też nie zauważać obecności Merlina, choć ksiądz Gildas spoglądał na barda z wyraźną wrogością ze swojego miejsca przy tronie regenta. Kiedy wreszcie opuścili Kamelot, Artur obrócił się w siodle, by jeszcze raz spojrzeć na zamek. Gdy wyprostował się, jego twarz była bardzo poważna.

- Nie wiem dlaczego - odezwał się do Merlina, jadącego po jego lewej stronie - ale czuję się, jakby tam, w górze kryła się przyszłość. Teraz jasno świeci na nas słońce, a gdy oglądam się za siebie, widzę zbierające się chmury.

- Niepewności - odpowiedział

Merlin - nie można łatwo się pozbyć. Może dowiedziałeś się, królu, za wiele w zbyt krótkim czasie. Czas może też działać na niekorzyść. W tym kraju jest wielu takich, którzy nie pochwalają żadnych zmian, nawet nadejścia trwałego pokoju.

- To również zaczynam rozumieć. Moje oddziały z utęsknieniem oczekują jakiegoś alarmu. Zupełnie jakby pragnęli powrotu czasów, gdy stale byliśmy w siodłach, poturbowani, zmęczeni, wygłodzeni, w pogoni lub też w odwrocie. Za nami podążała śmierć, ale oni przy biesiadnym stole z rozrzewnieniem wspominają tamte dni. Chlubią się dokonanymi rzeziami i planowaniem wypraw. Ja sam nie potrafię opanować wrzenia krwi, gdy dłoń zaciska się na rękojeści miecza. Urodziliśmy się w czasie wojny, żyliśmy wojną, i jeśli wojna się skończy... możemy się czuć niepotrzebni... bez wartości... Merlin roześmiał się.

- Nie tylko wojna może zaprzętać ręce i umysły ludzi, mój panie. Ręczę ci, królu, że choć w walce

osiągamy prawdziwe uczucia zaspokojenia, to nie musi to być walka przeciwko innemu przedstawicielowi naszego gatunku. Poczekaj, a sam się przekonasz. Jest jeszcze wiele do zrobienia, by z czasem Dziewięć Wielkich Bitew o Brytanię wydawało się zabawą bezmyślnych dzieci.

- Pokaż mi, Merlinie, a będę ci wdzięczny. Myślę, że narodziłem się tylko po to, by walczyć. I jeśli nie będzie Sasów, a drzę na myśl o jakimś rodzimym powstaniu przeciwko mnie, to wskaż mi pole bitwy godne mojego zapału.

Artur odwiedził trzy ze starych fortów i w każdym z nich pozostawił załogę ze swoich ludzi z rozkazami dokładnego sprawdzenia przydatności tych miejsc i zameldowania mu w drodze powrotnej, jak można je łatwo odnowić i wykorzystać. Kiedy dotarli do czwartego, ostatniego fortu, eskorta Artura była już poważnie uszczuplona.

W tej niewielkiej grupie nie było mężczyzn z wyższych stanów. Król rozważnie wszystkich możliwych

wyznaczył do nadzorowania pozostałych fortów. Do ostatniego odcinka powalonego muru wjechało ośmiu mężczyzn. Nie należeli oni - jak zauważył Merlin, doceniając mądry wybór Artura - ani do najbardziej ciekawskich, ani najbardziej aktywnych, lecz raczej do grona tych, którym wystarcza ślepe wykonywanie rozkazów.

Tej nocy Artur narzekał na ból głowy. Zjadł bardzo niewiele pożywienia, jakie przyniósł mu Bleheris, i Merlin zaproponował mu, by wcześniej się położył, bo wyglądało na to, że ma gorączkę. Tylko wiernemu Piktowi król powiedział prawdę, że komnata, którą naprędce uprzątnięto i przystosowano do użytku króla, ma być tak strzeżona, jakby przebywał w niej naprawdę chory władca. Jego nieobecność ma pozostać tajemnicą. Mały, ciemny mężczyzna skinął głową na znak zrozumienia.

Tej nocy nie było widać księżyca, lecz Merlin wiedział, że dzięki swemu zmysłowi orientacji trafi do jaskini, jak wędrowny ptak odnajduje regularnie pokonywaną

drogę. Arturowi nieobce były sposoby unikania zasadzek i ukrywania się. Wiedzę zdobytą w potyczkach z wrogiem, jak na ironię, wykorzystywał teraz, by umknąć własnym żołnierzom.

Wspólnie oddalali się potajemnie od ruin fortu, udając się w kierunku gór.

Merlin zakładał, że choroba króla może trwać około czterech dni bez wzbudzania podejrzeń członków eskorty i wysyłania gońca z wiadomością do zamku. Mniej więcej jedną noc trzeba przeznaczyć na dojście do groty, a ciemności nie ułatwiają poruszania się. W pewnej chwili dał się słyszeć cichy śmiech Artura, jaki mógł wydać z siebie jakiś chłopiec, podejmujący ryzykowną wyprawę na własną rękę.

- To mi przypomina dzieciństwo - zwierzył się szeptem, gdy weszli na jeden ze szczytów i leżeli na brzuchach, by sprawdzić, co znajduje się przed nimi. - Właśnie tak Kej i ja skradaliśmy się potajemnie nocą. Ale wówczas nie szukaliśmy tego, czego szukamy teraz. Merlinie, skoro Kej jest

synem Ektora, to czy nie jest on również rasy Dawnych, o których wspominasz z taką czcią? Czy on też może być częścią tego twojego sekretu?

- Nie mnie o tym decydować - odparł Merlin. - To, co pochodzi z gwiazd, decyduje. Musimy się jednak spieszyć, Arturze, bo czeka nas długa droga, a noc jest krótka.

Nie bardzo była jednak krótka, gdyż dotarli do jaskini, nim świt wpłynął na niebo, jak ostrzem miecza oddzielając noc od dnia. Merlin, bardziej dotykiem niż wzrokiem, odkrył wejście i odgarnął kamienie, które zawsze układał w taki sposób, że wyglądały, jakby same spadły z góry. Wreszcie droga była wolna. Kamienie ułożyli tak, że gdyby ktokolwiek tu dotarł, nie dostrzegłby w nich nic dziwnego. Wtedy Merlin ruszył przodem i przecisnął się do groty ze zwierciadłem. Powitała go nie ciemność, ale błysk światła, bo wszystkie maszyny obudziły się podczas jego nieobecności albo na

ich powitanie. Artur miał trudności z przepchnięciem swego ciała przez otwór, lecz kiedy stanął obok Merlina i popatrzył na rzędy połyskujących światel oraz ciemną, lśniąca powierzchnię lustra przed nim, nic nie powiedział. Merlin spojrział w bok i zauważył, że król zaniemówił z wrażenia. Rzeczywiście, nic tutaj nie pochodziło z tego świata, który oboje znali.

- Zwierciadło. - Merlin delikatnie położył dłoń na ramieniu Artura, przyciągnął go w kierunku tej wysokiej, połyskującej powierzchni. Mówił z powagą:

- Oto stoi tu Artur, Wielki Król Brytanii, zrodzony z krwi i woli tych, którym służymy.

Widzieli swoje odbicia w lustrze, choć zdawały się one chwiać, może z powodu migotania światel. Merlin poczuł, że Artur drgnął, gdy sponad zwierciadła dobiegła odpowiedź:

- Pozdrowienia od krewnych, Arturze, który byłeś, jesteś i będziesz, choć nie przenosisz pamięci poprzez wieki i przez to

przeszłość jest ci nieznana. Oto jedna z tych chwil, w których musisz dokonać wyboru i działać dla dobra twego ludu, choć za sprawą knozań wrogów późno przybyłeś na to spotkanie. Uważaj, Arturze, bo od twoich decyzji zależy nie tylko twoje przeznaczenie, lecz również przyszłość Brytanii. Merlinie, teraz tylko Artur będzie widział, a ty pozostaniesz ślepy.

Ława wysunęła się jak podczas pierwszej wizyty Merlina tutaj dawno temu. Artur usiadł jak w transie. Merlin nie dostrzegł żadnej zmiany w zwierciadle. Wciąż widział tylko swoją ciemnobrewą, powoli starzejącą się twarz i jasność oblicza Artura. Król natomiast krzyknął i pochylił się w przód, jego oczy były szeroko otwarte, usta uchylone jakby chciał wydać okrzyk zdumienia, które malowało się na jego twarzy. Merlin cofnął się. Rzeczywiście spóźnił się z wykonaniem tego ostatniego zadania. Może jednak nie jest za późno. Może przez wykorzystywanie Modreda Nimue

osłabiła swoją władzę nad przyszłością. Przecież to Modred zbliżył Artura do Merlina. Inaczej Merlin nigdy nie przekonałby króla, by mu uwierzył.

Zdesperowany Artur był tak podatny na słowa barda, że Merlin bez trudu sprowadził go tutaj.

Obserwował teraz króla, którego oczy wciąż wpatrywały się w zwierciadło. Artur siedział tak nieruchomo, jakby nie był żywą istotą, lecz, podobnie jak wszystko wokół, przedmiotem wykonanym z metalu. Po jego twarzy przemykały grymasy, chwilami wyrażające niepokój lub zdecydowanie. Czegokolwiek Artur się dowiadywał, widać było, że ulega on przemianie.

Przyszedł do zwierciadła jako potężny wódz wojenny odnoszący sukcesy we wszystkich bitwach. Teraz stawał się wodzem według innego wzoru. Serce Merlina zabiło mocniej, gdy przyglądał się tej metamorfozie. Nimue przegrała! Ten Artur, który stąd odejdzie, nie będzie się obawiał żadnych potwarzy ani cieni Nieprzyjaciół.

Stawał się właśnie takim władcą,
jakim już dawno byłby, gdyby to
spotkanie nie odwlokło się o tyle
długich lat.

XIV

Minęła cała noc i dzień, potem
kolejna noc i kolejny dzień, aż
wreszcie Artur podniósł się z ławy
i zwrócił twarz ku Merlinowi. Nie
było widać błysku w jego oczach.
Miał jedynie ciężkie spojrzenie
człowieka, który musi wykonać
jakieś ważne zadanie wymagające od
niego zgromadzenia całej
wewnętrznej energii.

- Czy widziałeś...? - spytał
Merlin.

- Widziałem - odparł król. - Jeśli
to jakiś sen, to widziałem
dostatecznie wiele, by wiedzieć,
że człowiek może żyć tylko w takim
śnie - zawahał się. - Ale,
krewniaku, nie jesteśmy tacy, jak
inni ludzie. Niektórzy nie
uwierzą, nawet gdyby im pokazać
coś, czego mogą dotknąć własnymi
rękoma. Ja... - Powoli potrząsnął
głową. - Człowiek może tylko

próbować.

Merlin przyglądał mu się uważnie. Artur nie odczuwał egzaltacji, tylko jakiś smutek, jakby przyjął na siebie ciężar, który musi dźwigać, czy tego chce, czy nie.

- Zastanawiam się - powiedział król - czy ten moment nie został źle wybrany. Ludzie tak długo żyli w strachu, że w każdej nowej rzeczy, nawet w obcym człowieku, widzą zagrożenie.

Ta uwaga była zgodna z niektórymi nękającymi Merlina wątpliwościami. Czy ludzie doszli już dostatecznie daleko, by chcieć sięgać do gwiazd?

- Zamknięte umysły - ciągnął Artur. - Czy możesz sobie wyobrazić, że wszystko to - Ogarnął ręką jaskinię. - zaakceptują bez wspomnienia o demonach? Ty znasz te rzeczy od dzieciństwa. Ja wszedłem tu jako dorosły i doświadczony, i mogę zrozumieć takie obawy. A strach rodzi nienawiść i zniszczenie. Do tego jeszcze ta Pani Jeziora.

- Co z nią? - Merlin ożywił się.

- Jeśli jest wrogiem, musimy

wiedzieć o niej więcej, przede wszystkim gdzie leży źródło jej mocy.

- Ona mnie zna - odparł Merlin. - Długo byłem jej więźniem. Gdybym ją odszukał...

Artur pokiwał głową.

- Właśnie. Ale dobrze opiekowała się Uterem i dowiodła swoich zdolności uzdrawiania. Zaczęliśmy tę wyprawę pod pretekstem gorączki, która mnie nagle zmogła. Czy nie moglibyśmy się tego trzymać? Wróć do Kamelotu chory i moi ludzie poślą po Nimue. Ty, bracie, będziesz uchodził za tego, który chwalił się wiedzą o lekach, a nie potrafi mnie wyleczyć. Może nawet trzeba cię będzie oddalić z zamku na jakiś czas.

Merlin miał jedno zastrzeżenie.

- Panie, znam tę kobietę, doświadczyłem już jej mocy. A jeśli nie będziesz w stanie się jej oprzeć? Wtedy w istocie zginiesz, a nasze plany legną w gruzach.

- To ryzyko, które musimy podjąć! Nie widzę innego sposobu, by ją pokonać. W przeciwnym razie

właśnie wtedy, gdy będziemy musieli wykonać jakiś ważny ruch, ona omota nas swymi czarami jak pajęczyna nieostrożną muchę. Panie, zdajesz się niezwykle obawiać tej Nimue, dlaczego? Merlin zarumienił się.

- Czy nie dość, że trzymała mnie w niewoli, gdy powinienem był ci pomóc? Zwierciadło niewiele powiedziało mi o możliwościach Nieprzyjaciół, a to, czego doświadczyłem, było ciężką próbą. Wystawienie własnej osoby na jej zer może być największym głupstwem na świecie!

- Może - zgodził się Artur. - Jednak nadal twierdzę, że musimy wywabić ją z kryjówki. Ludzie mówią, że nikt nie może jej odnaleźć, gdy ona tego nie chce, tak gęsta mgła okrywa tę starodawną twierdzę, w której chowa się przed wzrokiem większości. Jeśli jednak uda mi się utrzymać ją w Kamelocie, to ty z twoją wiedzą mógłbyś wdrzeć się do tej tajemniczej siedziby i dowiedzieć się, na jakie wsparcie może ona liczyć.

Artur myślał kryteriami wojny. Merlin musiał niechętnie przyznać, że ta ryzykowna forma ataku może się powieść.

- Czy to zwierciadło podsunęło ci ten pomysł? - spytał.

Artur westchnął.

- Zwierciadło pozostawia ludziom wolny wybór. Pokazuje, co może się zdarzyć, lecz ta przyszłość stale się zmienia w zależności od ludzkich czynów.

- To prawda. Dobrze, będzie, jak sobie życzysz, panie. - Nawet gdy już się zgodził, Merlin wciąż czuł niepokój. Owszem, to Artur jest wybranym królem i teraz, gdy zna już swoje przeznaczenie, to on powinien podejmować decyzje.

Jednak nie spotkał jeszcze Nieprzyjaciół twarzą w twarz, zetknął się jedynie z ich knowaniami w aferze z Modredem. Nie zna także Nimue, dla niego jest ona tylko tajemniczą postacią, nieznaną uzdrowicielką. Wspólnie zakryli wejście i ruszyli w powrotną drogę do ruin. Omijając strażników, Artur przeklął ich pod nosem za nieuwagę. Bleheris

oczekiwał ich w sypialni.

- Dobrze, że wróciłeś, mój panie - powiedział z ulgą. - Ludzie się niepokoją. Tirian dwa razy przychodził pytać, co z tobą.

Groził, że wyśle posłańca do pana Gawaina w sąsiednim forcie.

- Źle ze mną, Bleherisie - odparł król. - Słuchaj uważnie, druhu, oto, co trzeba zrobić. Rozgłosisz, że gorączka, która mnie naszła, jest coraz silniejsza. Wtedy Merlin rozkaże ściąć gałęzie i zbudować wóz. Będiesz cały czas przy mnie, a idąc po jedzenie czy picie, opowiadaj o moich dziwnych zachciankach i o tym, że mój stan jest gorszy niż kiedykolwiek widziałeś, że niepokoisz się tą moją dziwną chorobą. Rozumiesz? Mały Pikt przerzucił wzrok z króla na Merlina i z powrotem.

- To jakaś wojenna sztuczka, panie? Artur przytaknął.

- Ale ta walka toczy się bez użycia mieczy i włóczni. Muszę powrócić do Kamelotu jako bardzo chory i tylko ty i Merlin możecie mnie w drodze doglądać, tak by nikt nie odkrył prawdy.

Bleheris spojrział na zasłonę, stanowiącą wejście do komnaty.

- Królu, ci ludzie wpadną w panikę. Nie podoba im się to miejsce. Opowiadają o wrogich demonach, które cię zaatakowały. Takie gadanie może być niebezpieczne.

Odpowiedział na to Merlin:

- Plotki o demonach, królu, mogą być dla nas korzystne. Na twarzy Artura widniało zdecydowanie.

- Lecz niebezpieczne dla ciebie, Merlinie. Takie szeptki zawsze zwracają się przeciwko tobie. Mogą stwierdzić, że ta choroba to twoja sprawa.

- Racja. Jednak to pomoże wykonać nasz ruch. Niech tak będzie.

Wykonaj swoje zadanie, Bleherisie. Nie podsycaj opowieści o duchach, lecz spoglądaj znacząco, gdy je usłyszysz, jakbyś ty również miał coś do dodania.

Pikt uśmiechnął się niewyraźnie.

- Czcigodny Merlinie, nie wiem, jaką grę prowadzicie wraz z królem, lecz jeśli taka jest wasza wola, uczynię co w mojej mocy, by się wam powiodło.

Jak Artur zaplanował, tak zrobiono. Na ciele Wielkiego Króla pojawiły się pewne objawy choroby, które Merlin uzyskał przy pomocy ziół - zaczerwienienie twarzy, rozpalona skóra. Bleheris doniósł, że ludzie z eskorty są teraz przekonani o działaniu sił nieczystych i nieprzychylnie spoglądają na Merlina. Pikt otrzymał nowe rozkazy. Gdy dotrą do Kamelotu, ma rozgłosić, że trzeba wezwać Panią Jeziora, która pomogła w chorobie Uterowi, gdy wszyscy inni uzdrowiciele zawiedli.

Panowie z otoczenia Artura, w miarę jak przyłączali się do orszaku, domagali się możliwości ujżenia króla. Gdy dopuszczono ich przed oblicze władcy, Artur wyglądał na nieprzytomnego, a Merlin sprawiał wrażenie bardzo zaniepokojonego, jakby, mimo wielkiej wiedzy, spotkał się z chorobą, której nie potrafi wyleczyć.

Merlin dobrze wiedział, że Cedric posłał przodem posłańca, więc nie zdziwiło go, gdy po niecałych

dwóch dniach podróży - bo posuwali się powoli, dostosowując tempo do kroku konia ciągnącego prowizorycznie sklecony wóz - posłaniec wrócił z jednym z kapłanów w szarej szacie. Merlin z ulgą zauważył, że to nie Gildas, choć wrogość tego duchownego była równie widoczna. Artur zaczął wrzeszczyć o nowym demonie, który chce go dręczyć. Tak dobrze grał rolę człowieka odchodzącego od zmysłów w wysokiej gorączce, że ksiądz zmuszony był ich opuścić. Panowie zwrócili się do Merlina z żądaniem wyjaśnień, podania im przyczyn choroby króla. Merlin zrobił tajemniczą minę i odparł, że z ruin emanowało coś dziwnego. Kto wie, jakie ciemne sprawy pozostają tam, gdzie dawniej czyniono zło?

Wreszcie przybyli do Kamelotu. Artura wniesiono do pałacu i położono w łóżku. Kiedy jednak Modred i Ginewra przyszli go zobaczyć, król uniósł się, kazał ich wyprowadzić jako zdrajców i morderców. Zdawało się, że toleruje tylko Bleherisa i

Merlina. Nie wypadł z roli śmiertelnie chorego ani na jedną chwilę, nawet gdy chciał porozmawiać z którymś z nich szeptem na osobności.

Drugiego dnia Bleheris rozpoczął wykonywanie swojej części planu Artura. Gdy powrócił, jak cień wśliznął się do królewskiej sypialni i przemierzył szybko komnatę, by klęknąć przy łóżku Artura.

- Najjaśniejszy Panie - wyszeptał.

- Zrobiłem, jak kazałeś. Mówiłem o Pani Jeziora ze sługą pana Keja, który właśnie powrócił, i z innymi. Myślę, że wysłuchali.

Głowa Artura poruszyła się niemal niezauważalnie na poduszce, by pokazać, że usłyszał i zrozumiał.

Merlin odetchnął z ulgą. To dobrze, że Kej powrócił z wizyty na dworze króla Uriena z północy.

Merlin nigdy nie żywił do syna Ektora takich uczuć jak do jego ojca, ale wiedział, że Kej jest lojalny wobec Artura, choć w stosunku do innych potrafi być grubiański i niegrzeczny. Kej jest przy tym zazdrosny o osoby

faworyzowane przez Artura, więc z nim na straży Merlin może czuć się bezpieczniej podczas wykonywania tej części planu, która należy do niego.

Merlin pochylił się nad królem, jakby dojrzał jakąś zmianę w swoim pacjencie. Nic nie dało się wprawdzie zauważyć, lecz usta czarownika poruszyły się niedostrzegalnie:

- Powiedz Kejowi!

Król znowu skinął na znak zgody.

Może on również pragnął, by ktoś zaufany zajął miejsce Merlina.

Czekali, aż rzucone przez Bleherisa ziarno zakiełkuje.

Rankiem następnego dnia królowa, Kej i Modred wpadli do sypialni.

Merlin wierzył, że troska Keja jest prawdziwa, lecz wątpił w

szczerść intencji pozostałej dwójki. Ginewra zbyt ceni sobie

koronę, by chcieć widzieć kogoś innego na miejscu Artura,

Modredowi natomiast zupełnie nie należy ufać. Modred ma własne

plany. Jego atak na Artura już udowodnił, jak dalece może się

posunąć, by osiągnąć... Co?

Zaspokoić pragnienie Nimue? Własną żądzę władzy? Inne motywy oznaczałyby śmiertelne niebezpieczeństwo.

Owa dwójka pozostawiła Kejowi zwrócenie się do Merlina słowami, których ten się spodziewał:

- Wygląda na to, uzdrowicielu, że twoja moc jest mniejsza, niż przypuszczaliśmy. Stan naszego pana nie poprawia się, lecz pogarsza. Poszukamy więc kogoś, kto może przywrócić mu zdrowie.

- Tak - wtrącił Modred ze stanowczością, która podziałała na Keja jak czerwona płachta na byka.

- Brat Goloris zna się na lekach. A skoro jest sługą bożym, któż lepiej może odegnać demony, które opętały króla?

Kej spojrział na niego groźnie.

- Nie ma żadnych dowodów na umiejętności tego twojego księdza, chłopcze. - Jego ton miał zmiążyć Modreda, zniżyć go do statusu dziecka.

- Zapominasz się, Keju! - wybuchnął Modred. - Jestem z rodu Pendragona...

- A ja jestem jego mlecznym bratem

- ostro zareagował Kej.
Żaden członek klanu nie mógł na to odpowiedzieć, bo więzy wychowania uważane były za tak silne jak więzy krwi. Dla wszystkich w Kamelocie Kej był niczym rodzony brat króla.

Teraz odwrócił się od młodzika, którego twarz jak maska nieudolnie starała się ukryć otwartą nienawiść, i przemówił bezpośrednio do Merlina:

- Nic nie pomogłeś, nie przyniosłeś naszemu królowi nawet najmniejszej ulgi w cierpieniach. Przeto posłaliśmy po kogoś, kto pomoże. Pani Jeziora słynie z wielkiej mocy nad takimi dolegliwościami. Czyż nie odegnała ich z Utera, gdy zaczął niedomagać? Merlin pochylił głowę.

- Zbyt miłuję naszego władcę, by przeciwstawiać się jakimkolwiek próbom pomocy. Wzywaj więc ową panią, jeśli uważasz, że ona okaże się bardziej przydatna.

Kej przez chwilę wyglądał na dezorientowanego. Jakby spodziewał się ostrego sprzeciwu i tak szybkie uzyskanie zgody

wprawiło go w zakłopotanie.

Ginewra przysunęła się do łóżka,
po czym podniosła głowę,
spoglądając na zebranych.

- Już po nią posłałam. Jeśli
ktokolwiek może podnieść mego
drogiego małżonka z tego łoża, to
tylko ona. A co do ciebie,
bardzie, samozwańczy uzdrowicielu
- zwróciła zagniewaną twarz w
stronę Merlina - odejdz! Zostaw
nas, to rozkaz!

Artur zamknął oczy. Wydał cichy
jęk. Merlin poruszył się, jakby
chciał podejść do niego, lecz Kej
zagrodził mu drogę:

- Królowa postanowiła! Odejdz, bez
ojca urodzony. Nie jesteś tu mile
widziany, powinieneś to zrozumieć.
Merlin cofnął się. Nie zważał na
to, że jego odejście wyglądało na
ucieczkę kogoś zastraszonego przez
większość. O wiele ważniejsze było
to, by nie spotkał się z Nimue.
Nie potrafił ocenić, czego mogłaby
się domyślić, gdyby go ujrzała.
Unikanie jej było najlepszym, co
mógł zrobić.

W swoim małym pokoiku przygotował
się do wykonania zadania. Zdjął

wytworną tunikę i założył zniszczone szaty podróżne, w których mógł uchodzić najwyżej za sługę na królewskim dworze. Potem ze swojego zbioru przedmiotów posiadających moc z rozwagą wybrał kilka. Wziął kawałek gwiazdnego metalu, znaleziony, gdy na Ziemię spadły meteoryty, a także błyszczący ciemny kawałek jakiegoś klejnotu z tego samego źródła. Włożył szczyptę ziół do małej lnianej torebki z dostatecznie długim sznurkiem, by zawiesić ją jak amulet na szyi. Wetknął ją pod tunikę tak, że gdy jego ciało ogrzało woreczek, delikatna woń ziół sięgnęła jego nozdrzy, rozjaśniając umysł i wyostrzając zmysły. Na końcu wydobył spadek po Lugaidzie, ten mały kawałeczek metalu wyprodukowany dawno temu, który pomógł odnaleźć miecz Artura.

Nie były to przedmioty jakiejś tajemnej magii, jak ludzie pojmują magię, lecz rzeczy, które mają lub powinny mieć związek z czymś spoza tego świata. Bowiem, jak Lugaid powiedział dawno temu, "garnie

swój do swego". Merlin zbierał przez lata - miał nadzieję, że niezauważenie - informacje o twierdzy Nimue. Uważał opowieści o mgie zawsze osnuwającej to miejsce za normalną ludzką reakcją na przywidzenia. Jeśli tak jest w istocie, nie powinno to być dla niego przeszkodą. To, że nigdy nie zapuszczał się w tamtym kierunku, może teraz działać na jego korzyść. Nimue powinna być przekonana, że tak popamiętał jej nauczkę, iż nie ma odwagi więcej stawać z nią w szranki.

Na samym końcu wyciągnął z za swojego łóżka różdżkę dwa razy tak długą jak przedramię. W głowicy uważnie umieścił klejnot z gwiazd i upewnił się, że metalowe zaczepy zabezpieczają go przed wypadnięciem. Następnie odwrócił laskę i obciążył trzonek kawałkiem metalu z meteorytu. Gdy obie rzeczy były już na miejscu, położył różdżkę w poprzek nadgarstka i tak długo szukał odpowiedniego ułożenia, aż wreszcie końce się równoważyły i drążek pozostawał nieruchomy,

dopóki ramię Merlina nie ruszało się. Zebrał porządny pakunek zapasów z kuchni i wziął skórzany bukłak. Nie nalał doń wina, tylko zabrał do źródła i tam napełnił go czystą wodą. Tak uzbrojony i zaopatrzony na drogę, Merlin opuścił królewski dwór.

W drodze skoncentrował się nie na celu swojej podróży, lecz na wytworzeniu wokół siebie drobnej iluzji, aby nikt go nie zauważył. Pewien swoich możliwości tworzenia przywidzeń cieszył się, że nikt go nie zobaczy i jego nieobecność w Kamelocie nieprędko zostanie zauważona.

Nie skierował się bezpośrednio w stronę swego celu. Udał się natomiast na wschód i przez jakiś czas podążał jedną ze starych rzymskich dróg, aż do miejsca, gdzie przecina ona jeszcze starszy szlak. Tam skręcił i wędrował przez tereny jakby całkiem bezludne. Wówczas wyzwolił iluzję, sprawił, że sarni charakter tych terenów służył mu za kryjówkę. Jednocześnie stworzył inny rodzaj iluzji, wewnątrz siebie. Celowo

nie myślał o Nimue ani o jej twierdzy, lecz starał się przekonać samego siebie, że podróżuje po prostu do innej osady ludzkiej.

Merlin nie miał pojęcia, jaki system ochronny otacza siedzibę Nimue. Wątpił, by były to zwykłe wysokie mury ze strażą. Jego jaskinia wytwarza pole zniekształcające obraz wobec każdego, kto nie jest rasy Dawnych. A jeśli ktoś zanadto się zbliża, pewne urządzenie potrafi zagrozić mu drogę. Merlin nie miał wątpliwości, że posiadłość Nimue również ma swoje niewidoczne zabezpieczenia.

Obrona jego schronienia okazała się jednak nieskuteczna wobec Nimue. Rozsądek więc podpowiadał, że i jej kryjówka nie powinna być nie do pokonania dla niego.

Przed nocą Merlin dotarł na skraj lasu, który ludzie zwali pierwszą strażą Pani Jeziora. Tutaj stara droga okrążała las, jakby nawet u zarania dziejów tego ładu wierzono, że w tym lesie znajduje się coś niezwykłego.

Merlin ukrył się pod rozłożystym krzakiem. Nie palił ognia, ale posilił się małą porcją chleba owiniętego wokół kawałka sera i popił to wodą z bukłaka. Wysłał swoich niewidzialnych zwiadowców w głąb lasu, a oni nie znaleźli tam nic prócz przyrody. W końcu Merlin przerwał swoją koncentrację i pozostawił zwiadowców na straży, a sam popadł w płytką drzemkę. Nie śmiał pograć się w głębszej nieświadomości.

Zbliżała się północ, gdy poczuł obecność czegoś, co nie było osobą ani zwierzęciem. To była siła, którą dobrze rozpoznawał, bo sam mógłby taką przyzwać. Znaczyło to, że strażnicy Nimue są na swoich miejscach.

Merlin nie podjął najmniejszego wysiłku, by poznać naturę tych istot czy też drobnych sił. Nie chciał im w żaden sposób sygnalizować swojej obecności. Jedyne, co zrobił, to bardzo ostrożnie zlokalizował ich położenie.

Może Nimue uzależniona jest od jakiejś formy zniekształcenia

dniem i przerażających iluzji
nocą, co jest wystarczającą obroną
przed większością ludzi. W końcu
wyczuł wyłom na zachód od siebie,
gdzie drogę przecinał strumień.
Nie był głęboki, lecz dość
szeroki.

To będzie jego wejście. Wiedział
bowiem, czego nie wiedzieli
ludzie, że woda, płynąca woda nie
przewodzi zniekształceń ani
iluzji. Stąd właśnie brały się
dawne wierzenia, że złe moce można
zatrzymać, gdy wejdzie się do
płynącej wody. Znalazł swoją bramę
i wie już, gdzie trzymają straż
wartownicy wokół niego.

Pozostawiwszy na czatach własny
niepokój, Merlin jeszcze raz
zapadł w drzemkę.

Gdy nastał świt, Merlin wyczołgał
się spod krzaka. Zjadł trochę
swoich zapasów, po czym ruszył na
zachód. Nim słońce rozeszło po
niebie swoje ostrzegawcze barwy,
był już przy strumieniu. Tam,
gdzie do wody dochodzi stara
droga, ułożony był szereg z
kamieni. Merlin jednak z nich nie
skorzystał, lecz zanurzył się w

wodę w równej odległości od
każdego z zalesionych brzegów.
Brnął po kolana w wodzie tak
czystej, że widać było kamienie na
dnie. Przed sobą niósł różdżkę
zakończoną dwoma gwiazdnymi
obiektami. Różdżka pozostawała w
poziomej pozycji, aż wszedł w las,
gdzie pochylające się ponad wodą
drzewa tworzyły zielony tunel.
Wszystkie zmysły Merlina były
czujne. Dostrzegał ruchy małych
żyjatek, które stanowią część tego
świata, lecz ani śladu tych istot,
które skradały się nocą. Nagle
różdżka wygięła się w jego dłoni
tak, że jej końce zbliżyły się do
siebie. Klejnot wskazywał kierunek
lekko na wschód. Te dziwne dary
spoza Ziemi dobrze się spisały -
wskazały prostą drogę do siedziby
Nimue. Merlin nie opuścił jednak
wody, chciał pozostać w niej tak
długo, jak to możliwe.
Zakończony klejnotem koniec
różdżki powoli wracał do dawnej
pozycji, aż wreszcie Merlin znów
trzymał poziomy drażek. Dotarł do
miejsca na wprost twierdzy. Przed
nim strumień skręcał w prawo tak

gwałtownie, że Merlin pomyślał, iż nie jest to dzieło natury. Jego domysły potwierdziły się, gdy ujrzał stare, porośnięte mchem skały zgrupowane w jednym miejscu. Strumień był tutaj dużo węższy, jakby woda przeciskała się przez śluzę. Prąd był silniejszy, woda stawiała opór i zmywała piasek i żwir tak gwałtownie, że buty Merlina ślizgały się na kamieniach. Teraz rozsądek nakazywał zbliżyć się do jednego z brzegów, gdzie można złapać się zwisających krzewów i pnączy, aby w ten sposób uchronić się przed upadkiem.

Merlin posuwał się bardzo powoli, ale nie miał zamiaru wyjść z wody, która stanowiła ochronę, choć niewielką. Wreszcie ujrzał promienie słońca tańczące po wodnej tafli, dużo większej niż ta odnoga, która go tu przyprowadziła. Chwilę później stał, ssąc skaleczony kolcem kciuk, i spoglądał na posiadłość Nimue.

To naprawdę Pani Jeziora. Na wyspie, do której przylegało

zaledwie kilka rachitycznych krzaczków - tylko tyle mogło zapuścić korzenie pośród skał - wznosiła się wieża z kamieni, tak ciemna, że można by pomyśleć, iż mijający czas okrył ją ciemną peleryną.

Na dole nie było okien, lecz wyżej wąskie otwory wpuszczwały trochę światła do wewnątrz. Same kamienie nie były przycięte ani powiązane zaprawą na sposób rzymski. Były to raczej skały o nierównej powierzchni, jak te w Miejscu Słońca, choć tak umiejętnie dopasowane, że przy zachowaniu swoich dziwacznych kształtów tworzyły bardzo solidną budowlę. Na prawo od wieży biegła grobla z tych samych kamieni. Urywała się w połowie i Merlin domyślił się, że mieszkańcy twierdzy - kimkolwiek czy też czymkolwiek są - mają jakiś sposób, by chwilowo umożliwić przejście ponad wodą, a wciągnięcie takiego mostu chroni ich przed nieproszonymi gośćmi. Woda w jeziorze była dziwna, połyskująca niezwykłym blaskiem, co Merlin uznał za część silnej

iluzji. Bez wątpienia dla każdego nie obytego z podobnymi rzeczami całe to jezioro i wieża mogły być okryte nieprzeniknioną mgłą, tak jak to opisywano.

Uważnie przyglądał się wieży, która zdawała się być nie zamieszkana. Wyglądała na dawno opuszczoną ruinę. Jednak różdżka w jego dłoni wygięła się i zaczęła się wrywać. Był przekonany, że gdyby ją puścił, zostałaby przyciągnięta poprzez wodę do potężnego źródła energii. Teraz musi pokonać tę odległość i to całym swoim ciałem.

Po lewej stronie drgania tafli wody stawały się coraz wyraźniejsze. Merlin nagle wyczuł niebezpieczeństwo. Rzucił się na brzeg, ostrożnie obserwując to dziwne zachowanie jeziora. Z wody wyłonił się monstrualny łeb, rozwarte szczęki i ociekające wodą, groźne kły, ostre niczym miecze.

XV

To nie była iluzja. Potworna

bestia była prawdziwa, choć nie należała do żadnego znanego Merlinowi gatunku. Merlin przypomniał sobie informacje ze zwierciadła, że równoległe do tego świata istnieje wiele innych, a ściany między nimi czasem stają się cieńsze. Przez przypadek lub wskutek jakiegoś nagłego wyzwolenia energii żyjąca forma z jednego świata może zostać wciągnięta do innego. Stąd biorą się różne opowieści o groźnych potworach i smokach zabijanych przez dzielnych bohaterów. Chociaż ten wodny potwór mógł pochodzić nie z tego świata, nie był przez to mniej niebezpieczny. Merlin był pewien, że ten mieszkaniec jeziora jest częścią systemu obronnego Nimue. Bestia przysunęła się do brzegu z zatrważającą prędkością, jej łeb z groźnie uzbrojoną szczęką wystawał ponad powierzchnię wody, z pyska wydostawał się złowrogi syk i smrodliwe wyziewy. Merlin obrócił różdżkę i zaczął trząść nią niemal z taką częstotliwością, jaką wykorzystywał podczas stukania

ostrzem po kamieniu.

Oczy potwora, usytuowane w tyle wąskiej, pokrytej łuskami czaszki, nie wpatrywały się już w niego tak intensywnie. Zostały otumanione ruchem różdżki. Merlin poczuł ulgę. Ta istota nie jest zbyt obca, by ulec zabiegom, które dawno temu stosował wobec leśnych stworzeń.

Głowa bestii przechyliła się lekko w prawo, potem w lewo, jeszcze raz w prawo i nie wykazywała już zainteresowania Merlinem, lecz całą uwagę skupiała na drganiach różdżki. Opanowawszy w ten sposób owo monstrum, Merlin zaczął badać jego umysł - obcy i wrogi, lecz niezbyt inteligentny, więc podatny na jego zabiegi.

Tak jak wykorzystywał swoje umiejętności wobec ludzi, tak teraz Merlin spróbował podporządkować sobie to stworzenie. Okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczał. Choć różdżka drgała coraz wolniej, potwór nie ruszał się. Jego głowa wciąż się kiwała, a oczy patrzyły tępo, jakby nic nie widząc...

Merlin skorzystał z okazji i zatrzymał różdżkę. Odczekał chwilę, gotów wznowić drgania, gdy tylko potwór się poruszy. Jednak bestia pozostała nieruchoma.

Merlin posłał ostatnią komendę w kierunku tego obcego mózgu. Zwoje, na końcach których zawieszony był łań, zaczęły zanurzać się w wodzie i w końcu fale zamknęły się ponad stworem.

Merlin pomyślał, że mógłby zbliżyć się do wyspy wpław, o ile żaden strażnik z tej przerwanej grobli go nie zauważy. Lepiej jednak nie próbować. Nie wiadomo, jak długo ten węzowaty stwór pozostanie w niewoli umysłu. Ruszył więc najszybciej jak potrafił w kierunku końca grobli. Nie zapominał o obserwowaniu ładu i wody oraz o otwarciu zmysłów na wszystko, co może zdradzać obecność innych strażników.

Przy końcu grobli zatrzymał się i spojrzał poprzez tę pustą przestrzeń na wyspę. Połysk wody był niezwykle silny. Może obecność Merlina uaktywniła jakiegoś strażnika, który teraz z całej

siły próbuje zdezorientować i oszołomić intruza.

Pod stopami Merlina widniały ślady dawnej drogi. Widocznie niegdyś prowadził tędy często uczęszczany trakt. Gdy zaś Merlin spojrział na wieżę, całkiem osłupiał. Mimo całego podobieństwa tych kamieni do megalitów w Miejscu Słońca nie przypominało to żadnej ze znanych mu fortec. Zupełnie, jakby ta ciemna, przysadzista budowla została przeniesiona w ten świat z innego, podobnie jak łuskowaty potwór z jeziora. Już sam widok ciężkich zarysów budowli budził w Merlinie niepokój.

Czy możliwe, że to jakiś rodzaj zniekształcenia obrazu? Merlin nie potrafił na to odpowiedzieć. Tak czy inaczej, nie miał ochoty zapuszczać się ani na tę wyspę, ani do wieży. Jednak akurat w tym przypadku jego chęci zupełnie się nie liczyły.

Znowu zaczął poruszać różdżką. Trzymał ją przed sobą na wyciągnięcie ręki. Jeżeli jego system obronny działa skutecznie, nikt z twierdzy nie może go

wyraźnie zobaczyć za blaskiem różdżki. Nie wyczuwał przed sobą nic prócz pustki, która sama w sobie nie była niczym negatywnym. Dotarł do krawędzi i zauważył rysy na starych kamieniach. Pomyślał, że to dowodzi trafności jego domysłów. Istnieje jakiś sposób, by wypełnić tę dziurę czymś na kształt mostu, który można podciągać i opuszczać. Nie mógł sobie jednak pozwolić na długie pozostawanie na otwartej przestrzeni.

Spojrzał w dół i zobaczył zwalone kamienie, zielone od mułu.

Niektóre wystawały ponad powierzchnię wody, lecz ich wierzchołki były wilgotne i pokryte szlamem. Nie wyglądało to obiecująco.

Połysk wody był tu bardzo intensywny, jednak nie aż taki, by Merlin nie mógł dojrzeć tych "stopni". Aby skorzystać z tej ścieżki musi jednak odłożyć własną osłonę w postaci różdżki i wystawić się na wzrok mieszkańców twierdzy. Przemyślał sprawę i nie znalazł innego wyjścia. Szybko

przywiązał różdkę do pasa, dostatecznie mocno, by jej nie zgubić, bo teraz musiał mieć obie ręce wolne. Wreszcie przechylił się przez krawędź i skoczył, zachowując wszelkie możliwe środki ostrożności, na pierwszy z omywanych wodą kamieni.

Uważnie obserwował wodę. Jeżeli w tym jeziorze są jeszcze jakieś potwory, to jest to odpowiednie miejsce i czas, by się ujawniły. Powierzchnia wody tak błyszczała, że nie mógł dojrzeć, co znajduje się pod nią.

Następny kamień był zielony od mułu i oddalony bardziej, niż wymagałby tego przeciętny krok. Musi przeskoczyć tę przestrzeń - im szybciej tym lepiej. Skoczył, stopy ześliznęły się, lecz oparł się na dłoniach i kolanach, by nie wpaść do wody.

Niewiele brakowało, aby się pogruchotał. Merlin cały trząsł się z wrażenia. Nie może jednak zrezygnować. Kolejny kamień nie jest już tak daleko. I choć jego pęknięty czubek wystający ponad powierzchnię jeziora jest bardzo

nierówny, ten "stopień" wygląda na suchszy.

Podążanie tą drogą wymagało dużej odwagi. Gdy drugi kamień zachwiał się pod jego ciężarem, jakby już miał się przewrócić i zrzucić go do wody, Merlin jeszcze raz pokonał strach. Z tego bloku trudno się odbić, a następny, choć bardziej płaski, jest z kolei obrośnięty szlamem.

Jakoś jednak wykonał ten krok. Serce waliło mu mocno, a pęknięty kamień kiwał się przy każdym ruchu. Merlin przycupnął na trzecim kamieniu, by zaczerpnąć tchu, i rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy nic mu nie grozi. Ostatni skok doprowadził go do początku drugiej części grobli. Stał teraz na małym kawałku skały, na którym ledwo mieściły się stopy. Jego twarz oddalona była zaledwie o kilka centymetrów od ściany, na którą musiał się wspiąć. Sięgnął w górę ręką, nie miał odwagi wychylić głowy.

Nerwowo szukał punktów zaczepienia dla nóg i rąk.

Znalazł je i podciągnął się. Gdy

był już na grobli, przez chwilę nie podnosił się, marząc o tym, by serce wróciło do normalnego rytmu, a wola zapanowała nad emocjami.

Po chwili wstał. Przed nim znajdowało się wejście, lecz nie ujrzał żadnych drzwi. Zamiast tego panowała tu gęsta ciemność, oddzielająca go od wnętrza, jakby jakaś nocna chmura czuwała nad odganianiem światła dnia.

Merlin odwiązał od pasa swoją różdżkę i umieścił ją w ręku klejnotem w górę. Kamień natychmiast skierował się w stronę wejścia, pociągając za sobą różdżkę. Zachowanie gwiazdnego kamyka wyraźnie potwierdzało domysł, że istotnie ciągnie swój do swego i że to, co mieści się w wieży, nie pochodzi z tego świata. Zbliżając się stanowczym krokiem do tego ciemnego przejścia, Merlin próbował wybadać, czy nie oczekuje go tam jakiś strażnik. Może Nimue posiada sługusów i służki, podobnie jak ten stwór z jeziora, pochodzące z innego świata lub czasu?

Jeżeli są tu jeszcze jacyś

strażnicy, to z pewnością posiadają ochronę, której on nie potrafi zrozumieć. Nie odnalazł jednak żadnych śladów, które by świadczyły o istnieniu obcych istot. Stał przed tą zasłoną, która kłębiła się i falowała w otworze. W jednej chwili zrozumiał, że Nimue nie potrzebuje żadnych drzwi ani zamków. Ta chmura jest równie skuteczną barierą co solidny mur. Mimo podejmowanych prób Merlin nie mógł wykonać następnego kroku.

Nie miał jednak zamiaru się poddać. Wyjął z woreczka przy pasie ostatni ze swych skarbów - kawałek metalu od Lugaida. Przy odpowiednim nacisku i woli można go wygiąć. Merlin użył całej swojej siły i owinał go wokół końca różdżki. Po chwili gwiazdny kamień pokryty był błyszczącym metalem.

Im bliżej podchodził do drzwi z chmury, tym metal świecił silniejszym blaskiem. Wreszcie, jak wojownik włócznią, Merlin cisnął nim wprost w środek ciemności. Odpowiedzią był tak

jasny snop światła, że na chwilę oślepił Merlina. Jednocześnie gdzieś w górze rozległ się dźwięk przypominający grzmot pioruna. Merlin zasłonił dłonią oczy, by przywrócić im zdolność widzenia. Wejście było otwarte. Choć dalej nie docierało słońce, we wnętrzu bez okien jaśniało światło innego rodzaju, inne niż światło lampy czy pochodni, znacznie jaśniejsze. Trzymając różdżkę przed sobą, Merlin przestąpił próg. To olbrzymie pomieszczenie, zajmujące z pewnością cały dolny poziom twierdzy, przypominało mu jego pierwszą wizytę w jaskini. Podobnie jak w jego grocie, było tu mnóstwo różnych urządzeń. Niektóre z nich były podobne do tych przy jego zwierciadle. Inne były mu obce. I nie znalazł tu lustra. W jakikolwiek sposób Nimue otrzymuje swoje instrukcje, niewiele różni się on od jego metod. Nie było tu żadnych form życia, z wyjątkiem jego własnego, nic, co mógłby wyczuć. Przy przeciwległej ścianie znajdowały się kręte,

kamienne schody prowadzące na górę. Przeszedł między połyskującymi skrzyniami. Pośród tych sprzętów poczuł się trochę pewniej. Zaczął wchodzić po schodach na piętro, na którym były okna. To mocne światło we wnętrzu pochodziło z długich prętów wbudowanych w ściany, lecz znajdowały się one tylko na dolnym poziomie. Gdy przez otwór w podłodze dostał się na górę, powitało go nie tylko dużo słabsze, przytłumione światło wpadające przez okna, lecz również dobrze mu znana woń. Były to zapachy ziół i wywarów. Rozpoznał niektóre z nich, takie same, jakie sam zbierał i suszył w swoim pokoju.

Długa zasłona przedzielała ten okrągły pokój na dwie części. Z jednej strony znajdowały się stołki, stół, girlandy suszonych ziół na ścianie, komoda, ponad nią półki z garnkami i naczyniami. Patrząc na to wszystko, Merlin poczuł się jak w domu. Jednak w tej części było jeszcze coś, co dało się wyczuć przy

pomocy dodatkowego zmysłu. Zapach ziół nie całkiem tłumiał inny odór, który wcale nie należał do przyjemnych. Ktoś wytwarzał tu iluzje, lecz było to połączone z medykamentami, których Merlin nie odważyłby się stosować. To był fetor zła, perfidnie tłumiony, lecz wyczuwalny.

Merlin przeszedł do drugiej części pomieszczenia. Znajdowało się tutaj łoże z pościelą o barwie szafranu wpadającego w złoty odcień. Ponad nim rozciągnięta była kapa w tonacji głębokiego złota z wymyślnym haftem koloru morskiej zieleni, w który, tu i ówdzie, wpleciono perłę. Ściany zdobiły wzory haftowane złotą nicią na zielonym tle. Nie przedstawiały jednak baśniowych bestii, myśliwych czy innych motywów popularnych na królewskim dworze. Te kontury były raczej ostre, opierały się na kątach i kwadratach połączonych w znajomy Merlinowi sposób.

W swoich snach o miastach widywał malowidła podobne do tych. Były niezwykle. Im dłużej na nie

spoglądać, tym większy budzi się w człowieku niepokój, że w tych liniach tkwi coś, co obserwuje i skrada się w niecnym zamiarach. Merlin w ozdobach nie dostrzegł jednak nic konkretnego oprócz samych linii.

Stała tu też komoda, wyrzeźbiona podobnie jak łóżko, a na niej leżało oparte jednym końcem o ścianę lustro. Zwierciadło! Merlin ostrożnie przeszedł przez pokój, uważając, by błyszcząca tafla nie odbiła jego postaci. Całkiem możliwe, że to pułapka i że po powrocie Nimue może ujrzeć w lustrze odbicie każdego intruza. Gdy jednak podszedł dostatecznie blisko, upewnił się, że nie jest ono takie samo jak zwierciadło w jaskini, że to jedynie przedmiot pomagający w kobiecym upiększaniu się.

Ta część górnego pomieszczenia pozbawiona była owego zła, które wyczuwał w tamtej części. Doszedł do wniosku, że jest to tylko sypialnia Nimue. Ponieważ nie ma już drogi na górę, to znaczy, że wieża zawiera tylko te dwa

pomieszczenia.

Nie zauważył żadnych śladów służby. Widocznie Nimue mieszka sama - nie licząc tych, którzy nie potrzebują mieszkania, a prawdopodobnie też nawet żywności ani picia.

Powrócił do sypialni. Jeszcze raz przyjrzał się akcesoriom uzdrowicielki, po czym znowu rozhuścił swoją różdżkę. Skierował zasłonięty metalem kamień ku ścianie i obracał się bardzo powoli, tak, by móc zauważyć najmniejszy ruch swego przyrządu. Różdżka jednak ani drgnęła.

Niepokojące go tu zjawisko nie ma związku z przedmiotami z gwiazd. To, czego szuka, musi być na niższym poziomie. Powrócił więc do zatłoczonego pomieszczenia na dole.

Najbardziej pragnąłby całkowicie zniszczyć wszystko, co się tu znajduje. Możliwe jednak, że są tu zabezpieczenia, o jakich nawet nie ma pojęcia. Powoli wszedł pomiędzy maszyny, zwracając szczególną uwagę na te, które w jakiś sposób różniły się od znanych mu - jeśli

nie całkiem zrozumiałych - z jaskini.

Stały tu trzy takie urządzenia. Jedno ustawione pionowo, trochę wyższe od Merlina. Przednia płyta różniła się od innych, wykonanych z gładkiego metalu. Była pofałdowana i wykonana z surowca przypominającego matowe szkło. Różdżka w ręku Merlina drgnęła. Nim zdołał ją pochwycić, końcówka z klejnotem i metalem uderzyła o tę płytę na wysokości piersi Merlina.

Choć płyta nie została zniszczona, zaszła w niej dziwna zmiana.

Wewnętrzna warstwa zaczęła jakby odpływać, odsłaniając to, co stało za nią. Co stało...

Merlin wstrzymał oddech. Patrzył na kobietę podpartą w pionowej pozycji w szafie czy czymś podobnym. Chociaż jej oczy były otwarte, nie dawała znaku życia. Gdyby nie była tak bardzo naturalna, Merlin pomyślałby, że to posąg.

Rude włosy opadały długimi, ozdobionymi wstążką warkoczami wzdłuż ramion, kontrastując z

wyraźnym błękitem tuniki. Szyję ozdobił naszyjnik, a na jednym z nadgarstków widniała brązowa bransoleta. Dziewczyna wydała się Merlinowi młoda, choć widać w niej było jakąś dojrzałość, jakby dobrze już знаła smak cielesnych rozkoszy.

Z początku myślał, że patrzy na zakonserwowane zwłoki. Przyjrzał się jednak dokładniej, nawet odważył się dotknąć palcem przezroczystej już płyty. W odpowiedzi przez twarz dziewczyny przemknął lekki grymas. Stała tam cała zanurzona w cieczy, tak jak on leżał kiedyś chroniony przez zwierciadło po to, by przeżyć na przekór Nimue.

Przypomniał sobie pogłoski o tym, że Nimue sprowadziła tu Morgane, córkę Utera. Ale ta osoba to przecież dopiero dziewczyna! Nie może być matką Modreda, w pełni dojrzałego młodzieńca... Chyba że została tak uwięziona wkrótce po urodzeniu syna. Gdy Merlin dokładniej się jej przyjrzał, zauważył ślady podobieństwa do Utera, ale z pewnością nie do

ciemnobrewego Modreda!

Czemu Nimue tak przetrzymuje swojego więźnia? Pani Jeziora musi mieć jakieś plany związane z córką Utera. Nie taką, jaką byłaby, gdyby czas oszczędził się z nią jak z każdym człowiekiem, lecz z kobietą, jaką była, gdy Uter odesłał ją ze swego dworu. Merlin nie wątpił, że są to ciemne sprawy. Dokładnie zbadał skrzynię, szukając zamknięcia. Zdawała się być zapieczętowana na wszystkich czterech rogach i na górze. Może to jakiś rodzaj kufra, który można otworzyć tylko magicznym słowem, wypowiedzianym odpowiednim tonem. Choć żał mu było śpiącej dziewczyny, nie widział możliwości jej uwolnienia.

Co dziwne, ta matowa pokrywa, którą usunęła jego różdżka, zaczęła powracać na swoje miejsce, pokrywając powierzchnię skrzyni jak szron pokrywa kamień. Warstwa stawała się coraz grubsza, a Merlin nawet się ucieszył, bo im mniej pozostawi po sobie śladów, tym lepiej.

Minał dziwne więzienie Morgany i

podszedł do przedmiotu wykonanego z cienkich drucików połączonych wstęgami z metalu. Było to podobne do korony nakrycie głowy.

Od czubka tej korony odchodziły druty do wysokiego słupa stojącego z tyłu i niknęły w jego głębi.

Przed słupem, od strony Merlina, znajdowała się ławka, na której spoczywała owa korona. Merlin rozważył błyskawicznie wszystkie możliwości. Nagle się ożywił. On posiada zwierciadło i głos, a ta korona może być przyrządem do komunikowania się, takim, jak jego zwierciadło! Jeśli tak....

Ominął słup i stanął za nim. Słup był zupełnie gładki i sięgał niemal sufitu. Między jego szczytem a pułapem widniała szczelina równa połowie długości różdżki Merlina. Kilka połyskujących prętów grubości małego palca, i o różnych długościach, wciskało się w przestrzeń z czubka kolumny.

Nawet w swoich snach o utraconych miastach Merlin nigdy nie widział czegoś podobnego. Jeśli jednak jest to ogniwo łączące Nimue z

tymi, którzy dyktują jej zadania na tej ziemi, i jeśli da się to zniszczyć...

Merlin odczuwał wielki szacunek do wszystkiego, co wykonali Mieszkańcy Gwiazd, a przy tym tak mało wiedział

o ich wyrobach. Żadnym z takich przyrządów nie posługiwał się na co dzień i nie miał ochoty podejmować związanych z nimi decyzji. Rozumiał jednak, że oto nareszcie ma szansę doprowadzić do największej porażki swojego wroga. Różdżka ostrzegła go przed energią wewnątrz kolumny, i to tak potężną, że nie odważył się sprawdzić jej mocy.

Reakcja była jednak dużo słabsza, gdy skierował pozaziemski klejnot w stronę korony na ławce. Druty łączące koronę ze słupem wyglądały na bardzo wątłe.

Merlin wziął głęboki oddech. Nawet jeśli obudzi taką siłę, że sam zostanie zmieciony w śmierć, to pokonanie Nimue i tych, którzy za nią stoją, warte jest takiego poświęcenia. Wykonał już powierzone mu zadania. Nadajnik

jest ustawiony, by sprowadzić tutaj krewnych, a Artur wie, czego od niego wymagają. Zatem śmierć teraz nie miałaby wielkiego znaczenia, o ile zabrałby ze sobą najważniejsze narzędzie Nimue. Powoli, z uwagą, wykorzystując całą swoją wiedzę, Merlin posuwał końcem różdżki wzdłuż powierzchni ławki. Wreszcie różdżka leżała bezpośrednio pod drutami prowadzącymi do kolumny, nie dotykając ich jednak. Wtedy, tak jak czynił to z ostrzem noża, gdy podporządkował swej woli Królewski Kamień, zaczął stukać końcem różdżki. Równocześnie śpiewał niskim głosem. Stuk - śpiew - stuk...

Nie poruszył się, by dotknąć korony, lecz skoncentrował na miejscu jej spoczynku. Powoli korona uniosła się z ławki. Podnosiła się podskokami, jakby jakaś świadoma istota opierała się jego woli. Była już ponad jego głową, druty mocno naciągnięte jak napięte struny harfy... Merlin nie wahał się. Stuk - śpiew - stuk...

Poczuł, że poza zasięgiem jego umysłu zbierają się jakieś istoty. Skradają się niewidoczne, poruszają na poziomie niedostępnym ludzkim oczom. Nie zwracał na nie uwagi, koncentrując całą swoją uwagę na tym, co robi.

Korona gwałtownie pociągnęła przytrzymujące ją druty. Opadła na chwilę, by znów gwałtownie się poderwać. Druciane więzi mocno trzymały. Merlin jednak nie rezygnował.

Rozległ się ostry dźwięk dzwonka. Jeden z drutów w końcu się zerwał i zwisał teraz, uderzając o kolumnę. Korona, z jednej strony wyzwolona, wykonywała gwałtowne zwroty i wykręty, by wyrwać się z uwięzi, jak życzył sobie tego Merlin.

Kolejne szarpnięcie. Przytrzymuje ją tylko jedna nić. Merlin nie pozwolił, by uczucie triumfu zakłóciło jego pieśń. Korona zanurkowała jak ptak na uwięzi. Niemal musnęła twarz Merlina, jakby odrzucała jego rozkazy i miała zamiar go zaatakować. Merlin nie cofnął się, jego stukanie

stało się jeszcze silniejsze, podniósł ton i wymówił donośne słowo.

Korona odleciała od niego, jakby chcąc uciec przed przeznaczeniem, jakie jej zgotował. Zawirowała ponad jego głową i nagle pękł ostatni drut. Teraz korona utraciła swoją wartość. Upadła do stóp Merlina, a on uważnie postawił na niej but i zgruchotał całą tę delikatną konstrukcję, zmieniając ją w masę zwykłego żelastwa. Ruszył dalej, a przed sobą niósł na różdżce tę gmatwaninę drutów, starając się ich nie dotykać gołymi rękoma. Ostatnim urządzeniem, którego przeznaczenia Merlin nie rozumiał, była inna kolumna, tym razem bez korony, bez drutów, nawet bez świateł z przodu. Nic z tym nie potrafił zrobić. Istoty, których obecność wyczuwał podczas walki z koroną, stawały się coraz bardziej aktywne.

Nie znał ich, czuł jedynie, że w jakiś sposób są one pokrewne strażnikom z lasu. Jego siła wewnętrzna została poważnie

osłabiona tym zmaganiem z koroną, wydawało mu się więc, że lepiej już spotkać się z jakimś atakiem na zewnątrz niż w murach tej fortecy. Tutaj niewidzialni napastnicy mogą zebrać energie, których on nie potrafi zlokalizować. Pomimo władzy Nimue nad tą częścią lasu, Merlin posiada siły, które sama ziemia nakarmi i zasili.

Wybiegł z oświetlonego pomieszczenia głównym wyjściem. Gdy dotarł do przerwy w grobli, odwrócił się i cisnął resztki korony daleko do jeziora.

Połyскуюjąca woda połknęła je. Może lepiej byłoby zakopać je w ziemi - pomyślał - bo ta woda jest w posiadaniu wroga, lecz w tym momencie Merlin potrzebował wolnych rąk.

To, co się stało, zaskoczyło go tak bardzo, że na chwilę oniemiał z wrażenia. Był przerażony myślą o powrocie po oślizgłych kamieniach. Nie tylko wiedział, że jest przedmiotem cichego ataku skierowanego przeciwko jego wewnętrznym zasobom energii, lecz

również obawiał się otwartego spotkania z leśnymi sługami Nimue. Na tych śliskich kamieniach mógł łatwo paść ich ofiarą.

Gdy jednak odwrócił się, by spojrzeć na ład, zauważył coś, co nie było iluzoryczną mgłą na wodzie, lecz zwisało ponad powierzchnią niczym ledwo widoczne ogniwo między dwiema częściami grobli. Gdyby woda utworzyła most - pomyślał Merlin - wyglądałby on właśnie tak.

Czy ośmieli się temu zaufać? To może być perfidna pułapka.

Pomyślał jednak, że może to sprawdzić. Wychylił się trochę w przód, wyciągnął swoją różdżkę, by dotknąć tego, co ledwie mógł dojrzeć. Koniec różdżki skierował się w dół i uderzył o powierzchnię, która nie była iluzją. Uderzając ostrożnie przed sobą końcem różdżki, Merlin wszedł na niewidzialny most. Zmuszał się do patrzenia nie oczyma, lecz umysłem. Musiał wierzyć, że ma grunt pod stopami, nawet jeśli wygląda to na powietrze.

XVI

Nie czuł się pewnie, przechodząc przez jezioro, choć różdżka informowała, że stąpa po solidnym moście. Gdy znalazł się już po drugiej stronie grobli, którą nie tylko czuł, lecz również widział, Merlin odetchnął z ulgą. Nie był to jednak odpowiedni moment, by zmniejszać czujność.

Miał przed sobą jeszcze ciemny las, przez który prowadził ślad tej bardzo starej drogi. Nagle wytężył zmysły. Nareszcie wyczuł tych dziwnych strażników, którym Nimue powierzyła ochronę swych włości. Oto zbliżają się ścieżką na wprost. Pozostaje jeszcze droga, którą tu przyszedł, czyli strumień. Wciąż miał jednak w pamięci obraz potwora i ponowne zanurzenie się w wodzie dopływającej do tego jeziora wymagałoby od Merlina niezwyklej odwagi.

Czarownik wszedł do strumyka. Trzymał przed sobą różdżkę i wypatrywał drgań, które - w połączeniu z sygnałami wysyłanymi

przez dodatkowy zmysł - ostrzega przed zbliżającym się atakiem. Woda w tym miejscu nie była tak czysta, jak w dolnym biegu strumienia, a gdy szedł, potykając się i ślizgając po wyboistym dnie, sprawiał, że stawała się jeszcze bardziej mętna.

Był już dość daleko, w pobliżu zakrętu, za którym ten dopływ staje się normalnym strumykiem, gdy różdżka w jego dłoni mocno drgnęła. W tej samej chwili nagłe ostrzeżenie dodatkowego zmysłu kazało mu gwałtownie odwrócić się. Spodziewał się ujrzeć potwora, może tego samego, którego uwięził w jeziorze. Ale nie... nie kobietę, stojącą na wodzie, jakby jej sandały znajdowały solidne oparcie.

Uśmiechnęła się kusząco. Podobnie jak owej nocy, gdy ścisnął wykopany z grobu miecz, tak i teraz Merlin patrzył na Nimue. Nie próbowała zasłaniać swego smukłego, jasnego ciała o kobiecych kształtach. Odrzuciła nawet w tył pelerynę, by swobodniej prezentować swe

wdzięki. Była zupełnie naga, jeśli nie liczyć przepaski na biodrach z kamyków białych jak jej ciało, dwóch szerokich bransolet z tych samych kamieni oraz łańcucha na szyi z wisiorkiem w kształcie sierpu nowego księżyca, który zwisał pomiędzy dumnymi wzgórkami jej piersi. Potrząsnęła głową z udawanym rozbawieniem, tak, jak można by zwrócić się do dziecka, które postąpiło źle z powodu własnej niewiedzy.

- Merlinie. - Jego imię zabrzmiało jak westchnienie wiatru, a usta kobiety nie poruszyły się. Ten drobny znak podpowiedział mu, czym ona może być. Podniósł różdżkę i rzucił, jakby rzucał włócznie na polu bitwy.

Czubek zakończony kamieniem i metalem przeszył postać pomiędzy piersiami, dokładnie pod wizerunkiem księżyca. Zakotłowało się w powietrzu i po chwili po Nimue nie było ani śladu. Iluzja! Jednak fakt, że owa iluzja wymówiła jego imię, był bardzo niepokojący. Nimue musiała podejrzewać, że on tu przyjdzie,

bo inaczej nie przygotowałyby takiego przywidzenia. A może wie z daleka o jego wizycie, z samego Kamelotu?

Tak czy owak Merlin miał się czym przejmować. Potrafi obchodzić się rozważnie i pewnie ze wszystkim innym na tym świecie, ale ta kobieta budzi w nim pożądanie. Sprawia, że staje się nieporadny niczym jakiś niedoświadczony młodzik. Nie jest to Moc, którą ona przyzywa i włada tak, jak on przyzywa i włada mocami. Nie, to jest coś subtelniejszego, zupełnie inne oddziaływanie, które budzi w nim męczyznę, niezależnie od tego, jak opierałby się swoim tęsknotom. Wiedział, że żądze zagrażają jego potędze i że byłby dużo słabszy, gdyby im uległ. Jeszcze przez dłuższą chwilę od zniknięcia iluzji Merlin stał nieruchomo w miejscu, jakby spodziewał się, że ujrzy ten obraz ponownie. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Teraz poczuł się jak ścigany zbieg. Ruszył tak szybko, jak tylko mógł, by wydostać się z tego piekielnego lasu.

Czy Nimue wie już, jakie szkody wyrządził w jej twierdzy? W tym momencie był skłonny przypisać jej wszelką wiedzę. Czy zniszczenie korony pokrzyżowało jej plany? Tak niewiele wie, a pragnąłby wiedzieć jak najwięcej!

Poruszał się równym krokiem, serce dudniło w piersiach, oddech stawał się coraz szybszy. Merlin rozglądał się na wszystkie strony, a w rękę mocno ścisnął różdżkę, by móc poczuć pierwsze drgnienie, jakie wyda. Zdawało mu się, że pod drzewami, po obu stronach strumienia, zebrał się mrok i zaczął gęstnieć, kłębić się, niemal jak zasłona, którą pokonał w wieży. A co czai się za tym? Zatrzasnął drzwi swojej wyobraźni, nie może pozwolić sobie na takie myśli. Takie wyczekiwanie ataku często oznacza umożliwienie go. W lesie nie odzywał się żaden ptak. Merlin nie wyczuwał najmniejszych oznak życia zwierząt. Gdy nic więcej nie stanęło mu na drodze, zaczął wierzyć, że obraz Nimue był przypadkowy. Stworzyła go,

ponieważ spodziewała się, że któregoś dnia Merlin może się tu wybrać, a nie dlatego, że przewidziała jego dzisiejszą wyprawę.

Jej księżycowy naszyjnik... Znał go. Nie z nauk zwierciadła, lecz z legend ludu swojej matki. To znak Jednej z Trzech, które w dawnych czasach były wybierane, by służyć Matce Ziemi. Zawsze były to:

Dziewica z nowym księżycem, Matka z księżycem w pełni i Stara Kobieta z ubywającym księżycem.

Czemu Nimue wybrała ów archaiczny symbol? Tereny wokół fortecy są niemal zupełnie bezludne i Merlin wiedział, że tutejsi mieszkańcy zachowują dawne wierzenia.

Możliwe, że wielu, może głównie kobiety, potajemnie czci Dawną Boginię. Na tę myśl przez kark przebiegł mu dreszcz. To wyjaśniałoby ten lekki fetor zła, który dał się wyczuć w komnacie z ziołami, ostrzeżenie, tak zakamuflowane, że nie potrafił go odczytać.

Merlin odetchnął z ulgą, gdy wreszcie wyszedł spod

przygnębiającego baldachimu drzew. Nie mógł jednak liczyć na towarzystwo słońca. Dopiero, gdy był już w znacznej odległości od skraju lasu, usiadł, by się posilić. Jego odzienie i buty kleiły się do ciała.

Tej nocy będzie pełnia - dojrzały, żółtobiały księżyc na niebie.

Merlin zliział okruchy chleba z ust. Był bardzo zmęczony. Dopiero teraz poczuł, jak dużo energii zużył na zniszczenie korony. Czuł się tak słaby i wyczerpany, że dalszy marsz wydawał mu się co najmniej nierozsądny. Wciąż jednak, nawet tutaj, nie czuł się bezpiecznie. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, z różdżką na kolanach i nagle uświadomił sobie, że nasłuchuje, nasłuchuje z niecierpliwością, której sam nie rozumie. Nasłuchuje czego? Kogo? Zmierzch odpłynął, a on wciąż siedział i wyteżał wszystkie zmysły. Raz po raz spoglądał na ciemną plamę lasu, lecz to nie stamtąd pochodziło uczucie niepokoju. Obserwował też otwarte przestrzenie wokół niego. Pewien

był, że zostały one wykarczowane przez ludzi, a potem zwrócone przyrodzie. Zarośla i krzewy już zaczęły porastać teren dawnego lasu.

Merlin usłyszał odgłosy lisa, potem szelest jakiegoś ptaka kołującego nad jego głową, który chyba wybrał się na polowanie. Noc znowu żyje i to życie jest czymś normalnym. Czemu więc siedzi taki spięty? Na co czeka?

Co chwila spoglądał na różdżkę. Biały drążek był ledwie widoczny, a klejnot i metal na jego końcu nie błyszcząły. Zaczynał wierzyć, że cokolwiek mu grozi, nie jest to broń Nimue, przynajmniej nie broń pozaziemska. Chwilami próbował zasnąć, zapaść w lekką drzemkę, jak poprzedniej nocy, lecz ten wewnętrzny strażnik w jego umyśle nie pozwalał się zignorować.

Księżyc wpłynął na niebo. Okrągły, jak kawałek rzymskiego złota zaczepiony na firmamencie, by przyćmiewać gwiazdy swoim blaskiem. Wtedy, gdzieś bardzo daleko, zaczęło się jakieś zamieszanie, którego Merlin nie

słyszał. Odbierał jedynie swoim wewnętrznym zmysłem wibrację ziemi i powietrza. Drgania stawały się coraz silniejsze, aż wreszcie nie tylko je czuł, ale również słyszał.

Najpierw usłyszał dziwne wycie. Poczul, jak włosy na karku stają mu dęba, oddech przyśpiesza, a serce wali, jakby chciało wyrwać się z piersi. Choć Merlin znał słowa Mocy i wiedział, jaką mogą przybrać postać, jednak to coś było mu całkiem obce. Było coś niesamowitego i dzikiego w zawodzeniu, w którym wciąż nie potrafił wyróżnić słów. Dawne, dawne - podpowiadała mu jego wiedza - z bardzo dawna. To nie pochodzi od Mieszkańców Gwiazd, lecz z młodej Ziemi, z czasów przed przybyciem statków z gwiazd. Zawodzenie rozerwało się w serię ostrych krzyków. Wreszcie Merlin zrozumiał. To polowanie przy księżycu, a on jest ofiarą. Bogini, której symbol nosiła Nimue w iluzorycznej wizji, posiada również swoją ciemną stronę. Ta część jej charakteru wymaga, by

ludzie przelewali krew swojego gatunku. Ta bogini ma dwa oblicza oraz trzy postaci. Jej druga twarz zwrócona jest ku Ciemności, której ludzie zawsze się bali i zawsze starali się jej przypodobać.

Wielka Matka - i Wielka

Niszczycielka - ludzkości!

Merlin zrozumiał, że jeśli ulegnie pierwotnym instynktom, poniesie porażkę. Dwukrotnie przełknął ślinę, starając się opanować głośnie bicie serca, zebrać całą swoją wiedzę i moc. Musi istnieć sposób, a z pewnością nie jest to ucieczka. Bo gdyby zaczął uciekać...

Potrząsnął głową. Tak, jest sposób! Odpowiedź spoczywała w odległym zakamarku umysłu, przywalona wiedzą zdobytą ze zwierciadła. To nie ma nic wspólnego z lustrem, pochodzi wyłącznie z tego świata.

Wielka Matka i jej kapłanki, które zraszają ziemię krwią ludzi.

Wielka Matka i ...

Z tego zakamarka pamięci Merlin wydobył coś, co opowiedział mu Lugaid dawno temu. Matka miała

rywala. Później ten rywal został jej partnerem: Rogaty Bóg, któremu myśliwi składali ofiary, by pomógł im odnaleźć łowne stada. Rogaty Bóg... Jak wielką czcią darzą jego owe kapłanki?

Nie ma czasu na zastanawianie się. Może albo uciekać - przed czym przestrzega jego natura i on sam wie, że ucieczka obróciłaby się przeciwko niemu - albo pozostać. W tej sytuacji będzie musiał wytworzyć najsilniejszą z dotychczasowych iluzji. Musi ona być potężna, bo potęga Matki jest większa niż jakakolwiek siła, z jaką wcześniej się zetknął.

Merlin wstał. Z rozwagą, najlepiej jak mógł, odciął się od krzyków myśliwych. Z każdym wykonywanym wdechem zastanawiał się, czy jego władza nad własną mocą nie została zbyt naruszona tym, czego dokonał w twierdzy. Nie ma teraz przed sobą zwierciadła, w którym mógłby sprawdzić swoją iluzję. Może tylko utrzymywać ten obraz w umyśle.

Były już tak blisko, że widział ich białe, miotające się pomiędzy zaroślami ciała i rozwiane włosy.

Były nagie, jak Nimue, tylko z naszymi z żółędzi. W tej hordzie znajdowały się kobiety w różnym wieku: ledwie dojrzałe dziewczęta, matrony z obwisłymi piersiami, które już wykarmiły potomstwo, oraz staruchy tak leciwe, że ich skóra w świetle księżycy wyglądała jak pomarszczona powłoka.

Gdy się zbliżyły, ich wrzaski ucichły. Ich twarze wyrażały tylko szal, będący ciemną częścią ich bogini. Oczy płonęły dziką żądzą krwi, taką, jaka była potrzebna do zamordowania Zimowego Króla.

Merlin wiedział, że nie może sobie pozwolić na myślenie o czymś innym, jak tylko o iluzji, w którą się przyodział.

Pierwsza z kobiet podeszła, lecz reszta zawahała się, jakby nie bardzo wiedziały, z czym mają do czynienia. Jeżeli jego moc działa, to nie widzą człowieka, tylko ciemną postać z rogami jelenia na uniesionej głowie. Postać, która nie okazuje strachu przed ich dzikością, bo sam Rogaty Myśliwy pochodzi z ziemi, nieba, z tej

samej krainy.

Przywódczyni gromady prychnęła.

Była to wysoka kobieta z obwisłymi piersiami, przepasana wokół bioder opaską z tarczą księżyca w pełni.

Dwukrotnie rzucała się na niego ze swoimi długimi pazurami, gotowymi oderwać ciało od kości, lecz nie zadała ciosu. Reszta trzymała się z tyłu, spoglądając niepewnie to na Merlina, to na swoją kapłankę.

Merlin podniósł różdżkę. Choć przedmioty z gwiazd nie działają na takie istoty, jednak z tym drażkiem w ręku czuł się pewniej.

Przemówił:

- Nie polujecie na mnie, kobiety Bogini. - To nie było pytanie, ale stwierdzenie. - Możecie użyźnić ziemię, zasiać w niej ziarno, zebrać plon. Lecz to ja władam tym, co biega po ziemi.

Patrzcie...

Wskazał swoją różdżką w lewo. Stał tam, warcząc, wielki Straszny Wilk, zwierzę, jakiego nie widział żaden z żyjących. Potem Merlin zwrócił się w prawo, gdzie przycupnął olbrzymi kot z długimi kłami i prychnął złowrogo.

Kobiety za plecami kapłanki cofnęły się. Ona jednak ani drgnęła i obnażyła zęby w tak groźnym warczeniu, jak u obserwowanego kota.

- Myśliwy! - rzuciła. - Nie próbuj sprzeciwić się Matce!

Nie jestem myśliwym - odparł Merlin. - Jestem Tym Myśliwym.

Matka mnie zna, bo ja również należę do jej trzody. Nie jestem Wiosennym Królem, by dzielić z nią łożę tylko jeden sezon. Spójrz na mnie, kapłanko. Jestem z dzikiej natury i w naturze tej dojrzewa mój gniew. Ty służysz swojej Matce, ja nie zginam kolan w jej świątyni. Przeto nasze moce się równoważą, panuje między nami równowaga. Czyż nie jest tak?

Bardzo niechętnie kapłanka przytaknęła. Nie wyzbyła się jednak zawziętości.

- Polujemy, gdy Matka jest zagrożona - stwierdziła.

- Czy to ja jej zagrażam, kapłanko? Po raz pierwszy wyglądała na niepewną.

- Może... Może to nie ciebie szukamy.

- Ale to do mnie przywiodłaś swoje stado - odparł Merlin. - Nie życzę twojej pani źle, bo zarówno ona, jak i ja służymy mocom pochodzącym z Ziemi. Szukaj gdzie indziej swojej ofiary, kapłanko.

Kobieta wpatrywała się w niego ze zdziwieniem. Potem odwróciła się i odeszła, a za nią reszta kobiet. Merlin patrzył, jak się oddalają. Bez wątpienia Nimue miała coś wspólnego z tym atakiem. Czyżby przywołała jedno z najstarszych wierzeń, by zgromadzić wokół siebie nowych wyznawców?

Kobiet już nie było. Znowu słyszał ich bose stopy tupiące między krzakami. Najwyraźniej szukają nowej ofiary. Merlin pomyślał, że nie chciałby być teraz w skórze jakiegoś wędrowca, który zapuścił się na te tereny. Te drapieżne istoty, pozbawione tego, co uważały za swój łup, z pewnością będą chciały powetować sobie stratę na kimkolwiek, kto wejdzie im w drogę.

Czy w taki właśnie sposób zaprezentowali się ludziom Panowie Przystworzy? Przybierając postać

ziemskiego boga? Niemal uwierzył w to, że on tylko naśladowuje wzór wynaleziony dawno temu. Prości ludzie potrzebują symboli, by przywiązać się do swojej wiary w wielką Moc, której nie da się opisać. A na tej ziemi było już wielu bogów. Jakiś dawny Pan Przesławił mógł przy pomocy iluzji przybrać postać jednego z nich. To byłaby najprostsza droga, by nakłonić ludzi do posłuchu, wskazać im nowy sposób życia i myślenia.

Merlin pozbył się iluzji Myśliwego, która stanowiła jego ochronę. Teraz ruszył przez oświetlone księżycem cieniste tereny do starej drogi, by jak najszybciej oddalić się od tego miejsca. Musiał wykrzesać z siebie resztki sił, by maszerować.

Po trzech dniach Merlin ujrzał przed sobą wysokie wzgórza Kamelotu. Był bardzo zmęczony i głodny, choć pożywił się nieco tego ranka w pasterskiej chacie. Pasterz niewiele wiedział o Arturze. Słyszał tylko, że podobno

Wielki Król zaniemógł i nie opuszcza sypialni. To znaczy, że Artur wciąż gra swoją rolę. Kiedy jednak Merlin zbliżył się do zamku, ujrzał grupę jeźdźców pędzących w dół zbocza tak szybko, że przyczyna owego pośpiechu musiała być ważna. Gdy już zniknęli, Merlin jak mógł najszybciej podszedł do zewnętrznego wału z ziemi i kamieni.

Liczba strażników przy wejściu była podwojona, a na terenie fortecy krzatali się wojownicy gotowi do wymarszu. Pierwszy strażnik zagroził Merlinowi drogę włócznie.

- Stać! - rozkazał.

- Znasz mnie - odrzekł Merlin. -
Czemu to czynisz?

- Zgodnie z rozkazami Pana Keja nikt nie może wejść.

- Powiadom więc Pana Keja -
odpowiedział Merlin. - Nie mam zamiaru czekać.

Mężczyzna wydawał się niezdecydowany i raczej wrogo nastawiony. Jednak jeden z jego towarzyszy poszedł, a Merlin oparł

się o solidny mur i cierpliwie czekał. Bardzo chciałby wiedzieć, co tu zaszło. To, że Kej wydaje rozkazy, oznacza, że albo Artur wciąż gra swoją rolę, albo...

Merlin próbował zebrać w myślach wszystko, co mogło wpłynąć na niepowodzenie ich planu.

Posłaniec już wracał.

- Do Pana Keja - powiedział krótko, bez grzeczności. Merlin nie pytał o szczegóły tego, który przeprowadzał go przez bramy.

Wszystko wskazuje na wojnę. Sasi? Czyżby w czasie jego nieobecności nastąpił jakiś niespodziewany atak? Uważnie nasłuchiwał, lecz niewiele mógł zrozumieć z wykrzykiwanych komend i rozmów mężczyzn.

Wszedł po schodach do komnaty, w której przy oknie stał Kej i ponuro spoglądał na wały obronne. Kej odwrócił się gwałtownie w stronę Merlina, jego zagniewane oblicze wcale się nie rozjaśniło.

- Artur? - odezwał się Merlin pytającym tonem.

Gniew na twarzy Keja pogłębił się.

- Jak blisko zdrady jesteś,

bardziej - powiedział ze złością. -
Jeszcze nie wiem. Kiedy się
dowiem... - Wyciągnął dłoń i
powoli zacisnął palce w twardą
pięść. - Jeśli okaże się, że jest
tak, jak podejrzewam, chwycę cię
za gardło i wycisnę z ciebie
ducha... o tak, powolutku!

- Zaoszczędziłoby nam czasu -
powiedział Merlin - gdybyś mi
powiedział, co się stało. Gdy
odchodziłem, król udawał chorego,
bo miał swoje powody.

Kej jak wilk wyszczerzył zęby w
grymasie, który daleki był od
uśmiechu.

- Właśnie tak mi powiedział. Lecz
spójrz na niego teraz,
uzdrowicielu! I jeśli naprawdę
potrafisz leczyć, to zrób to
szybko!

Nimue! Merlin omal nie wymówił na
głos jej imienia. Może on i Artur
zostali pokonani w próbie
odciągnięcia jej od jej twierdzy.
Truczizna jest wygodną bronią, a
Nimue dobrze zna zioła, również
szkodliwe, co wyczuł w jej
konnacie.

Natychmiast odwrócił się do drzwi.

- Chcę go zobaczyć!
Gdyby Kej próbował go zatrzymać,
Merlin poraziłby go jakąś
niszczyielską siłą, zrodzoną z
lodowatego strachu. Jeśli Artur
umrze...

Tak oto Merlin znowu wszedł do
królewskiej sypialni. Bleheris
wstał ze swojego miejsca przy
łóżu. On również zwrócił kił
Merlinowi chłodne oblicze. Merlina
jednak interesował tylko mężczyzna
w łóżku.

Tym razem twarz Artura nie płonęła
żadną udawaną gorączką. Chory był
blady, a jego skóra trupio blada.
Równie dobrze mógł już być martwy.
Merlin z miejsca zaczął działać.
Uruchomił wszystkie swoje
uzdrawiające instynkty.

Ciało króla było chłodne, zbyt
chłodne. Merlin zażądał, by
rozgrzano i owinięto kamienie oraz
obłożono nimi Artura. Potem użył
swojego szóstego zmysłu, który
natychmiast wycofał. Choć te
symptomy, które widział, mogły
pochodzić z ułomności ciała, to w
tym przypadku z pewnością były one
skutkiem zawładnięcia wolą króla.

Kej obserwował Merlina i nagle wybuchnął:

- Co to jest? Wczoraj, gdy Pani Nimue odchodziła, czułem się dobrze. Dziś, rano... - Rozłożył ramiona, twarz boleśnie wykrzywiła się.

Choć Kej rzadko okazywał uczucia, Merlin wiedział, że więź między nim a mlecznym bratem jest głęboka i szlachetna. - Wtedy ten łajdak, ten śmierdzący zdrajca...

- On jest pogrążony w głębokim śnie - odpowiedział Merlin na pierwsze pytanie. - I trzeba go czym prędzej obudzić.

- Czy możesz to zrobić?

- Przy pomocy pewnych ziół, tak. Pójdę teraz do mojej komnaty, a ty zostań tutaj. Nie dopuszczaj do niego nikogo prócz was dwóch. -

Teraz zwrócił się do Pikta: -

Wróć jak najszybciej.

Żywy i zdrowy, gdy Nimue odchodziła - myślał Merlin idąc korytarzem. Może w takim razie rzuciła na króla jedno z zaklęć działających na odległość, które zaczęło działać, gdy już odeszła. To, co jeszcze Kej powiedział, nie zaprzętało teraz uwagi Merlina.

Musi uratować Artura!

Poszperał szybko po półkach i wrzucił kilka małych słoiczków do wiklinowego kosza. Gdy wrócił do królewskiej sypialni, niósł też przed sobą różdżkę. Posłał Bleherisa po kocioł wrzącej wody, potem kazał mu rozpalić ogień w piecu, do którego na rozżarzonych węglach wysunął liście różnych gatunków wybrane w pośpiechu ze swych zbiorów. Gdy Merlin połączył kufel wywaru z wodą, rozszedł się aromatyczny zapach.

- Miecz - zwrócił się do Keja. -
Gdzie jego miecz?

Odpowiedział mu Bleheris, nie słowami, lecz przemknawszy szybko przez pokój w stronę komody, zza której wyciągnął głównię w pochwie.

- Tamten przyszedł tu węszyć - powiedział, wkładając miecz w rękę Merlina. - Ale nie znalazł go.

Merlin wyjął miecz z pochwy i włożył go do ognia. Gdy płomienie ogrzewały ostrze, zmieniając je w połyskującą sztabkę światła, Merlin zwrócił się do Keja:

- Modred... Czy ten łajdak, o

którym mówisz, to Modred?

- Tak! - W głosie Keja płonęła złość. - Gdy król zaniemógł, Modred próbował przejąć władzę nad rycerzami. Nie złożyli mu przysięgi. Wtedy... Wtedy zbałamucił królową. A ona go posłuchała! Nocą uciekła z Modredem, a ludzie, którzy to widzieli, twierdzą, że szła chętnie. Ha! Jest prawie dwa razy starsza od niego, a rumieniła się jak panienka, gdy na nią patrzył. Dla niej nie ma znaczenia, że Artur będzie martwy, nadal będzie królową. Co teraz zrobisz?

- Przywołam naszego króla z powrotem. Jego część przebywa w dziwnym miejscu, które oznacza dla człowieka śmierć. Teraz zamilcz! Merlin przyłożył miecz do głowy Artura w taki sposób, że koniuszek ostrza lekko dotykał czoła pomiędzy brwiami. Mimo obecności Keja i Bleherisa, którzy nie powinni tego słyszeć, Merlin zaczął śpiewać. Jego oczy były przymknięte, gdyż usiłował wyobrazić sobie, że nie stoi w znajomej królewskiej sypialni,

lecz zwiedza inne miejsce, do którego ktoś, bez wątpienia Nimue, wygnał Artura.

Panuje tam rodzaj nicości, choć, od czasu do czasu przebiegają przez nią przebłyski światła. Każdy z tych błysków oznacza osobowość, która albo sama wybrała wejście do owego czyścica, albo została tam wygnana. Śpiew Merlina dźwięczał nie jak pieśń, lecz raczej jak pomruk. Wraz z tym dźwiękiem świetlna ścieżka odchodząca od Merlina stawała się coraz szersza. Miecz był drogowskazem pomagającym w poszukiwaniach Artura.

Merlin zaczął iść tą ścieżką światła, a błyski cofały się i odpływały. Jeden czerwono-złoty płomyk został namierzony i przytrzymany pomimo jego zawziętego oporu. Słowa Merlina zmieniły się - przedtem dotyczyły poszukiwań, teraz zawierały rozkazy.

W dole świetlistej ścieżki pojawiła się chwiejna postać. Opiera się, bo narzucono jej przymus pozostania tutaj. Wola

Merlina musi pokonać ten przymus. Wydał rozkaz jak ktoś, kto ma pełne prawo to zrobić. Nappełnił ten rozkaz swoją troską o Artura, wiarą w niego i w misję, którą obaj mają wypełnić.

Ten opierający się fragment wygiętego światła zaczął się wycofywać. Już prawie całkowicie znajdował się w mocy miecza. Merlin opuścił ową dziwną krainę i otworzył oczy.

Nigdy potem nie był pewien, czy rzeczywiście widział, jak ten ostatni błysk światła spływa po ostrzu miecza ku głowie króla. Usłyszał jednak jęk Artura i zobaczył, że jego głowa lekko drgnęła na poduszce. Zwyciężył.

XVII

Delikatne podmuchy wiatru na szczycie wysokiego muru nie zagłuszały słów człowieka, który stał na dole, Artur, z twarzą wyrażającą napięcie i zmęczenie, wpatrywał się w obcego barda. Za plecami króla widniała zaniedbana budowla, która niegdyś była

wspaniałym zamkiem. Kej przeklinał pod nosem barda, któremu stary zwyczaj klanów zapewniał bezpieczeństwo.

Merlin uważnie przyglądał się temu człowiekowi. Ten manewr jest tak sprytny, że aż trudno uwierzyć, by był to pomysł Modreda. Widać w tym rękę Nimue. A może już widzi Nimue we wszystkim, co wymierzone jest przeciwko Arturowi lub jemu samemu? Niewykluczone, że jest to po części również dziełem Ginewry, bo ten bard na dole pochodzi z zamku jej ojca. Słynie z ciętego języka i słownych manipulacji, które pomagają mu wykorzystywać przywileje barda do własnych celów.

Byli świadkami zagrożenia, które już w przeszłości doprowadzało dumnych panów i królów do upadków. Bard wykonywał właśnie pieśń o Arturze - o tym, jak legł on z własną siostrą, by spłodzić syna, którego teraz od siebie odtrąca. Śpiewał też o Arturze, który, będąc opętany przez demony, nie był prawowitym królem. Po powrocie do zdrowia król nie

posłuchał Keja i innych rycerzy doradzających natychmiastowy pościg za Modredem i Ginewrą. Cierpliwie tłumaczył, że taka wyprawa zbrojna oznaczałaby rozpad królestwa, a jeśli królestwo się rozpadnie, sama Brytania też na tym ucierpi, a wilki morskie rzucają się, by ją rozszarpać.

Merlin uważał Modreda za bardziej rozsądnego. Nie podejrzewał, że wywlecze on na światło dzienne ten stary skandal. Teraz, gdy ogłosił hańbę swojej matki, by obalić Artura, Modred nie może już liczyć na poparcie panów. Nie pomoże mu nawet to, że jest krwi Pendragonów. Żaden dostojnik nie będzie głosował na takiego króla. Niszcząc Artura, zniszczył samego siebie. Dlaczego?

Ginewra również ma wiele do stracenia. Skoro przeświadczona o rychłej śmierci Artura wybrała Modreda, bo widziała w nim przyszłego władcę, to dlaczego teraz miałaby życzyć mu zaprzepaszczenia swoich szans? Zbyt wiele pytań, a wszystkie one prowadzą do Nimue.

Jeżeli odkryła jego atak na swoją twierdzę, to mogła wpaść w złość, która popchnęła ją do działania bez przemyślanego planu, do odrzucenia pozorów i wykonania tak poważnego ciosu. Nimue... Tak, to na pewno ona!

Pieśń roznosiła się coraz donośniej, v coraz dalej - ośmieszająca, agresywna, raniąca najgłębsze uczucia człowieka, który nie może się bronić. Artur nie może, ale Merlin poruszył się. Istnieje sposób, gwałtowny, może trochę niebezpieczny. Nie można jednak pozwolić na dalsze ponizanie króla. Dawniej takie zuchwalstwo często kończyło się śmiercią prześmiewcy, nawet wśród krewnych.

Merlin podniósł swoją różdżkę i wycelował ją w głowę barda. Nie była to prawdziwa broń, nie łamał w namacalny sposób przypisanej bardom wolności słowa. Nie, to, co Merlin wymamrotał, było rozkazem, skierowanym do umysłu barda.

Dobrze wiedział, że ten człowiek na dole nigdy nie zapuściłby się pod sam mur Kamelotu z tak

niegodziwym atakiem, gdyby nie stały za nim niewidzialne siły. Merlin skoncentrował się. Pieśń wciąż rozbrzmiewała.

Nagle bard zamilkł. Potrząsnął głową. Gorączkowo uniósł dłonie do ust.

Głos Merlina zadźwięczał:

- Ten, kto zionie takim jadem, musi go potem sam przeżuć. Mów, człowieku małej mocy, mów prawdę! Potęgą całej swojej woli Merlin panował nad bardem. Miał całkowitą rację, sądząc, że tamten jest dobrze uzbrojony. Choć przeciwnikiem obcego barda były potężne zasoby dawnej wiedzy, ów człowiek próbował się im opierać. Bard padł na kolana. Spoglądał w górę na Merlina, jego twarz wykrzywiła się w takim grymasie, jakby naprawdę miał w ustach truciznę i nie mógł jej wypluć, bo już dostała się na język i podniebienie. Merlin znowu wskazał różdżką.

- Mów całą prawdę. Nie rozsiewaj już łgarstw twojej zwyrodniałej imaginacji. Kto posłał cię, byś tak zniesławił Wielkiego Króla?

Wargi barda rozwarły się jakby
wbrew jego woli:

- Ona... - powiedział. To krótkie
słowo zabrzmiało jak wyciągnięte z
niego przy pomocy tortur.

- Podaj imię tej kobiety - zażądał
Merlin. - Inaczej, skoro już
wykrztusiłeś z siebie stek
kłamstw, prawda będzie na wieki
dla ciebie niedostępna. Od ,tej
chwili wszyscy uznają cię za
kłamcę i nikt nie będzie cię
słuchał. Bo zbliża się dzień sądu,
gdy trzeba będzie odpowiedzieć
przed własną Mocą. A jeśli jesteś
uczciwym bardem, na pewno wiesz...
W oczach tego człowieka płonęła
żywa nienawiść, gdy patrzył w górę
na Merlina. Towarzyszył tej
nienawiści strach, który stawał
się coraz silniejszy.

- To Pani Morgana opowiedziała -
rzekł z wysiłkiem. - Kto może znać
prawdę lepiej niż ona?

Morgana... Dziewczyna, którą
Merlin widział w twierdzy Nimue?
Czy to dlatego Nimue trzymała ją
pod ręką przez te wszystkie lata?
Jego uszu dobiegł szmer zdumienia
tych za nim na murze.

- Widziałeś Panią Morganą. -
Merlin starał się zachować spokój.

- Powiadasz, że nikt nie mógłby
wiedzieć lepiej. Jak...

Przerwał mu Artur:

- Zostaw go, Merlinie. Wielki Król
nie walczy z niewiastami.

W tym momencie grymas na twarzy
barda zamienił się w parsknięcie.

- Masz rację, Najjaśniejszy Panie.

Okaz choć trochę honoru, którego
zawsze ci brakowało, nawet przed
koronacją. Możesz pozwolić temu
diabelskiemu nasieniu odebrać mi
mowę. Już dostatecznie wielu
słyszało moją pieśń. Ludzie dłużej
pamiętają zło niż dobro, taki już
jest świat. Nawet jeśli jakimś
cudem uda ci się udowodnić swoją
niewinność, więcej uwierzy
oskarżeniom niż jakimkolwiek
rozgrzeszającym cię słowom. A
teraz słuchaj. Pan Modred zbliża
się tutaj, by zaprowadzić w kraju
sprawiedliwość. Gdy się spotkacie,
pozволь Mocy decydować o tym, co
dobre a co złe.

- Dość tego! - Dała się słyszeć
nagła odpowiedź Keja. -

Najjaśniejszy Panie, każdy, kto

daje wiarę tym niecnym
oszczerstwom, jest zdrajcą. A na
zdrajców jest tylko jeden sposób!
Niechaj czym prędzej ujrzą ostrza
mieczy uczciwych ludzi!

Po tej przemowie nastąpiła
nieśmiała owacja, ale Artur szybko
ją przerwał. Zwrócił się jednak
nie do Keja, lecz do barda:

- Bardzie, przyniosłeś wiadomość.
Teraz odejdz.

- Jaką odpowiedź panu Modredowi,
Najjaśniejszy Panie? - Dodany na
końcu tytuł zabrzmiał ubliżająco.

- Że nie mam zamiaru rozdzierać
Brytanii walkami dla jego
przyjemności - ponuro odpowiedział
Artur.

- Nie masz wyboru - odparł bard. -
Chyba że okryty hańbą wycofasz się
po cichu.

W końcu wstał z kolan, obdarował
Merlina długim spojrzeniem i
odszedł, bezceremonialnie
odwróciwszy się plecami do króla.
Kej burknął:

- Cios włócznią w plecy, taką
powinien dostać zapłatę.

Ale on ma rację, mleczny bracie.
Albo walczysz, albo oddajesz całą

władzę Modredowi. A jak sądzisz, jak on tę władzę wykorzysta? Jest łajdakiem. Wielcy panowie rozdziela się, bo tylko niewielu zechce się mu podporządkować. Zaczną się waśnie, każdy będzie wyciągał ręce po koronę. Co z tego wyniknie? Zniszczony kraj stanie się łatwym łupem dla Sasów. Tak było po śmierci Utera.

Najjaśniejszy Panie, nie masz wyboru. Albo przy pomocy miecza wepchniesz temu łajdakowi z powrotem do gardła jego oszczerstwa, albo zostaniesz okryty hańbą wobec tych wszystkich, którzy wiernie służyli ci tyle lat.

Wyraz twarzy Artura nie zmienił się, tylko jego oczy przerzuciły się z barda na Keja, a potem na Merlina.

- Chodźcie za mną! - krótko rozkazał im obu i odszedł wzdłuż muru. Zebrani mężczyźni odsuwali się, by zrobić mu przejście.

Zbyt wiele twarzy w tym towarzystwie było przytomnych, zbyt wiele oczu patrzyło na Wielkiego Króla pytająco. Kej

wyraził opinię większości z nich. Wszyscy potępiają Artura, jeśli nie będzie walczył, a do wojny między panami w Brytanii tak czy inaczej dojdzie. Wszystko, co król osiągnął, może się rozpaść jak gnijący od środka owoc.

Merlin, wykonując królewski rozkaz, myślał o nadajniku. Jak długo jeszcze, jak daleko? Nie znał odpowiedzi na te pytania. Może to, co uruchomił, wciągnie pozaziemskich krewnych w sam środek zamieszania? Nie potrafił jednak stwierdzić, co można było zrobić inaczej.

Merlin wraz z Kejem weszli do królewskiej sypialni niemal zaraz za Arturem. Król chodził po komnacie tam i z powrotem z rękami założonymi do tyłu i ze spuszczoną głową. Na jego twarzy rysował się ból, taki ból, jakiego nie mogłaby spowodować żadna cielesna rana.

- Bracia - powiedział - tylko wy znacie prawdę o moim pochodzeniu. Tak! - Tutaj zwrócił się do Merlina. - Powiedziałem wszystko Kejowi, bo on też częściowo jest krwi Dawnych. Oto nasz problem:

czy ktokolwiek, czy to wśród tych na zewnątrz, którzy słyszeli tę pieśń, czy też wśród popleczników Modreda, uwierzy? Kej odezwał się pierwszy:

- Jeśli nawet uwierzą, bracie, uznają to za prawdę szatana i będą patrzeć na ciebie z jeszcze większą nienawiścią. Bowiem ludzie potrafią uwierzyć, że gdzieś istnieje inna rasa, na tej Ziemi czy może poza nią, która jest szcudrzej obdarzona talentami niż oni sami. Księża uczą o Chrystusie, który był właśnie taki, lecz już nie żyje. I dlatego, że nie żyje, ludzie mogą go teraz zaakceptować. Ale w jego czasach nienawidzili go i potępiali za tę odmienną, zgotowali mu najbardziej poniżający sposób śmierci, jaki znali, przeznaczony dla niewolników i zdrajców. Ludzie oddają cześć bogom, lecz gdyby ci bogowie się pojawili, budziłiby strach i nienawiść. Taka jest natura człowieka, że chce on zniżyć do własnego poziomu wszystko, co wspięło się trochę

wyżej. Jesteś największym królem, jakiego miała Brytania, większym nawet od Maksimusa, bo nie podporządkowałeś królewskich obowiązków swoim ambicjom. Gdyby nie powierzono ci korony, też służyłbyś temu krajowi. Ludzie to wiedzą i to tym bardziej sprawia, że mogą odczuwać wrogość. Czy sądzisz, że Lot, który pragnął zdobyć władzę, okaże ci swe poparcie? Albo diuk Kornwalii, czy ktokolwiek z tych, których nęci blask korony? Tak, oni chętnie wykorzystają ten stary skandal przeciwko tobie. A przecież był to tylko nierozważny młodzieńczy czyn i łatwo można dowieść, że nie wiedziałeś o bliskim pokrewieństwie z Panią Morganą. Poza tym, ona ogrzewała też inne łoża i wcale nie ma pewności, że Modred jest naprawdę twoim synem.

- Nie! - przerwał Artur. - Nie będziemy okrywać hańbą imienia kobiety. Może ona była... jest... taka jak mówisz. Lecz ja nie będę wywlekał takich spraw i krzyczał "Ta kobieta mnie uwiodła i oszukała!" To nie przystoi

królowi.

Kej przytaknął.

- Ty decydujesz, bracie! Lecz taka szlachetność też nie wyjdzie ci na dobre. Twoja wspaniałomyślność zostanie uznana za jawne przyznanie się do winy. Z kolei wyjawienie prawdy byłoby jeszcze gorsze. Zaczęliby wrzeszczeć o demonach, aż ten krzyk by nas ogłuszył i odstraszył nawet tych najbardziej oddanych, którzy w innej sytuacji poparliby cię.

- On ma rację - powiedział Merlin cicho. - W tej sytuacji każda decyzja zrodzi zawziętych wrogów. Ta sieć została dobrze utkana, oto jesteśmy w pułapce.

- Pewien jesteś, że to dzieło Nimue? Merlin odpowiedział szczerze:

- Tak pewien, jakbym na własne uszy słyszał, jak rozkazuje Morganie nauczyć barda tej pieśni. To jej zemsta. O to właśnie chodzi, Arturze. Jestem również pewien, że ona nie może się już kontaktować ze swoim przewodnikiem, więc jej czyny mogą być tylko jej własnymi pomysłami.

A nasz nadajnik nie może już być przestawiony.

- Ten nadajnik - zwrócił się do niego Kej - obiecujesz, że on sprowadzi Panów Przestworzy, Ilu ich przybędzie i kiedy? Czy staną w obronie naszego króla, czy też będą patrzeć z boku, jak ludzie walczą przeciwko sobie, a potem spróbują w jakiś sposób wykorzystać zwycięstwo?

- Nie znam odpowiedzi na te pytania - odparł Merlin. - Dla Panów Przestworzy czas nie płynie tak, jak nasze dni i lata. Żyją oni dużo dłużej niż my. Może się zdarzyć, że miną lata, nim ich statki ukążą się na naszym niebie. Kej potrząsnął głową. '

- Czyli najlepiej zapomnieć o nich przy układaniu naszych planów. A z Modredem trzeba coś zrobić, i to szybko. Póki co jego siły nie są duże, lecz z czasem ludzie do niego dołączają. I nie zapominaj, że on ma też królową. Już jej obecność w jego obozie przemawia za tym, że wierzy ona w tę haniebną opowieść i dlatego od ciebie odeszła, Arturze.

- Wiem o tym - odparł król. Jego głos był zmęczony, tak sterany i zniszczony jak twarz. - Mogą też powiedzieć, że napadam na własnego syna.

- Napadasz na zdrajcę! - odparł Kej gwałtownie. - A ty, panie - zwrócił się do Merlina - wiedz, że to twoje dzieło! Gdyby twoja wiedza rzeczywiście była tak wielka i wszechmocna, to...

Artur przerwał mu tonem świadczącym o głębokiej wierze w sens czynów Merlina.

- Nie trać czasu, bracie, na gdybanie dotyczące przeszłości. Merlin zrobił tylko to, co mu kazano. I właśnie od niego będzie zależał nasz ostateczny sukces. Merlin drgnął, przyjrzał się królowi. Coś w głosie Artura zabrzmiało, jakby nagle ujawnił on dar jasnowidzenia.

- Co masz na myśli? - spytał Merlin.

- Kiedy nadejdzie czas - ciągnął król tym samym pewnym tonem - dowiesz się, kuzynie. Każdy z nas ma swoje zadanie, choć jego wykonanie może się nie udać.

Ruszajmy więc do swych zadań.
Opuszczali Kamelot nie jak
dawniej, w glorii chwały i
przeświadczeniu o swojej sile,
lecz z wielką rozwagą. Nic też nie
wskazywało na to, by uważali swoją
misję za mniej słuszną niż
wówczas, gdy wyruszyli przeciwko
najeźdźcom.

Wkrótce do Artura dotarły nowe
wieści. Rzeczywiście wielu
możnych, może przez zazdrość, jak
to przewidział Kej, albo nie
opowiedziało się po żadnej ze
stron albo otwarcie przyłączyło
się do Modreda. Ten natomiast
ośmielił się wywiesić proporzec
Smoka i ogłosić się Wielkim
Królem.

Kej roześmiał się głośno, gdy
doniesiono im o tym.

- To głupiec! - powiedział ostro.

- Czyżby wierzył, że Lot, który
teraz czeka, by zobaczyć, jak
potoczą się nasze losy, pozwoli mu
siedzieć na tym niepewnym tronie
dłużej, niż zajmie mu otwarte
wypowiedzenie wojny?

O ile Lot był tym, który czekał,
nie dało się tego powiedzieć o

Konstantynie z Kornwalii. Pod dumnie powiewającym sztandarem Dzika przywiódł on swoich wojowników do obozu Artura. Tam odnowił przysięgę wierności królowi. Tym sposobem zażegnano stare waśnie i Artur nabrał otuchy, bo Konstantyn był synem Golorisa i jedynym prawowitym potomkiem linii Pendragonów. Czwartego dnia od opuszczenia Kamelotu, gdy armia króla znowu wzmocniła się o dwa oddziały Czarnych Jeźdźców z terenów przygranicznych, Artur zwołał naradę wszystkich panów i dowódców, którzy pozostali mu wierni.

- Wyruszamy - powiedział król z nutą goryczy w głosie - przeciwko tym, którzy dotąd byli naszymi druhami i towarzyszami broni. Wiele razy wspólnie ruszaliśmy na wroga i stawialiśmy czoło śmierci. To niedobrze, że teraz w gniewie obracamy stal przeciwko sobie nawzajem. Nie zrezygnuję z korony tylko dlatego, że chcę być królem wbrew woli wszystkich, lecz ponieważ muszę wypełnić swoją

powinność wobec tej ziemi.

Straszna to jednak rzecz zabijać dawnych przyjaciół.

Król przerwał, ale nikt się nie odezwał. Merlin pomyślał, że Artur w zasadzie nie oczekiwał żadnej odpowiedzi. Po chwili znów rozległ się jego głos:

- Niechaj nikt nie myśli, że źle życzę tym, którzy przy pomocy oszczerstw zostali ode mnie odciągnięci. Dlatego wyślę posłańca do Modreda i powiadomię go, że powinniśmy się spotkać i otwarcie porozmawiać, by nie burzyć tak ciężko zdobytego pokoju.

Konstantyn, który w tym towarzystwie był najważniejszym, a równocześnie jednym z najmłodszych panów, powiedział:

- Najjaśniejszy Panie, oto czyn człowieka, któremu prawdziwie leży na sercu dobro innych! Niewielu znieważonych przez barda wyciągnęłoby przyjazną dłoń do tych, którzy tego barda przysłali. Jeśli pójdiesz, panie, na spotkanie z tym zdrajcą, ja stanę u twego boku.

- I ja... ja... ja... - Rycerze byli pełni zapału, zauważył Merlin. Nikt z nich, po tym jak widzieli oblicze króla, gdy przedstawiał swą propozycję, nigdy nie powie, że to przejaw strachu. Ta decyzja jest wyrazem miłości do Brytanii, której Artur służył niemal całe życie.

Jeden z najstarszych panów, imieniem Owien, który w młodości należał do oddziału Ambrosiusa, wyraził chęć bycia posłańcem. Ucieszyło to Artura, gdyż Owiena darzono powszechnym szacunkiem. Po uzgodnieniu treści wiadomości Owien opuścił obóz. Powrócił następnego dnia i udał się natychmiast do Artura.

- Najjaśniejszy Panie, przekazałem twoje słowa Modredowi. Wywołało to trochę sporów wśród jego ludzi, lecz w końcu przystali na tę propozycję. Modred zaproponował spotkanie przy głazach Langwellyn, po każdej ze stron ma być dziesięciu mężczyzn. Ksiądz Gildas wystąpił z zastrzeżeniem, że Merlin nie może być pośród tych dziesięciu, gdyż sprowadzi on

diabelskie moce. Modred jednak śmiał się z tego i powiedział, że ma coś, co pokona każdego szatana. Najjaśniejszy Panie, wraz z nimi jest Pani Morgana, lecz taka, jaką była, gdy opuszczała dwór Utera. Jest też Pani Jeziora. Mężczyźni spoglądają na nie z ukosa nawet w towarzystwie Modreda, bo to nie jest normalne, że wiek zupełnie nie zmienił Pani Morgany.

- Jeśli to w ogóle Morgana! - wysapał Kej. - Uter miał pełno nieślubnych dzieci i może to być nawet córka któregoś z nich, skoro wygląda tak młodo. To tylko kolejny podstęp wymierzony w naszego pana!

Artur skinął dłonią, jakby chciał odsunąć na bok te komentarze.

- Teraz liczy się tylko to, że Modred zgodził się na spotkanie.

Pokładajmy w tym nadzieję.

Później gdy zapadła już noc, Artur przyszedł do Merlina.

- Posiadasz moce - zaczął. - Czy możesz użyć ich wobec Modreda, by wypowiedział przed swymi panami słowa zwiastujące pokój? Nie pochwalam takiego zawładnięcia

innym człowiekiem wbrew jego woli, lecz ten jeden człowiek może utopić nasz świat w morzu krwi. Jeżeli istnieje coś, co mogę zrobić, by powstrzymać go od tej zbrodni, to spróbuję to wykorzystać.

- To zależy - odpowiedział Merlin szczerze - od tego, w co uzbroiła go Nimue. Zauważ, co odpowiedział Gildasowi przy Owienie. Uczyniłem, co mogłem, by osłabić jej moc. Jak dalece mi się to udało, dowiem się dopiero, gdy dojdzie do próby sił. Bądź jednak pewien, że cała moja moc jest do twojej dyspozycji, kuzynie.

- Nie pytam już o nic więcej - odparł Artur. - Żałuję, że nie dane mi było posiąść wiedzy, jaka jest twoim udziałem, bo czuję, że ludzka siła i wola mogą nie wystarczyć. - Wstał powoli. - Cóż, trzeba się wyspać, o ile to w ogóle możliwe. Jutrzejszy dzień przyniesie albo pokój, albo rozlew krwi, ale tego nie jesteśmy w stanie przewidzieć.

- Cóż... - rzekł Merlin. - Wyznaczyli spotkanie w miejscu

pośród starych kamieni. Jeżeli jest to część jakiejś zapomnianej świątyni, jak Miejsce Słońca, to mogę przywołać na nasze usługi więcej mocy. Bo w takich miejscach drzemia wielkie siły.

- O ile nie są to miejsca nam wrogie.

- Najjaśniejszy Panie, widziałem wiele takich miejsc w tym kraju. Tylko raz napotkałem fetor Nieprzyjaciół, a było to w twierdzy Nimue. Mam nadzieję, że poza ową wieżą nie zbudowali nic więcej.

Jeżeli nawet król spał tej nocy, to Merlin ani na chwilę się nie zdrzemnął. Leżał na swojej pelerynie z zamkniętymi oczami i otwartym umysłem. Przeglądał swoją pamięć w poszukiwaniu czegokolwiek, co można by wykorzystać do obrony lub ataku. Krok po kroku, słowo po słowie, zbierał wszystko, co wiedział, wszystko, czego nauczył się od zwierciadła, i co mogło tym razem przydać się do wzmocnienia wewnętrznych zasobów energii. Rozumiał, że zbliża się próba sił, może

ostateczna rozgrywka między nim a Nimue.

Mimo iż nie spał, rankiem był zupełnie trzeźwy i gotów do konfrontacji. Gdy ruszyli, dotykał palcami swojej różdżki, jak jakiś chłopiec mógłby bawić się rękojeścią miecza przed swoją pierwszą bitwą.

Przybyli na miejsce, które wyglądało jak pięść twardej ziemi wciśnięta pomiędzy mokradła. Tu i ówdzie były stawy, niektóre pokryte zielonym szlamem, inne czyste, lecz ciemne, porośnięte trzciną wodną i innymi roślinami charakterystycznymi dla podmokłych terenów. Na tym cyplu stałego lądu znajdowały się wspomniane przez Modreda kamienie, a na zboczu wzgórza po przeciwnej stronie rozciągały się wojska buntowników, dumnie prezentując swoje sztandary.

Wojownicy Artura również rozwinęli proporce. Król zsiadł z konia, a za nim Merlin, Kej, Owien i inni. Nie było z nimi Konstantyna, gdyż Artur powierzył mu dowództwo nad pozostawionymi w tyle wojskami.

Niełatwo było przekonać Konstantyna, by pozostał w obozie, lecz król wytłumaczył mu, że to jego obowiązek, bo jest on jedynym, który ma prawo przejąć koronę po Arturze.

Tak oto ruszyli w dół do kamieni. Artur na przedzie, a Merlin i Kej tuż za nim. Słysząc było pieśni śpiewane przez oddziały Modreda. Merlin dojrzał mnichów zbitych w zwartą grupę pod sztandarem Smoka. Choć uważnie się rozglądał, nie widział żadnych kobiet. Jeżeli królowa, Morgana i Nimue tu są, to kryją się gdzieś pośród wojowników.

Następnie Merlin przyjrzał się głazom, które były coraz bliżej. Grupa Modreda uważnie obserwowała ich marsz, również schodząc na miejsce spotkania. Na pierwszy rzut oka nie było wyraźnej różnicy między tymi surowymi skałami a głazami w Miejscu Słońca. Merlin wciąż zastanawiał się nad takim wyborem miejsca przez Modreda. Według mnichów, którzy udzielają Modredowi poparcia, takie miejsca są siedliskami szatana. Czemu

więc...? W Merlinie wzrastała podejrzliwość, bo czuł, że Nimue nigdy nie pozwoliłaby swemu marionetkowemu władcy wybrać miejsca, w którym drzemią i mogą być obudzone dawne siły.

Chyba że teraz Modred - jej własne dzieło - jest bronią, która obróciła się w rękę, i to on, wydaje rozkazy.

Głazy ułożone były w mały, pojedynczy krąg. Dwa z nich leżały przewrócone. Merlin lekko rozhuśtał różdżkę. Nie poczuł drgań, nie wykrył żadnej energii. Pod tym względem głazy były tak martwe, jak każda zwykła skała. Cóż, w zasadzie nie spodziewał się, że będzie inaczej.

Obserwował teraz Modreda, jego wąską, śniadą twarz z tak wyraźnymi rysami Dawnych. Było jednak w tej twarzy coś odpychającego. Modred uśmiechał się, sprawiał wrażenie człowieka, któremu sprzyja szczęście. Merlin, wyraźnie zaalarmowany przeczuciem podstępny, rozpoczął delikatne próby. Jednak umysł Modreda stawiał silny opór niczym stalowy

pancerz wobec lekkiego dotyku jednym palcem. Modred rzeczywiście był dobrze uzbrojony.

XVIII

Merlin nie rezygnował z prób zawładnięcia umysłem Modreda. W pewnej chwili pochwycił ukradkowe spojrzenie młodzika oraz jego przebiegły uśmiech, jakby tamten przewidział jego działania i zupełnie się ich nie obawiał. Wreszcie Modred zwrócił się do Artura z wyraźną pogardą w głosie:

- Prosiłeś o to spotkanie. Jaka masz do mnie prośbę? Kej aż zatrząś się z oburzenia. Merlin wiedział, jak wiele go kosztuje opanowanie gniewu wobec jawnej obrazy króla.

- Nie chcę o nic prosić, Modredzie. Stwierdzam tylko fakt: jeżeli będziemy walczyć, Brytania zginie. Wtedy wszystko, cośmy zdobyli, przepadnie na zawsze.

- Twój tron przepadnie - buńczucznie odparł Modred. - Czyżbyś przyszedł błagać o koronę, Arturze?

Twarz Artura zaczerwieniła się. To, że nawet teraz potrafił zachować spokój, świadczyło o jego wielkości. Merlin poczuł dumę. Usiłował przedostać się przez pancerz ochronny Modreda i dobrać się do jego umysłu. Tak bardzo był pochłonięty próbą osiągnięcia tego, co obiecał Arturowi, że omal nie przegapił subtelniejszej formy ataku.

Nagle odwrócił głowę. Coś poruszyło się w zaroślach przy najbliższym gładzie. Nim Artur zareagował, jeden z ludzi Modreda wydał okrzyk zdumienia i przerażenia, jednocześnie wyciągając miecz. Przez moment widzieli uniesiony łeb potwora. Nie był to jednak prawdziwy potwór. Iluzja! - wrzasnęły wszystkie zmysły Merlina, ale było już za późno. - Zdrada! - Kej też wydobył miecz i ciał mężczyznę, który zamierzył się na potwora. Sama bestia zniknęła, nim Merlin zdążył wymierzyć w nią swą różdżkę.

Modred rzucił się z obnażonym mieczem na króla, ale Kej zasłonił

brata. Między kamieniami rozgorzała mordercza walka. Z tyłu rozległy się głosy trąbek - to Konstantyn wzywał do ataku. Nagle Merlin poczuł na gardle chłód stali. Uniósł magiczną różdżkę i zaatakował napastnika.

Mężczyzna zawył jak szalony, miecz w jego dłoni zadrżał, oczy znieruchomiały. Rzucił się przed siebie, popychając Merlina na jeden z głazów. Uderzenie o kamień było tak silne, że Merlinowi brakło tchu i dopiero po chwili wydobył z siebie świszczący oddech.

Wokół toczyła się ząarta walka. Człowiek, którego Merlin poraził, biegł na oślep przed siebie i w końcu został powalony przez jednego z ludzi Artura. W dole zbocza nacierali członkowie straży Artura. Mężczyzna na przedzie prowadził królewskiego rumaka i ciął mieczem wokół, tak by Artur mógł dosiąć swego konia. Modreda tam nie było. Merlin przywarł do kamienia, by nie zostać stratowanym. Dojrzał stamtąd Modreda przeskakującego z kępi na

kępę z zamiarem przyłączenia się do grupy tych, którzy usiłowali znaleźć suche przejście i podejść do oddziałów króla.

Między kamieniami leżały ciała czterech mężczyzn. Jednym z nich był Owien. Leżał zniszczoną wiekiem twarzą ku niebu, z niewidzącymi oczyma wpatrzonymi prosto w wiszące ponad nim słońce. Na jego obliczu zamarło ogromne zaskoczenie, jakby śmierć przyszła tak nagle, że nawet nie zdążył jej sobie uświadomić.

Walka już odsunęła się od kamieni. Merlin odzyskał oddech, zaczął chodzić między ciałami. Wyglądało na to, że jego uzdrowicielskie talenty będą bardzo potrzebne. Na razie jednak spotykał same zwłoki. Wycofał się w pobliże wozów, które dostarczały rannych. Tam zdjął urzędowy strój i pozostał w wygodniejszej tunice, nadającej się do pracy. Cały czas dręczyła go myśl, że zawiódł Artura. Gdyby nie skupił się tak na Modredzie, mógłby wcześniej zauważyć tę iluzję, rozwiązać ją, nim doszło do tej rzezi. To, że nie widział

Nimue, o niczym nie świadczy. Ten potwór bez wątpienia należał do niej.

Teraz Merlin przystąpił do opatrywania ciężkich ran. Ratował ludzkie życie, podczas gdy w dolinie poniżej inni tak bardzo zajęci byli mordowaniem.

Niezależnie od wyniku tej bitwy Brytania może zostać zgubiona.

Merlin stracił rachubę czasu.

Używał rąk i umysłu, by ratować tych, których mu znoszono.

Niektórym mógł jedynie pomóc w bezbolesnym zejściu, innym próbował dać szansę przeżycia.

Tych, którzy byli na tyle przytomni, by udzielać rzeczowych odpowiedzi, wypytywał o postęp walk. Jednak ranni, widzieli tylko fragmenty bitwy - to, co działo się wokół nich. Czasem donosili o porażkach, potem znów o drobnych zwycięstwach i wypieraniu buntowników.

Późnym popołudniem przyniesiono młodego giermka Keja. Chłopiec szlochał, gdy Merlin usztywniał mu złamane ramię. Jego pan, mówił w szoku, został zabity, ale zabrał

ze sobą co najmniej czterech z otaczających go wrogów. Czyli Kej odszedł, jak wcześniej Ektor - pomyślał Merlin z rezygnacją. On był prawą ręką Artura i teraz go zabrakło. Owien, Kej, ilu jeszcze poszłoby lub już poszło za Arturem na śmierć bez względu na jakiegokolwiek oszczerstwa?

Czuł się, jakby poruszał się w jakimś koszmarnym śnie, może tym piekle, o którym wyznawcy Chrystusa głoszą, że gotowe jest pochłonąć wszystkich niewierzących. Wszędzie widniała krew i porozrzucane ciała, odciągane w pośpiechu na bok, bo brakowało miejsca na następne. Smród krwi wypełniał mu nozdrza, rozchodził się wokół, a sama krew bryzgała na tunikę, brudziła ręce i nogi, nawet policzki. Wraz z nią Merlin czuł zapach śmierci, od której nie ma ucieczki. Słońce, które na początku tej rzezi było ponad głowami, teraz już zaczęło chylić się ku zachodowi.

- Merlinie!

Oszołomiony Merlin spojrzał w dół

na małą, ciemną twarz, w poprzek której widniała krwawiąca cięta rana. Ten człowiek jest mu znajomy. Merlin pogrzebał w pamięci...

- Bleheris - powiedział.

- Merlinie! - Tamten szarpał go za ramię. - Weź swoje narzędzia i chodź!

Merlin otrząsnął się z odrętwienia, które wyrosło z otaczającego go cierpienia i walki z nim. Może być tylko jedna przyczyna, dla której odszukał go Bleheris. Wszelki strach, jaki kiedykolwiek Merlin odczuwał, był niczym w porównaniu z przerażeniem, które ogarnęło go teraz.

- Artur!

Choć to normalne, że w walce czeka śmierć, Merlin nigdy nie przypuszczał, że może to spotkać Artura. Nie, to niemożliwe!

Wszystko, co ma, wszystko, czym jest, odda, by walczyć o ostatniego przedstawiciela Gwiezdnego Rodu.

Po tym napadzie śmiertelnego strachu naszedł go srogi gniew. W

tej chwili zapragnął ścisnąć w swoich dłoniach gardła dwóch osób: Modreda i tej wiotkiej Nimue! Pochwycił torbę z opatrunkami, dwa dzbanki z balsamem i zwrócił się do Bleherisa:

- Gdzie?

Pikt niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

- Za mną! - rzekł i zaczął biec, a Merlin z łatwością podążał za nim. Przedzierali się między ciałami. Gdzieś z oddali dobiegały krzyki, jęki, wrzaski rannych ludzi i rżenie koni. Bleheris skręcił w prawo i biegł wzdłuż brzegu rzeki, której dopływ zasilał te moczary. Tutaj leżało jeszcze więcej ciał, a także wyjących z bólu rannych. Uszy Merlina na nic jednak nie reagowały. Liczył się jedynie Artur, bo Artur to Brytania, Artur to chwalebna przyszłość świata!

- To był Modred - wysapał Pikt biegnąc. - Król... Król przedarł się przez wszystkich, by dopaść tego zdrajcę. Przeszył go włócznią, ale tamten nie umarł. Chwycił się królewskiej lancy i zadał cios. Nie umarł!

Łzy zmywały strużki krwi z policzka Bleherisa.

- Już był martwy, ten podły zdrajca, ale nie umarł, póki nie ugodził króla!

Przed nimi była jakaś chata, prawdopodobnie używana przez myśliwych w porze polowań na ptactwo. Przed nią stało dwóch mężczyzn, w których Merlin rozpoznał straż Artura. Przeszedł obok nich i po chwili już klęczał przy ciele złożonym na stercie brudnych peleryn.

Oczy Artura były zamknięte. Po czole i policzkach spływały strużki potu. Oddychał nierówno, w agonii. Zerwali z niego kolczugę i ujrzeli masę szmat wypełniających ranę w dole brzucha. Energicznie, lecz ostrożnie, Merlin usunął szmaty. Były aż ciężkie od krwi. To, co ujrział...

Z taką raną nie można przeżyć. Nie w tych czasach. Ale Artur nie jest zwykłym człowiekiem, jest kimś więcej. Merlin działał wprawnie i szybko. Po chwili rana była opatrzona.

- On... Będzie żył? - Bleheris

zaglądał Merlinowi przez ramię, a za nim stał Gawain ze straży Artura.

- Nie wiem. - Merlin osunął się na ziemię. Jego umysł w końcu przełamał otępienie, w uścisku którego pozostawał od początku bitwy. Merlin ujrzał skrzynię w jaskini tak wyraźnie, jakby była tuż przed nim. Ona zachowuje życie. Czy może wyleczyć Artura, albo choć przechować go żywego do chwili przybycia Panów Przeszłości? Ich wiedza jest większa niż Merlina czy kogokolwiek na tym świecie. Jaskinia jest jednak daleko. Czy uda się dowieźć tam Artura żywego? Co można wykorzystać? Tylko niewielką wiedzę tych czasów wzbogaconą o informacje ze zwierciadła. Lecz przecież Merlin posiada wolę! Jeżeli wola i świadomość określonego celu mogą utrzymać Artura przy życiu, to skieruje do tego zadania wszystkie zasoby swojej energii.

- Jak przebiega walka?

Nie można przewieźć Artura przez tereny, na których coś mu grozi.

Merlin zauważył, że młody strażnik spogląda na niego ze złością, jakby w tej chwili nic nie było ważniejsze od ratowania życia jego pana. Bleheris jednak natychmiast odgadł przyczynę zadania takiego pytania.

- Jeżeli chcesz zabrać stąd króla, panie - odparł - ludzie Modreda są rozbici. Uciekają przed Czarnymi Jeźdźcami.

- Dokąd chcecie zabrać Wielkiego Króla? - spytał strażnik.

- Jest ciężko ranny - odparł Merlin. - Musi się znaleźć tam, gdzie może uzyskać pomoc.

- Merlinie...

Wszystkie głowy pochyliły się. Oczy Artura były otwarte, głos tak wątki, ledwie słyszalny, że wstrzymali oddechy, by nie zagłuszyć jego słów.

- Zabiłem go...

To nie było zwykłe stwierdzenie, nawet nie pytanie, choć Merlin potraktował je jak to drugie.

- Tak, nie żyje - odpowiedział wprost.

- Zmusił mnie do tego. Tak bardzo mnie nienawidził, że poświęcił

swoje życie, by mnie zabić.

Dlaczego?

Merlin pokiwał głową.

- Nie wiem. Wiem, że był tylko narzędziem w cudzych rękach. Ta nienawiść jest stara, sięga poza nasze wyobrażenia. Kiedyś już obróciła świat w popiół.

- I znów tak się dzieje. - Głos Artura stał się nieco mocniejszy, jakby musiał wymówić te słowa. - Królestwo się rozpadło, Merlinie.

- Jego ręka lekko się poruszyła, jakby szukając czegoś, co powinno tam być. - Gdzie miecz?

- Tutaj, Najjaśniejszy Panie. - Bleheris sięgnął pod posłanie, na którym leżał król. Stare ostrze było dla drobnego Pikta dość ciężkie, lecz podniósł je w górę tak, by Artur mógł na nie spojrzeć bez odwracania głowy.

- Już więcej nie... nie położę dłoni... na tej rękojeści... - powiedział król.

- Dopóki nie wyzdrowiejesz - szybko sprostował Merlin.

- Bracie... - Usta Artura wygięły się w bardzo słabym uśmiechu. - Nie oszukuj się. Twoje moce są

wielkie, lecz wszystkie moce mają swe granice.

- Istnieje przepowiednia! - Oczy Merlina pochwyciły spojrzenie Artura i objęły króla w swe władanie. - Jesteś tym, który był, jest i będzie.

- Będzie... - powtórzył Artur sennie i zamknął oczy. Bleheris patrzył na niego przerażony.

- Czy... czy on... odszedł?

- Niezupełnie - zapewnił go Merlin. - Śpi i będzie spał wolny od bólu, aż dostarczymy go tam, gdzie może mu pomogać.

- Panie, a co z... Kto będzie nami dowodził?-- spytał strażnik.

- Wielki Król przekazał dowództwo Konstantynowi. Gdy będziesz mówił z diukiem, powiedz mu, że Artur żyje, udaje się tylko tam, gdzie jego rana zostanie wyleczona. Powiedz też diukowi... - Merlin myślał teraz jasno i logicznie. - Powiedz, żeby przeszukał obóz Modreda i odnalazł królową i dwie inne kobiety, Panią Morganę i Panią Jeziora. Niech im nic nie mówi o królu, z wyjątkiem tego, że jest lekko ranny i odpoczywa.

Powinien też się upewnić, że te trzy nie sprowadzą już więcej żadnych nieszczęść.

- Panie, przekażę wszystko diukowi Konstantynowi. Ale jak przeniesiecie króla i gdzie to...

- Jak? Pojedzie wozem, dobrze zawinięty. A gdzie? W góry, w miejsce dobrze znane tylko uzdrowicielom.

Merlin wydawał rozkazy, których wszyscy słuchali. Wyglądało na to, że ci, którzy tak wiernie służyli Arturowi, pragnęli uczynić co w ich mocy, by wykorzystać choć tę ostatnią możliwość uratowania mu życia. Rankiem wszystko było gotowe do drogi.

Król leżał bezpiecznie na wozie. Bleheris na swym małym kucu prowadził konie. Merlin jechał z tyłu. Przed wyjazdem rozmawiał z Konstantynem. Diuk odszukał Merlina z wiadomością, że siły Modreda poniosły druzgoczącą klęskę i królestwo jest bezpieczne.

- Diuku - odpowiedział Merlin. - Nie ukrywam przed tobą, że król jest w bardzo ciężkim stanie.

Lepiej dla podtrzymania żołnierzy na duchu nie rozpowiadać o tym. Jest tylko jedna szansa uratowania mu życia: dotrzeć do uzdrawiającego miejsca. Jak ty walczyłeś na placu boju, tak ja będę walczył o utrzymanie ducha w jego ciele, dopóki nie dotrzemy w to miejsce. Król przekazał tobie dowództwo i tobie przekazałby koronę. Brytania została dziś mocno zraniona, musisz uleczyć rany tego kraju. Podobnie ja będę starał się doprowadzić do wyleczenia króla.

Konstantyn wysłuchał i odpowiedział:

- Uzdrowicielu, słyszałem o tobie różne dziwne rzeczy, ale nigdy byś był nieprzychylny królowi. Wiadomo raczej, że właśnie do ciebie zwracał się, gdy potrzebował pomocy. Przeto wierzę w to, co mówisz. Będę dbał o Brytanię nie jako król, lecz jako ktoś, kto zastępuje króla. Dopóki nie nadejdzie wiadomość, że twoje nadzieje spełzły na niczym. Wówczas zacznę rządzić jako Pendragon.

- Niech tak będzie. A co z kobietami?

- Królową znaleziono, wielce roztrzęsioną, prawie obłąkaną. Błaga, by wysłać ją do domu tych świętych niewiast, które nazywają siebie siostrami i żyją w Avalon. Pani Morgana, ją też znaleziono, ale nieżywą. Nie wiemy, jak zginęła, bo na jej ciele nie ma żadnych ran, a twarz nie jest wykrzywiona od trucizny. Leży raczej jakby spała. Po trzeciej, którą kazałeś, panie, odnaleźć, nie ma śladu.

Merlin westchnął. Ginewra i Morgana nie miały wielkiego znaczenia, ale Nimue to co innego. Doprowadziła do takiej tragedii. Czyżby pragnęła dokończyć swego dzieła, sprowadzając śmierć na Artura? Obudził się w nim gniew. O nie! Artur musi żyć wbrew wszelkim czarom i iluzjom tej podłej niewiasty.

- Szukajcie jej dalej - odpowiedział, choć był pewien, że Nimue nie da się odnaleźć, jeśli sama tego nie chce. - Ze wszystkich wrogów króla ona jest

największym, pani o wielkiej magicznej sile. Konstantyn skinął głową.

- Czy potrzebujecie eskorty?
Merlin zastanowił się chwilę, nim odpowiedział:

- Nie. Tam gdzie się udajemy, duży oddział zostałby łatwo zauważony. Rozbiłeś siły Modreda, lecz po drogach będą wałęsać się niedobitki, słusznie teraz uważane za zdrajców, którzy zaryzykują wszystko, by zabić Artura. Mała grupa może się przedrzeć wąskimi ścieżkami, a duży oddział łatwo zauważyć i wysledzić. Wezmę ze sobą tylko Bleherisa Pikta. Posiada wszystkie umiejętności swojego ludu i potrafi tak zatrzeć ślady, że ciężko będzie nas odszukać.

Tak się też stało. Podróżowali przez dzikie tereny najszybciej, jak mogli. Merlin siłą swej woli utrzymywał Artura we śnie, a prawdopodobnie nawet ducha w jego ciele. Nikogo nie spotykali na bezludnych drogach, które wybierał Bleheris. Tylko dwukrotnie widzieli ze swego ukrycia

niewielkie oddziały mężczyzn
wyglądających na uciekinierów.
Tak dotarli w góry i wreszcie
Merlin ujrzał przed sobą
wzniesienie, w którym mieściła się
grota. Zwrócił się do Bleherisa:
- Przyjacielu, przed nami widać
miejsce, do którego idziemy. Nie
wiem jednak, co nas tam czeka.
Jeżeli król wejdzie do owej groty
żywy, mam nadzieję, że przeżyje.
Jednak możliwe, że choć on będzie
żył, nie będzie nam dane...
- Uzdrowicielu - przerwał mu Pikt
- żyję już dłużej, niż wojownik
jakiegokolwiek klanu ma prawo
oczekiwać! Król raz uratował mi
życie, czyja teraz mogę odmówić mu
tego samego? Nie pochodzę stąd, a
mimo to Wielki Król przydzielił mi
miejsce u swego boku i pozwolił
sobie służyć. Powiedz mi, co
trzeba uczynić, a ja to zrobię.
Trudno było wjechać zaprzęgniętym
wozem na samą górę. Wyprzęgli więc
konia i wciągnęli wóz sami. Po
chwili dotarli do jaskini.
Ku zaskoczeniu Merlina ktoś tu był
przed nimi. Siedziała na kawałku
skały, twarz zwróciła w ich

stronę. Wyglądało na to, że cierpliwie czeka tu już od dawna. Merlin delikatnie położył posłanie z Arturem na ziemi i zwrócił się do niej:

- Spójrz na swoje dzieło! Napawaj się dumą, Nimue! Ku jego zdumieniu na jej twarzy nie było widać triumfu.

- Śmierć żadnego człowieka nie może być powodem do dumy - powiedziała. Nie próbowała żadnej ze swoich uwodzicielskich sztuczek, nie odwoływała się do jego zmysłów. - To, co się stało, musiało się stać.

- Ale dlaczego? - spytał wprost.

- Ponieważ już wcześniej ludzie byli zabawkami w rękach Panów Przeszłości, którzy używali ich bezmyślnie, uczyli ich rzeczy, na które ludzie nie byli przygotowani, wciągali w rozgrywki między sobą. W końcu ten świat został rozdarty, niemal doszczętnie zniszczony. Potem nastąpiła wojna pośród gwiazd i złożono przysięgę, że już nigdy więcej nikt z innej rasy nie dostanie się w nasze władanie.

:- Zdaje się, że przysięgi nie dotrzymano - zauważył Merlin. - Jesteś sługą Nieprzyjaciół i spowodowałaś taki rozlew krwi w Brytanii, że nie zostanie to zapomniane przez tysiąc ludzkich lat, a może i więcej.

- Zrobiłam, co musiało być zrobione - odpowiedziała smutno. - Ty chciałbyś sprowadzić tu wiedzę, której ludzie w tych czasach nie są w stanie ogarnąć, a połowiczna wiedza doprowadziłaby do czegoś jeszcze gorszego. To ty, Merlinie, wprowadziłeś swojego króla, by zmieniał świat, i to twoje czyny go zabiły.

- Jeszcze nie umarł - odparł Merlin. - I nie umrze, czarodziejko! Pewnego dnia stanie przy nadajniku i powita swoich kuzynów.

Patrzyła na Merlina zupełnie spokojnie.

- Twój nadajnik jest bezużyteczny. Panowie Przesłuchani nie mierzą czasu tak jak my. Może minąć i sto wieków, nim nadejdzie odpowiedź, jeśli w ogóle nadejdzie. A do tego czasu ludzie będą lepiej

przygotowani i będą zdawać sobie sprawę z tego, jak zgubne mogą okazać się dary Panów Przesłworzy. Ty ustawiłeś nadajnik, ale ja pokonałam twój król. Merlin potrząsnął głową.

- Jeszcze nie! Obiecano mi, że on był, jest i będzie! Teraz Nimue spojrziała na niego z żalnością.

- Merlinie, mogłeś być tak wielki, a wolałeś znaczyć tak niewiele. Zgodziłeś się zostać rzecznikiem połowicznej wiedzy, strażnikiem barbarzyńskiego władcy, który wkrótce zostanie zapomniany. - Wstała i rozłożyła szeroko ręce, luźne rękawy tuniki odsłoniły jej białe ramiona.

- Merlinie. - W jej głosie pojawiła się znana mu już nuta. - Ty i ja jesteśmy podobni. Wiesz o tym. Żaden mężczyzna prawdziwie ziemskiej krwi nie budzi drżenia mego serca, tak jak i ty nie możesz posiadać żadnej z tutejszych kobiet. Moja twierdza i jezioro mogą zniknąć z widoku wszystkich i możemy tam spokojnie żyć. Nasze życie jest długie, dużo dłuższe niż życie ludzkie. Czy

nigdy nie odczuwasz samotności, Merlinie? Wykonaliśmy swoje zadania i teraz jesteśmy wolni. Spoglądał na nią i nagle poczuł przypływ wszystkich tych uczuć, które zawsze starał się w sobie zwalczać. Nimue roześmiała się.

- Och, Merlinie, widzę, że pamiętasz! Tak, potrafię być wieloma kobietami i mogę, jeśli zechcę, dać ci miłość i czułość. Wiele mogę cię nauczyć, tak wiele! Merlin uczynił krok w tył.

- Nie wątpię - odrzekł - lecz ja służę królowi.

- Umierającemu człowiekowi! - Spojrzała teraz na niego bez udawania, bez żadnego uśmiechu, z opuszczonymi koniuszkami ust. - Samotny Merlinie, czy wobec tego zawsze już będziesz samotny? Jej słowa wywołały dreszcz, który przeszył całą duszę Merlina. Zagrała teraz na innej części jego natury, tej, którą sam uważał za swoją słabość.

- Jeżeli taki mój los. - Ucieszył się, że jego głos zabrzmiał tak spokojnie. - Tak, będę samotny. Nimue odwróciła się, a jej ramiona

lekką opadły. Wtedy zrozumiał, że tym razem nie była to gra, że Nimue pokazała mu swe prawdziwe oblicze. Poczł wewnętrzne rozdarcie. Wiedział, że już nigdy więcej nie doświadczy tego, co właśnie odrzuca, tego, co wniosłoby ciepło do jego życia. Omal nie pobiegł za nią... Ale tam był Artur...

Patrzył, jak powoli się oddala. Jeszcze może ja zawołać... Na dobrą sprawę oboje zostali oszukani przez Mieszkańców Gwiazd, którzy z wyrachowaniem, bez żadnych skrupułów uczynili z nich to, czym są. Zniknęła. Już za późno.

Merlin podszedł do wejścia ukrytej jaskini i zaczął odsuwać kamienie. Po chwili przyłączył się do niego Bleheris. Twarz małego mężczyzny wyrażała cierpienie.

- Panie, co to za miejsce? Czuję ból głowy, staje się coraz silniejszy...

- Wybacz mi. - Merlin przypomniał sobie o zainstalowanych tu zabezpieczeniach. - Tu jest niezwykły strażnik, Bleherisie,

więc odejdz stąd. Ja mogę tam wejść, król również - dodał, gdy Pikt usiadł na pobliskim kamieniu.

- Jednak nie wyjdziemy szybko, a może to nawet potrwać bardzo długo, Bleherisie.

Pikt pokiwał głową.

- Panie, to nieważne, czy potrwa to dni czy lata. Jeśli los pozwoli, znajdziecie mnie tutaj, gdy wyjdziecie. To dobra ziemia - powiedział, rozglądając się wokół.

- Przypomina moje góry na północy. Poczekam.

Pomimo protestów Merlina Pikt przysiągł, że będzie czekał. W końcu Merlin wyciągnął Artura z wozu i wzięwszy go na ręce, przedostał się do środka. Podszedł do skrzyni i otworzył ją. Ułożył ранnego władcę wewnątrz i zdjął z niego wszystkie opatrunki. Artur wciąż oddychał - tylko tyle Merlin wiedział, gdy pokrywa powoli się zamykała.

Sprawdziwszy zamknięcie skrzyni, Merlin po raz ostatni podszedł do zwierciadła. Trzymał w rękach miecz, który przekazał mu Bleheris, gdy Merlin rozkazał mu

zamknąć wejście.

Stał teraz przed lśniąca taflą
zwierciadła i patrzył na
umęczonego śniadego mężczyznę w
ubraniu z plamami zaschniętej
krwi, z dłońmi na rękojeści
długiego miecza. Wokół buczały
maszyny. Do tej pory robił
wszystko, kierując się tylko
instynktem. Co teraz?

Odpowiedziało mu zwierciadło:

- Idź do skrzyni po twojej prawej
stronie, Merlinie, i wciśnij te
cztery małe guziki. W ten sposób
zapanujesz nad czasem. Gdy się
obudzisz, odkryjesz, że ludzie
znowu wpatrują się w gwiazdy.

Wtedy nadejdzie twoja godzina. Ten
czas był źle wybrany, musimy
począkać na lepsze dni.

- Artur? - zapytał Merlin.

- On był, jest i będzie... Twoje
miejsce spoczynku jest gotowe.
Wejdz tam i zaśnij.

Merlin wahał się jeszcze chwilę i
wreszcie zadał ostatnie pytanie:

- A co z Nimue?

- Jej los nie jest nam wiadomy,
Merlinie.

Merlin położył miecz na ławie

przed zwierciadłem, na której tak często siadywał. Ostrze lśniło kosmicznym blaskiem. Tylko ludzkie nadzieje straciły blask. Westchnął ciężko.

Odwrócił się powoli i odnalazł odpowiednie przyciski. Postąpił tak, jak mu kazano. W odpowiedzi zamigotał rząd świateł. Merlin stał, tępo wpatrując się w nie, aż przestały mrugać. Wtedy wszedł do środka. Zdjął ubranie, położył się wewnątrz, poczuł zalewający go płyn. Czas... Czas... Jak długo...?

Biała skóra w blasku księżyca, zmysłowy śmiech, bose stopy unoszą się z lekkością raczej łani, ledwo dotykając ziemi, na której plamy słońca mieszają się z cieniem... Merlin zaczął śnić.